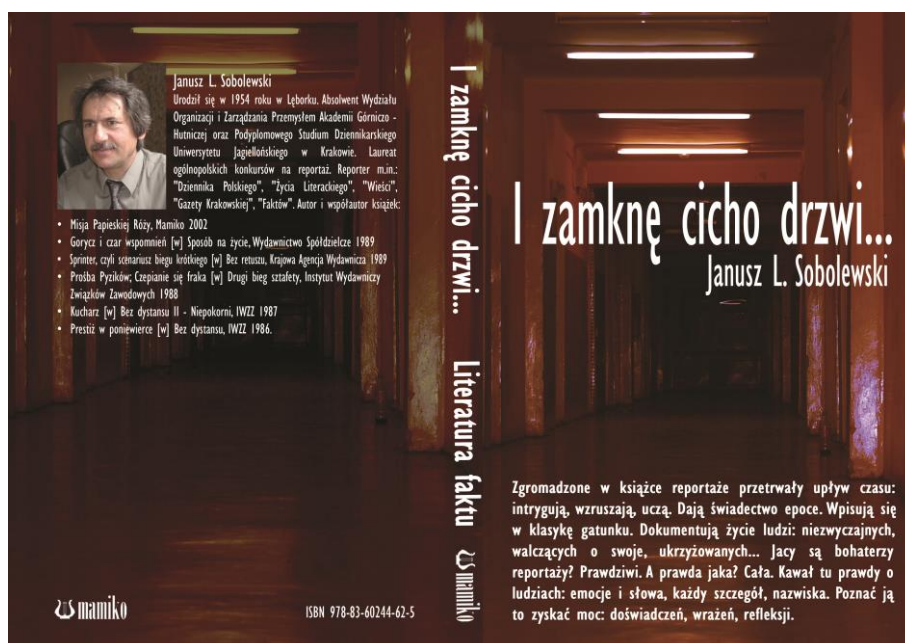


Janusz L. Sobolewski

reportaże

## „I zamknę cicho drzwi...”



*Zgromadzone w książce reportaże przetrwały upływ czasu: intrygują, wzruszają, uczą. Dają świadectwo epoce. Wpisują się w klasykę gatunku. Dokumentują życie ludzi: niezwykłych, walczących o swoje, ukrzyżowanych... Jacy są bohaterzy reportaży? Prawdziwi. A prawda jaka? Cała. Kawał tu prawdy o ludziach: emocje i słowa, każdy szczegół, nazwiska. Poznać ją to zyskać moc: doświadczeń, wrażeń, refleksji.*

## *Spis treści*

Doktor z Nowej Sarzyny	3	
Siostra Anna – ...tak bez strachu/ Przyjdę – i zamknę cicho drzwi		7
Przybyszewski	14	
Życie i śmierć Stanisława Salwerowicza, ukrzyżowanego jak Chrystus		18
Bokser	23	
Stalinowiec	34	
Kto moją miłość wytłumaczy?	39	
Spadochroniarz ze szczęściem w czapie		44
Marszałkowe brzemię	48	
Dziobak	62	
Życie bez życia Orestesa W.	68	
Jedno życie, a koniem go nie objedziesz		74
Szardakow wyklęty!	101	
Nie jedno mam życie	107	
Czyny i ...ucieczka z obozu śmierci		116
Łowy w kraince słów	129	
List sołtysa do Sądu Najwyższego w sprawie Magdonia i Lipieńki		134



## Doktor z Nowej Sarzyny

Doktor Wiesław Skoraczyński nie ma nóg. Do jego Przychodni Rejonowej w Nowej Sarzynie przychodzą ludzie na nogach, by leczyć wrzody, kolki, kaszle i nerwice. Otrzepują śnieg lub błoto z butów, przytupując zdrowo przed drzwiami gabinetu. Tup-tup!, tup-tup! Przekraczają próg nogą pewnie. - Panie doktorze, czy można w e j ś ć? - pytają. Idą: szur-szur, szur-szur, szur-szur... W tym gabinecie każdy krok ma dźwięk, smak, barwę. Pachnie. Pachnie kwiecie polsko-ukraińskiego Derejowa, gdzie ojciec był przed wojną naczelnikiem poczty. Barwi się na różową skórę gospodarnej matki. Smakuje słodkością połykanej haustami lemoniady. Tylko dźwięczy źle. Zgrzyta źle. Wyje i piszczy, zdziera do krwi kord z szerokich opon wojskowego "Jamesa".

Na szaroburej fotografii, wyrzeźbionej po bokach w ząbki, dwuletni malec wierzga pałąkowatymi nóżkami. Biała pościel i ogromna, haftowana ukraińsko w kwiaty, poduszka. Roześmiane, różowe ze szczęścia oczy matki.

Później powojenny Rzeszów. Róg przygniecionej ludźmi ulicy. Ocalały kramik żydowski, przy którym szkolne szkraby tłoczą się, przepychają, mlaskają językami, przełykając żółtawą, pachnącą żółtymi landrynkami lemoniadę. Ulicą przejeżdżają kolumny wojska. Zostawiają ropne spaliny, wibrujący hałas, szczęk żelastwa, koleiny...

Jest wiosna 1946 roku. Uczeń pierwszej klasy szkoły powszechnej, siedmioletni Wiesio Skoraczyński wpada pod koła wielotonowego samochodu wojskowego. O zdarzeniu informuje prasa. W wypadku ulegają zmiążdżeniu obie nogi. Rzec można: nóżki...

Dzieci nie tracą przytomności pod wpływem bólu... Przyglądają się mu bezradnie szerokimi oczami, płacząc. Coś stało się krwawego, coś, co nie pozwala poderwać się i biec, biec, by uciec od złego miejsca, od wciskającego się w ciało chłodu gołej ziemi, od tych czarnych opon, które okazały się twardsze od jasnego szczęścia. - Mamo - dzieci przełykają zażawione smarki - mamusiu... - Jest wtedy bardzo cicho.

A teraz, po latach, do doktora Skoraczyńskiego pacjenci walą hurmem. Oto wkracza pani Wiesia, grubaśna sarzynianka, kraciastą chustą przewiązująca włosy w lokach, układająca usta, umalowane szminką, w małą szparkę jak w odpustowe serduszko. Szparka ledwie widoczna na tle ogromu pucółowatej twarzy.

- Musi pani ograniczyć moczenie rąk przy praniu, to i reumatyzm popuści. Hm...

Szczerniałe niebo na moment rozbłyskuje gwiazdami. Mięśnie rąk prężą się w możliwym wysiłku. Mocują się z nimi twarde palce pielęgniarki. Duszno. Byle odetchnąć. O tak... Tak. W tym śnie nic się nie śni. Błogosławiony sen, którego minięcia się nie zauważa i z którego budzi słoneczne światło pod powiekami.

- Byłeś pod narkozą, synku.

- Pan doktor mówił, że od dziś mam być mężczyzną.

Wydaje się, że ciężar niewielki: główka, para rąk..., ale wysiłku mocarza potrzeba matce, by ułożyć na wózku inwalidzkim te pozostałe po amputacji jedenaście centymetrów jednej i dwadzieścia trzy centymetry drugiej synowskiej nóżki. A czas już najwyższy kończyć leniuchowanie, jedynaczku, wygrzebać się z pościeli, ubrać się na przywitanie przychodzącej do domu nauczycielki, pani Przybysz.

- Co przerabialiśmy ostatnio, Wiesiu?
- To, że chciałbym zostać lekarzem.
- Dlaczego?
- Bo dzięki doktorowi ocalało jedno kolano.
- A jeszcze?
- Bo mogę.

Rok 1950: pierwsze protezy. Kosztowały ponad pięćdziesiąt tysięcy złotych. By je kupić, rodzice musieli sprzedać omalże wszystko. Opustoszał dom, zsurowiały ściany. Za to przestrzeń między jedynymi meblami: krzesłem przy łóżku i stołem pod ścianą stawała się dzień po dniu bliższa i radośniejsza. Byle stanąć, a nie upaść. Dobrze. Stoi. Trochę odpoczywa. A teraz krok... Jeden, drugi, wszystkie kroki, które święty Piotr już tam skrupulatnie policzył.

Na pierwsze zimowe spacerzy zabierał Wiesio laskę. Ot, przekonanie dziecka, że się na lasce oprze. Poślizgnął się. Potylicą o bruk strzelił. Podniósł się, jedną ręką za świeżo wypiętrzony guz złapał, pod pachę drugiej laskę wsadził i bez asekuracji od tej pory chodzić zaczął. Tylko tego ocalałego kolana od sztywnienia uratować wciąż nie mógł. Wargi ciał, łezki po policzkach wyturliwał, oburącz poniżej kolana chwycił i ciągnął, i rwał, aż zgiął. Raz, drugi. Gdy puściło, do normalnego ruchu wróciło, wiedział: i bez laski nie jest gorszy od innych oraz: sprostą, nie da się już w życiu.

A teraz, po latach, jedenaście tysięcy potencjalnych pacjentów z Nowej Sarzyny i z Tarnogóry, Łukowej, Jelnej, Baranówki. Moc pracy na skrawku ziemi, upstrzonej ludźmi, którzy Skoraczyńskiego znają i oceniają. Przychodzą jak stoją: gminni urzędnicy, kobiety wprost z kolejki, chłopcy w gumiakach, szukając pocieszenia, od kaleki żądając zdrowia dla siebie.

Uporem to, siłą woli. Dzięki ćwiczeniom Wiesio nie tylko mógł chodzić - jak człowiek - ale na rowerze jeździć, podtańcowywać sobie i ...w piłkę grać. Nie było to może młodzieńcze hasanie na trawie za szmacianką, ale kopnąć piłkę potrafił.

Szkolę skończył w terminie. Rodzice posłali go do rzeszowskiego liceum ogólnokształcącego, do nowych kolegów. Nie od razu też dostrzeżono jego inność. Ukrywana skrętnie tajemnica wydała się w czasie klasowej zawieruszki. Zdenerwowany, chciał kopnąć kolegę. Proteza spadła. Szok, krzyki, zbiegowisko. "A jednak nic nie wiedzieli"...

Dzieci bywają okrutne, ale tylko w stosunku do słabych. Czy mogły cokolwiek zarzucić koledze, który na tańce chodził, na rowerze jeździł, piłkę kopał, a i szturchać się bez wzajemności nie pozwolił? Jasne, że nie. Toteż Wiesio nigdy nie usłyszał poniżającego epitetu, a jeśli przezywano go "Skorek" lub "Skoczylas", to z pewną dozą sympatii i podziwu. Koledzy odwiedzali go, opowiadali, co było na lekcjach, pomagali przebrnąć przez trudniejsze partie materiału, gdy pozostawał w domu, lecząc dolegliwości protez: otarcia, odparzenia, odcisnięcia. Bez problemu zdał maturę.

Dopiero zgoda Ministerstwa Zdrowia, do którego zmuszony był pisać swoisty elaborat, dokumentując fizyczną możliwość pokonania studiów, umożliwiła mu zdawanie egzaminu wstępnego na Akademię Medyczną w Krakowie. Nie zdał. Poszedł do pracy w Szpitalu Wojewódzkim w Rzeszowie jako laborant EKG. Po roku spróbował w Akademii Medycznej w Lublinie. Nie zdał. Znowu rok pracy. Ponowił próbę. I zdał.

Ciężko mu szło w Lublinie od początku. Bez przerwy na nogach. Pokonując wszelkie bariery i siebie, po dziewięciu latach nauki otrzymał dyplom lekarza.

A teraz, po latach, ludzie skrawka ziemi zachodzą do doktora Skoraczyńskiego po zdrowie, a on je rozdaje jak umie, sownie. Został lekarzem, by to czynić. Bo któż lepiej potrafi uszanować ich do zdrowia miłość? Pewnie dlatego przychodzą też jak do uzdrowiacza dusz: - Ja nie chory, panie doktorze, rady szukam. Zapłacił ja ciągnik, wziął go, a on, pieron, bez mocy. Zwrot pieniędzy proponują, brać?

Mocy u doktora dość, by nie uchylać się od funkcji społecznych w gminie i w województwie, ale niech św. Piotr liczy, a czort jeden zabiera. - Wie pan, jedno z pism młodzieżowych podobnego do mnie lekarza - inwalidę wybrało bohaterem roku. Tak mi się smutno wtedy zrobiło, że jego zapamiętano, a mnie nie, myślano może, że jak pies z kulawą nogą od próżniaczych uciech uciekam.

O sześć lat młodszą Helenę, studentkę pierwszego roku chemii na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej, Skoraczyński, student drugiego roku, poznał na koleżeńskich imieninach, gdy podrygiwał w takt przeboju: "Gdy w ogrodzie botanicznym zakwitną bzy". Pierwsze wspólne spacerki. Po niecałym roku - ślub. Helena, uchodząca wśród koleżanek za jedną z ładniejszych, przyjechała do Lublina z mazowiecko-podlaskiego Ciechanowca. Wypieszczona przez zamożnych rodziców na gospodarce, nie znająca ni głodu, ni chłodu, ich oczko w głowie, mogąca przykryć posagiem Skoraczyńskiego w kapeluszu. Porzuciła wszystko. O, duszo kobieca, piękna i niezbadana, znasz li ty powód tego wyboru?...

"Żona... Przez przypadek... Imieniny były... Kilku kolegów... Ale na pewno to nie z litości... Ja bym wyczuł... Może zaimponowało to, że nie płaczę, bo mi źle... Były kłopoty z jej rodzicami. Wyobrażali sobie, że to wózek inwalidzki... Teść przyjechał do Lublina. Taskał kuferek. Podbiegłem. Chwyciłem. Ciężkie to było. Dźwigam, a on dwa kroki z tyłu idzie i obserwuje...".

"Zrezygnowaliśmy z jakiegokolwiek pomocy rodziców. Dorabialiśmy: ona łątała oczka w pończochach, a ja fotografowałem kolegów na sobotnich potańcówkach. Na czwartym roku pełniłem obowiązki lekarza w przedszkolu. Zyskiwałem śniadania i obiady. Młynek paskudny... Żona widziała we mnie kogoś takiego, co się łatwo nie poddaje. Może chciała trochę i pomóc... Człowiek zawsze potrzebuje człowieka... Przyjaźni... Miłości...".

"Nauczyłem się udawać, że nie czuję protez... Po przecięciu nerwów włókna nerwowe rosną często w sposób niekontrolowany... Robi się guz... Nerw kulszowy, gruby jak mały palec... Ludzi boli nerw w zębie, cienki jak nitka... Albo jak swędzi pięta lub palec u nogi, chce się podrapać... A to nerw, przecięty w tym miejscu, przypomina o sobie...".

"Żona jest odporna. Po latach ludzie upodobniają się do siebie... Tak, w chwili ślubu była w drugim miesiącu ciąży... Piekła mnie samotność... Zaborczość? Ona na pewno wie, że jestem jej...".

"Prawo jazdy mam normalne... Prowadziłem... Ojciec chorował na serce, zemdlął na tylnym siedzeniu. Nie wiedziałem, co się dzieje, usiłowałem utrzymać motocykl, przewróciliśmy się pod samochód nadjeżdżający z przeciwka... Gdy po trzydziestu sześciu godzinach odzyskałem przytomność, dowiedziałem się, że ojciec zmarł... na niewydolność układu krążenia. Ja złamałem rękę... Zostałem oskarżony o spowodowanie śmierci... Dwa lata w zawieszeniu... Fakt uniewinnienia odbierał matce rentę... Takie coś".

"Od września 1969 roku w Nowej Sarzynie. Wiele prawie identycznych lat... Byłem tu pierwszym lekarzem na stałe. Mieszkanie. Żona podjęła pracę w Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej w Rzeszowie, potem została nauczycielką chemii w miejscowym zespole szkół zawodowych. Zaczepiliśmy się. Zaczynaliśmy powoli... Do Nowej Sarzyny przyjechaliśmy z dwoma walizkami i z dwiema córkami, ta druga jeszcze w kołysce. A teraz mieszkanie urządzone, "Zastawa 1100"...".

"Proteza pozwala mi na zgięcie stopy w stawie skokowym, zgięcie palców, nie pozwala na ruch stopy wszerek. Dlatego kamyk na ulicy odrzuca mnie w bok. W najdroższych protezach można każdym palcem ruszać...".

"Czy mi się życie udało? Szczęśliwy w małżeństwie... Ładne córki... Może chciałbym zawodowo więcej. Zrobiłem wszystkie zaliczenia do specjalizacji neurologa. Zabrakło trochę siły, by stanąć do końcowego egzaminu... Gdy pacjent mówi "dziękuję", to dla mnie wszystko. W ogóle jestem zadowolony... Umiem dostosowywać się do sytuacji. Z wiekiem coraz trudniej brnąć przez życie... Momenty złe wyrzucam z pamięci, nie chcę do nich wracać. To rodzaj samoobrony: nic nie było, nie ma sprawy, ważna jest tylko ta chwila przede mną... Gdy pan wyjdzie, zapomnę o tej rozmowie...".

Gospodarz stawia na stole rozgrzewającą orzechówkę własnej roboty. - Córki?

O, córki w mig wydorosłały. Renata studiuje fizykę na Uniwersytecie Warszawskim i w domu jest gościem. A i Monika coraz częściej wybywa do koleżanek z ogólniaka, ponadto koncertuje jak umie w szkole muzycznej. Skoraczyński ma wrażenie, że wdały się w niego, obie uparte jak oślice, konsekwentne. Jeśli "a", to "a", inaczej być nie może, jeśli UW, to UW, jak chcą, tak zrobią. Może bał się początków ich rozumnego patrzenia. Że raz chodzi, a raz nie, raz tatuś dłuższy, innym razem krótszy... Wrosły w dom bez sensacji.

Klucz żony w zamku u drzwi. Skoraczyński podrywa się z fotela jak młodzik, może ciut na pokaz?: - Pan chciał cię koniecznie poznać, Helenko.

To nie jest już takie pewne. Może jeszcze przed chwilą, lecz teraz, gdy człowiek wie, ...najchętniej coś zje. Bo tu wszystko gra jak w szwajcarskim zegarku, który czas domowy zwalnia, ogrzewa zimowe zamiecie, dmucha niemodną lawendą i brzęcząc pozytywką sprasza domowników na codzienną "kawkę".

A tak, w tym domu, trzypokojowym, ukwieconym od podłogi do sufitu (hobby Skoraczyńskiego: kwiaty i majsterkowanie), wypełnionym meblami "stylizowanymi" (Skoraczyński, przy pomocy stolarza, meble ozdobił niekonwencjonalnie styliskami od łopat), różniącym się od innych może tym telefonem na długim sznurze, by go można było podać do łóżka, albo wewnętrznymi, gustownymi zasłonami z nanizanych na nitki kasztanów, więc w tym domu regularnie zasiada się wspólnie do popołudniowej rozmowy przy kawie. Technie ciepłym rodzinnego ognia, daj Boże, niech poparzy on "najzdrowsze" domy...

Staje na stole półmisek, dymiący gulaszem węgierskim, specjalnością kuchni - i nie da się już otworzyć pełnej papryki gęby do następnych pytań.



## Siostra Anna -

...tak bez strachu/ Przyjdę - i zamknę cicho drzwi

*(słysząc szelest habitu)*

Do krakowskiej parafii Matki Bożej z Lourdes skierowała mnie siostra wizytorka, bym tak jak dotąd niosła pomoc ludziom. Wcześniej, z dziesięć lat temu, pracowałam w Bobrku koło Oświęcimia, w zakładzie dla dzieci niedorozwiniętych umysłowo.

Pochodzę z Czerniowiec nad Prutem. Po wojnie osiadłam z rodziną w Zielonogórskiem. W domu mówiło się o uczciwości, patriotyzmie i Bogu. Obcowaliśmy na co dzień z Pismem Świętym. Starsza siostra wstąpiła do zakonu. Gdy skończyłam osiemnaście lat, podążyłam w jej ślady. Wybrałam Zgromadzenie Sióstr Miłosierdzia Świętego Wincentego a Paulo. Oddałam się Bogu, ale też ludziom. Chciałam, nadal chcę, poświęcać się idei niesienia im pomocy.

*W sercu cichość i dobroć anioła,  
Habit bury, wełnisty i gruby,  
Czepek biały i sztywny u czoła.*

Święty Wincenty a Paulo, żyjący w siedemnastym wieku, to patron księży misjonarzy i sióstr miłosierdzia. Życie wypełniła mu (i jego kontynuatorom) ewangeliczna, a więc ogólnocześniacza troska o ludzi najbardziej potrzebujących. Każda parafia, zgodnie z Ewangelią, ma obowiązek troszczyć się o duszę i potrzeby materialne człowieka. Podkreślił to II Sobór Watykański.

- Siostranno - mówił mi proboszcz parafii Matki Boskiej z Lourdes - lista osób chorych i niepełnych, więc najbardziej wymagających opieki, rośnie. Sami nie damy rady. Poszukamy ludzi chętnych do pomocy.

Zaapelujemy do sumień. Czy spotkamy się z oddźwiękiem? - pytałam sama siebie.

(wspomnienie Hanny Chrzanowskiej, pielęgniarki i nauczycielki, twórczyni pielęgniarstwa parafialnego, z tomu "Chrześcijanie", wyd. ATK 1978)

Oto myśl: oprzeć opiekę nad chorymi o Kościół. Odtąd zaczęłam gwałtownie w sobie i na zewnątrz domagać się i walczyć o urzeczywistnienie tej myśli. Znałam organizację pracy

w społecznej służbie zdrowia. Nie mogłam zwrócić się do pielęgniarek, moich dawnych uczennic.

Byle chorzy nie cierpieli więcej niż muszą, byle nie leżeli w brudzie, zaduchu, z odleżynami, w samotności, zaniedbania ciała i duszy. Opisałam szereg przeraźliwych przypadków i te opisy rozdałam kilku księżom. Ale przede wszystkim: zdobyć jakąś parafię, znaleźć rozumiejącego proboszcza.

Jedna z koleżanek zaproponowała pójście do księdza Karola Wojtyły. Był czerwiec 1957 roku.

*(głos dziecięcy recytuje)*

*Mrok ma usta gorące,  
Dymem siwym pachnące,  
Oczy dziwne, przepastne jak czar.  
Ręce drżące owija,  
Czoło wrące spowija,  
Mroczy myśli haszyszem swych mar.*

Staruszka z nowotworem mózgu, z raną ogromną, sięgającą brwi. Brudna, z odleżyną. Córka, schizofreniczka, sama wymaga opieki. Paznokcie chorej tak długie i grube, że słychać stuk o podłogę, kiedy je obcinamy. Wszy sypią się jak piasek i roją w ranie, pod warstwą maści.

Bezwładna. Kręgosłup wygięty w pałąk. Ręce zwisają do tyłu, palce niemal pochowane w poduszkach opuchniętych dłoni. Podana naprzód, nie przewraca się dzięki desce położonej na poręczach dwóch krzeseł. O deskę oparta jest broda. Na brodzie odleżyna.

Jedziemy na Kazimierz. Nad łóżkiem chorej sześć obrazków: Matka Boska Nieustającej Pomocy, cztery Matki Boskie Częstochowskie i straszliwie wylalkowana Matka Boska Karmiąca. Jakich modlitw wysłuchuje *Advocata nostra*, jakie są modlitwy starej pijaczki? Nie wiem, czy ją skrzywdzi podejrzenie, że się utrzymuje z wynajmowania kątów?

*(szelest habitu)*

Robimy, co do nas należy. Nie oglądamy się na działania innych parafii. Nasi księża chodzą do domów z Komunią Świętą, składają wizyty duszpasterskie. Ludzie przynoszą nam wieści o osobach chorych i osamotnionych. Orientując się w sytuacji materialnej rodzin, prowadzimy kartotekę potrzebujących pomocy. Wspieramy wszystkich bezinteresownie, fundusze czerpiąc z "puszki św. Antoniego".

W parafialnym rejestrze mam dwustu czterdziestu chorych, wymagających nieraz całodobowej opieki. Szpitale już im niewiele pomogą. Przeważają powylewowe paraliże, choroba Parkinsona, rak, S.M. - Sclerosis multiplex, czyli stwardnienie rozsiane, obecnie nie do wyleczenia..., atakuje od dwudziestego roku życia. W mojej kartotece na S.M. chorują dwadzieścia trzy osoby na pięćdziesiąt trwale przykutych do łóżka.

*(wspomnienie Hanny Chrzanowskiej)*

Spotkaliśmy się z ks. Wojtyłą przed ołtarzem Chrystusa Ukrzyżowanego i poszliśmy do Prałatówki ks. Machaya. Przedstawiłam stan rzeczy - brak pielęgniarstwa domowego w ramach służby zdrowia.

Rozumie.

Nigdy nie zapomnę pierwszego spotkania z Józefitkami w ich małej, przytulnej rozmównicy. Zrozumiałyśmy się od razu. Tego mroźnego wieczora nie wróciłam zaraz do



domu. Pognałam na Smoleńsk, do kościoła Sióstr Felicjanek, w którym jest stale wystawiony Najświętszy Sakrament. Ale kościółek był zamknięty. Oddziela go od ulicy mur. Uklękałam u zamkniętych drzwi.

*(głos dziecięcy)*

*Tam, gdzie mieszkam - szepce -  
Jest śmierć nad kośćmi białymi.  
Tam nie ma ziemi, by sypać  
mogily,  
Tam nie ma deszczów, by szkielety  
zmyły -  
Jest wielka nicość, co w śmierci  
tonie...*

*(szmer deszczu,  
pośpieszny stukot o chodnik kroków  
rozpryskujących kałuże)*

Kontynuuję misję pani Chrzanowskiej. Dawniej ona zabiegała o pomoc sióstr zakonnych, teraz ja, siostra, staram się namówić do pracy charytatywnej osoby świeckiej. Z powodzeniem. Chorymi zarejestrowanymi w parafii opiekuje się prawie dwieście osób. Są wśród nich starzy i młodzi, emeryci i studenci. Podzieliłam ich na dwie grupy: młodzieżową oraz "starszą". Ponadto zorganizowałam sztab ludzi do wykonywania doraźnych usług. Poznani inżynierowie naprawiają sprzęty gospodarstwa domowego, lekarze bezinteresownie udzielają rad i wskazówek w trudnych przypadkach. Mam do pomocy gastrologa i chirurga, rentgenologa i dermatologa, pediatrę, neurologa oraz internistę. Prawie wszystkie specjalności i jeszcze trzech dentystów. W notesie wciąż przybywają telefony osób z samochodami, gotowych w każdej chwili kogoś czy coś przewieźć.

Ale dochodzimy już do ulicy Rydla, do pana Stylińskiego.

*(pukanie do drzwi)*

- Witam, witam siostrę Annę, moje miłości.
- Cóż dziś u pana?
- Siedemdziesiąt dziewięć latek życia, astma, rozedma płuc, owrzodzenie jelit, częste wypróżnianie.
- E..., fachowo, dbają młodzi o pana. Nowy zielony szlafroczek, ciepło, czysto, a i pan dziarski.
- Dochodzą zawroty głowy.
- Rozrzucone papiery. Co pan czyta? Radio Vaticana.

*(szmer deszczu, stukot kroków)*

Panem Stylińskim opiekuje się młoda nauczycielka i kilka studentek. Wpadają do niego na zmianę kilka razy dziennie. Rezygnują z różnych prywatnych przyjemności. Zauważył pan, że nie chciał mówić o własnych dzieciach. To jego najdotkliwsza rana, że mając dzieci, musi być pod opieką parafii.

*(plusk kałuży)* Przy ulicy Zakątek mieszka pani Józefa Z. Nauczycielka, osiemdziesiąt pięć lat, od ośmiu - nie widzi. Kiedyś doktoryzowała się u profesora Chrzanowskiego pracą

"Polska poezja wolnomularska". Odnalazła "Rękopis masoński" Niemcewicza. Boli ją, że od sześćdziesięciu dwóch lat należy do Związku Nauczycielstwa Polskiego, a młodszy w tym Związku nieświadomy i przysyła jej na Dzień Nauczyciela życzenia na powielaczu i zawiadomienie, by się zgłosiła po bilet do kina.

*(pukanie do drzwi)*

Jest pani Marszałek, ekonomistka, która opiekuje się panią Józefą.

- Pani Marszałek jest dla mnie wszystkim. Rozmawia ze mną, czytamy gazety, książkę o Turcji.

- Ach, pani Józefo. Tak wychowano mnie w domu. Kto tylko potrzebował pomocy, ten dostawał. Czynną być! Nie chciałam chodzić wokół jedynie własnego ogona.

- Przed kilku laty ksiądz z parafii wstąpił do mnie ze spowiedzią. Zaoferował pomoc. Córka zadzwoniła do niego dodatkowo. Poznałam siostrę Annę. A później panią Marszałek, która kiedyś pracowała z ks. Piwowarczykiem w "Tygodniku Powszechnym".

- Siostra Anna trafnie dobiera ludzi dla chorych. Ja nie nadaję się do posług fizycznych. Przychodzę tylko porozmawiać. Pani Józefa potrafi nadal bardzo warto myśleć.

- Wdzięczna jestem córce, która mi pierze, gotuje, służy, choć sama jako lekarz kieruje dzielnicowym ośrodkiem zdrowia. Ale proszę nie podawać jej nazwiska.

*(w radiu "Pory roku" ks. Vivaldiego)*

Nazywam się Jadwiga Bittner. Jestem zastępczynią siostry Anny w działalności charytatywnej. Pomagam chorym od około szesnastu lat. Teraz mam ich pięć. Dwóm babciom: dziewięćdziesiąt sześć i siedemdziesiąt lat robię zakupy. Same jeszcze potrafią pitrasić.

Trzeba chorego lubić, nie można się nim brzydzić. Na początku bałam się, ale katecheta nakłonił mnie do spróbowania. Zaczęło się od chodzenia od domu do domu. Wpadłam w nawyk.

Urwanie głowy mam w święta. Muszę pójść wcześniej do moich babć z opłatkiem, by zdążyć na wieczór do własnej rodziny. Jeszcze mnie w niej tolerują. Okazuje się, że czas jest z gumy - starcza go też dla siebie.

W imię czego to robię? Nie rozumiem w tych kategoriach. W imię swojej radości z zadowolonych oczu chorych.

*(pukanie do drzwi)*

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, pani Maliszewskiej, zawsze pogodnej.

- Na wieki wieków.

- Tu, do pani, na Galla, to jeszcze pani Bittnerowa chodziła. A teraz?

- Och, siostrzyczko, studentkę Akademii Rolniczej mam i małżeństwo studenckie Tomiaków. Wcześniej Terenię, Stachę, Julkę, Michała, Tereskę, Justynę, jeszcze jedną Tereskę, Marka, już mi się te imiona mylą, Jolę, Dorożkę, Pawła, ale Paweł teraz nie chodzi, Sławka przychodziła, Tadzik przychodził. Kto w tej chwili chodzi? Jedenaście osób chodzi. No bo cóż bym sama zrobiła? Ja na jednym łóżku z S.M., mąż na drugim bez nogi.

Pielęgniarki w szpitalu dźwigać mnie nie chciały. Ciężka niby jestem. Dwanaście dni w szpitalu i odleżyny - żywe mięso. A tu sprytu, chęci trzeba, nie siły. Moja maturzystka drobniutka, a sobie radzi. Do kuchni węgla naniesie, rozpali, bo nie mam ani wody ciepłej, ani ubikacji.

*(szmer deszczu, stukot kroków)*

Wstaję o piątej rano. Pół godziny modlitwy. O szóstej krótka msza poranna. Śniadanie. A potem jestem już do nocy - z przerwą na obiad - na ulicy, chodząc z domu do domu. Dzień po dniu, bez względu na nastrój czy pogodę. Niekiedy wydaje mi się, że zamknę oczy. Często wieczorem nie jestem w stanie zjeść, niczego wypić, utrzymać szklanki w ręku. Co tydzień przybywa kilkanaście nowych osób, potrzebujących pomocy.

Ulica 18 Stycznia. Wstąpimy do pani Prussner, byłego pedagoga.

*(głos dziecięcy)*

*Głos Boży wpada do ucha.  
Ożyłam i wstałam z niemocy,  
Ku światłu zwróciłam swój wzrok  
I silna w dzień weszłam sierocy...*

*(pukanie do drzwi)*

Gdy miałam pięćdziesiąt osiem lat, złamałam kręgosłup. Rok w gipsie. Choroba Parkinsona. Ktoś zadzwonił do Kurii. Bałam się. Myślałam, że przyjdzie jakaś wiekowa osoba w sutannie z metrowym różańcem... Weszła siostra Anna z czarującym uśmiechem. Przyproceedziła panią, która sprzątała, gotowała, nocowała ze mną. Czegóż więcej mogłam oczekiwać? W ciągu całej doby daję radę na godzinę podnieść się z łóżka.

Przychodzą do mnie dziewczynki z liceum, pani po studiach, bibliotekarka. Dziś mam sześćdziesiąt osiem lat.

*(w radiu "Pory roku" ks. Vivaldiego)*

Nazywam się Tadeusz Kowalski. Wraz z żoną Mieczysławą pomagamy chorym i siostrze Annie. Żona jest bibliotekarką, a ja doktorantem w Instytucie Fizyki Jądrowej Akademii Górniczo-Hutniczej.

Do działalności charytatywnej wciągnęli mnie w czasie studiów koledzy z akademika. Chodziliśmy razem do kościoła, patrzyłem na ich pracę. Spróbowałem. Pierwsze spotkanie z chorym pamięta się długo. Przynosiłem węgiel, paliłem w piecu, zabawiałem się w ogrodnika. Wciągnąłem się. Miałem trzy babcie, teraz mam dwie. Serce i gościec. Jeżdżę do nich, robię zakupy.

Z żoną poznaliśmy się dwa lata temu w grupie charytatywnej. Opiekowała się osobą niewidomą. Bała się, ale dawała sobie radę.

Nie wystarcza mi chodzić do kościoła, modlić się, by być dobrym katolikiem. Odczuwam głębię religijną poprzez ukierunkowaną ewangelicznie aktywność fizyczną. Obcując na co dzień z losami tragicznymi, własne ziemskie problemy stają się mało istotne.

*(pukanie do drzwi)*

- Co tam u pana, panie Ciupek. (Do reportera: Niech pan spojrzy, co gościec zrobił z jego rękami.)

- Ba, gdyby żona żyła...

- Ani piec nie pali, ani nocnika nie ma gdzie opróżnić.

- Starsza kobieta przynosi mi obiady i kolacje. Dobry człowiek. Szkoda, że nie mam córki, tylko syna. Bo córka to by musiała coś mi pomóc, a synowa nie musi.

- Dziewczynki przychodzą do pana prawie codziennie. Niech pan nie narzeka. (Do reportera: Syn mieszka obok, na Rydla, jest kierowcą i ateistą. Obraża siostry zakonne.)

(w radiu "Pory roku" ks. Vivaldiego)

Nazywam się Maria Białą. Pracuję na stanowisku zastępcy kierownika laboratorium Państwowej Inspekcji Skupu i Przetwórstwa Artykułów Rolnych. Będąc na pierwszym roku studiów, usłyszałam w kościele o działalności siostry Anny. Chyba chęć przydania się komuś spowodowała, że podeszłam do niej i zapytałam, czy mogę się na coś przydać.

Pierwszą moją podopieczną była samotna babcia Górka. Węgiel pod łóżkiem, piecyk, sadze. Mówiła: "O, moja studentka przyszła". Jeśli nie mogłam przyjść do babci, zastępowały mnie koleżanki z akademika. I tak one też wciągały się do pomocy.

Pielęgniarstwo parafialne uczy cierpliwości, delikatności, serdeczności, wewnętrznej samodyscypliny, pokory. Bo trzeba się przygiąć, przytaknąć, wysłuchać. W ludziach drzemią piękne cechy, wystarczy je tylko obudzić. Udaje się to siostrze Annie. Jest energiczna, zaradna, sympatyczna, ma mnóstwo znajomych, na których może liczyć.

Raz w miesiącu organizujemy spotkanie członków grup charytatywnych. Jeździmy na wycieczki. Ostatnio umówiliśmy się na ognisko, inaugurujące po wakacjach nowy rok pracy. Siostra zaapelowała o wykrzesanie resztek ducha charytatywnego i przyniesienie kielbasy...

Zawijają się przyjaźnie. Zżyliśmy się tak, że tęsknimy za sobą.

Latem organizujemy chorym wczasy, tak zwane rekolekcje, na których nie muszą się modlić. Wywozimy ich z Krakowa w zieleń, do wynajętych domków w Międzybrodziu Bialskim, Nowej Wsi. Czytamy z rozpromienionych twarzy, że tworzymy jedne z najpiękniejszych chwil w ich życiu.

Działamy poza wszelkimi strukturami urzędowymi. Ale oficjalne listy członków grup charytatywnych mamy. Proszę, niech pan spojrzy: nazwisko i imię, adres, kod, telefon i... dzień imienin. Ha, pamiętamy o wszystkich świętach, świętych.

Koleżanki w pracy wiedzą o mojej działalności pielęgniarskiej w parafii. Choć ją akceptują, powiedziały mi..., że zrobiłabym lepiej, wychodząc za męża. Ale ja nic. Wiem coś, czego one nie wiedzą. Że czystość i lekkość duszy odczuwa się najpełniej wtedy, gdy za zadbanym, nie obawiającym się niczego chorym, zamknie się cicho drzwi.

(głos dziecięcy)

*Nie będę Ci śpiewać!*

*Głosu nie staje -*

*Pieśń rwie się gwałtownie, lka -*

*W piersiach się głuchych coś*

*wrywa,*

*W oczach zapiekłych boli łza,*

*Wszak słyszysz, co myślę,*

*Wiesz, co snuję w podziemnych*

*szarych snach.*

*Wiesz, co czuję...*

*Ja ciszę smutną w usta całuję -*

*Zamykam usta jej pokojem*

*w święty milczenia gmach.*

*Nie będę Ci śpiewać!*

*W milczenia gmachu  
Zagościsz wszak niedługo sam.  
A wtedy prosto, tak bez strachu,  
Przyjdę - i zamknę cicho drzwi...*

(wiersze, według tomu "Chrześcijanie", są autorstwa "Anielki" - zmarłej, po chorobie, w wieku czternastu lat).



## Przybyszewski

Między stawami - stawy podmywają największe przedsiębiorstwo Kazimierzy Wielkiej - cukrownię; zresztą, czy to stawy, czy grzęzawiska, czy bajora ścieków?; drzewiej stawy chciano zagospodarować - między stawami właśnie a Parkiem Miejskim bardzo ciemnym i podejrzanym, bo ledwie oświetlonym wieczorami - w Parku Jasio obłąpił Wyrwinózkę, aż udusił, również Miecio zadźgał nożem sam siebie we mgle alkoholu, gdy Zenio rozpaczliwie demolował ławki drewniane, zresztą mniejsza z tym, że drewniane, bo chodniki twarde rozbijał w mak, tak mu obijały pięty - więc między stawami, Parkiem Miejskim a barem "Parowozik" - trzy kroki od baru snuje się nitka żelazna, po której jeździł (jeździ) parowóz wielki, ogromny, pot z niego spływa, taka maszyna, i pcha węgiel do okolicznych rolników, których moczy deszcz - no?

- Co? Wreszcie pada?! - zaciska radośnie piąstki kelnerka z "Parowozika". - Rosną grzybki, no nie?

- Tu każdy jest rolnikiem, hoduje pieczarki, buraki albo tytoń, posiada działkę i pracuje w mieście, tylko ja nie mam tego, więc patrzą na mnie z politowaniem - mówi Stanisław Przybyszewski w drodze z baru do domu z portretami Przybyszewskich. Bowiem w Kazimierzy, między stawami, Parkiem Miejskim a barem "Parowozik" wiszą portrety Przybyszewskich.

Stanisław Przybyszewski ma pięćdziesiąt kilometrów do Krakowa oraz kilkaset do Gdyni. W Krakowie odwiedza Bolesława Przybyszewskiego, a do Gdyni podąża w sprawie Zbigniewa Przybyszewskiego. Można by też wyliczyć kilometry z Kazimierzy Wielkiej do Warszawy, Gostynina, Wrocławia, Poznania, Olsztyna, Kutna, Ostrowca Świętokrzyskiego, Bydgoszczy, Inowrocławia, Torunia, Włocławka, Łodzi, Bytomia, Zabrze, które Stanisław Przybyszewski pokonał wytrwale. Zjeździł w poszukiwaniu krewnych. Zahaczając korespondencyjnie o miasta: Londyn, Wiedeń, Boonsboro, Sydney na przykład, by nie wymieniać w nieskończoność. Nieskończoność równa się w tym wypadku siedemdziesiąt trzy, gdyż tyle pozycji zawiera lista żyjących przedstawicieli rodu Przybyszewskich. Tę listę Stanisław wozi zawsze ze sobą.

Z krewniactwem cały ambaras. No bo Stanisław Przybyszewski uważa się za spokrewnionego i z komandorem Zbigniewem Przybyszewskim, dowódcą baterii helskiej we wrześniu 1939 roku, i z Jakubem Przybyszewskim, łowczym krzemienieckim, i z Ignacym Przybyszewskim, generałem carskim, i ze Stanisławem Przybyszewskim, pisarzem Młodej Polski, i z Bolesławem Przybyszewskim, profesorem Uniwersytetu Jagiellońskiego. Stanisław ma się za krewnego wszystkich Przybyszewskich od średniowiecza począwszy!

Pracuje w kazimierskiej Spółdzielni Transportu Wiejskiego na stanowisku specjalisty do spraw wszystkich: ubezpieczenia, spedycja i planowanie. Gdy trzeba, zastępuje dyrektora. Można napisać też, podpowiada, że pracuje na stanowisku do spraw najtrudniejszych, ponieważ nikt, tak jak on, nie zna prawa przewozowego. I wystarczy pracy - wcześniejszą emeryturę wspomaga Karta Kombatanta, którą posiada na podstawie między innymi takiego

oświadczenia: *"Ja niżej podpisany, plutonowy WP, Piotr Cichowski, ur. 1912 r., oświadczam, że ob. Stanisław Przybyszewski, liczący sobie wówczas 15 lat, w pełni dzielił trud żołnierski II Mazurskiego Batalionu Obrony Narodowej, zwanego mławskim, w plutonie łączności, w którym pełniłem funkcję dowódcy. Zachowywał się z podziwu godną na jego wiek odwagą. Przebywał tam w mundurku ucznia Gimnazjum i Liceum Ogólnokształcącego w Mławie".*

Wojenną jesienią 1939 roku harcerz Przybyszewski nosił amunicję do okopów. Był stale pod ręką dowódcy. Przepędził raz Niemców w bitwie granicznej - został wyróżniony wpisaniem na stan batalionu. Po wrześniu wrócił do Kuklina, dziewięć kilometrów od Mławy, na gospodarstwo do matki. Dojrzewał w partyzantce. Jako dziesięcioletek wszedł w skład oddziałów do zadań specjalnych Batalionów Chłopskich. Kilkakrotnie brał udział w likwidowaniu funkcjonariuszy i współpracowników gestapo na podstawie wyroku sądu podziemnego. Złożył specjalną przysięgę, zakazującą do końca życia ujawniania partyzanckich tajemnic. Woli opowiedzieć o zamachu, który się nie udał.

W 1944 roku mianowano go dowódcą trzyosobowego oddziału, z zadaniem wykonania wyroku śmierci na zastępcy komendanta obozu straceń w Działdowie, Wagnerze. Wpadli do domu Wagnera, opodal niemieckich koszar. Zastali tylko przerażoną żonę i dzieci. Przeszukali zakamarki i zabrali pięciolampowy aparat radiowy dla sztabu partyzanckiego oraz niemieckie mundury. Gospodyni podbiegła całować ich po rękach. Wycofali się do wioski, by "przedniować". Wagner ruszył w pościg z grupą operacyjną. Leżeli na szopie. Wagner stanął dwadzieścia metrów od nich... Przeczekali. Niemcy nie aresztowali nikogo, bali się zemsty, za to wyznaczili dziesięć tysięcy marek nagrody za głowę Przybyszewskiego, za żywego lub umarłego.

Z partyzantki wyszedł w stopniu podporucznika w stanie wojny, a po wojnie otrzymał Krzyż Walecznych. Mówi, że "generalnie oczyścił" teren mławski z uległych Niemcom Polaków. I że nie są to sprawy przyjemne, ale Polak Polaka przestał się bać. Współdziałał później z desantem rosyjskim, wysłanym ze sztabu marszałka Rokossowskiego. Po wojnie nie przyznawał się zbyt chętnie do partyzantki. Przez trzy godziny odpowiadał w Urzędzie Bezpieczeństwa na te same pytania.

Skończył szkołę w Mławie, ożenił się, wyjechał do Lublina, by studiować pedagogikę na KUL. Lecz bieda zaczęła mu piszczeć dotkliwie. Poszukał pracy w banku, a tam szybko awansował. Przyjął posadę dyrektora oddziału NBP w Krasnymstawie. Źle, że porzucił studia na czwartym roku, dobrze, bo posypali się synowie: pierwszy w 1950 roku, później jeszcze dwaj.

Zamienił Krasnystaw na Ostródę. W tym piętnastotysięcznym wówczas miasteczku poczuł się jak u siebie. Jezioro Drwęckie, park miejski nad Drwęcą, no i tradycje polskiego ruchu narodowego na Mazurach. Nie dane mu było "pomazurzyć" sobie długo - wygnany kłopotami mieszkaniowymi, osiadł w Kazimierzy Wielkiej. Dyrektorski stołek w banku nie pasował teraz do nieprzynależności partyjnej i nie skończonych studiów. Trafił do Spółdzielni Transportu Wiejskiego. W tym miejscu można by życiorys Przybyszewskiego zamknąć. Tylko że w tym miejscu wypadałoby go dopiero rozpoczynać.

Czegóż trzeba, by zacząć żyć w życiu? Impulsu, gorącej iskry czy przypadku? Rytuał przemijania: drgnięcie serca na jazgot budzika, nie rozbudzone kroki wokół reumatycznego lustra ocukrzonego stawu, pytanie o sens, potem słupki cyfr, liczb, znajomość taryf przewoźnictwa samochodowego oraz arbitrażu, własnoręczne przepisywanie dokumentów, aha, bo sekretarka nie dba o estetykę, powrót z pracy wzdłuż nitki kolejowej i obok baru "Parowozik", myślenie, że inni rozmawiają o pieczarkach, przecież niczego nie uprawiam?, wieczorny zakrętas na parkową ławkę, aha, chwila na oddech. Jak żyć w życiu między stawami, Parkiem Miejskim, a barem "Parowozik", ponad rytuałem przemijania i niewyczuwalnym pulsem Kazimierzy?

Przybyszewski pomyślał i stworzył miraż. Odnalazł zamiłowanie do szperactwa historycznego, zaszczerpione jeszcze na studiach.

- Portret komandora Przybyszewskiego. A obok pisarza Przybyszewskiego. Tu pan widzi herby rodowe wszystkich linii rodzinnych - pokazuje Stanisław.

Mieszkanie - rupieciarnia, niech brzmi to sympatycznie. Pięć i pół tysiąca tomów literatury historycznej i wojennej. Roczniki prasy z "polskich miesięcy" zrywów wolnościowych. Stosy dokumentów, worki odręcznych wyciągów z bibliotek i archiwów, odbitki kserograficzne co cenniejszych materiałów. Metrowe drewniane skrzynki z kartami informacyjnymi o wszystkich polskich wyższych oficerach przedwojennych. Kosze zdjęć, wykonanych własnoręcznie, albumy i opracowania. Zbiory bogatsze niż niejednego muzeum. Pasja Stanisława Przybyszewskiego: korzenie rodzinne i druga wojna światowa.

- Tego pan poznaje? - Przybyszewski wskazuje grafikę, wiszącą obok przymocowanych w pionowym porządku portretów kolejno: papieża Jana Pawła II, kardynała Stefana Wyszyńskiego i prymasa Józefa Glempa.

- No, jakże.

- A tego obok Marszałka?

- To pewnie...

- Tak, to generał Sosnkowski. Zresztą ma pan tu przegląd wszystkich generałów.

Owoc kilkunastoletniej pracy, tropem śladów własnego pochodzenia. Od archiwum kościelnego w Mławie, w mieście urodzenia, Przybyszewski poszedł dalej jak po nitce do kłębka. Z piórem i notatnikiem przemierzał archiwa diecezjalne w Gnieźnie i Lublinie, Płocku i Krakowie, w Wągrowcu, Poznaniu i Kruszwicy. Jechał tam, gdzie odnajdywał nazwiska Przybyszewskich. Przewertował Centralne Archiwum Akt Dawnych i Nowych w Warszawie, Archiwum sprawujące wtedy władzę Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, Centralne Archiwum Wojskowe w Rembertowie i Centralną Bibliotekę Wojskową. Docierał korespondencyjnie na Zachód i na Wschód. Z różnym skutkiem. W końcu aż w średniowieczu znalazł Przybyszewskich w Małopolsce, ich ojcowiznę umiejscowił na pograniczu Wielkopolski i Śląska, zaś osiemnastowieczny matecznik - w okolicach Mławy.

Z Mławy wywiódł większość rodzin Przybyszewskich. Oto Przybyszewscy najślynniejsi:

+ PAWEŁ - koniuszy w poselstwie do Szwecji w 1655 roku. Jemu to, zamiast wojewodzie Janowi Leszczyńskiemu, wręczył król Karol X Gustaw akt wypowiedzający Polsce tragiczną w skutkach wojnę z lat 1655 - 1660.

+ JAKUB - łowczy krzemieniecki. - Pisałem do Lwowa w jego sprawie - mówi Przybyszewski - ale odpowiedzieli tak, że nie udało mi się zdobyć nowych informacji.

+ IGNACY - pułkownik polski, generał carski, uczestnik bitwy pod Austerlitz w 1805 roku. - Zamierzam ująć go w artykule. Niebawem, ale on pod Austerlitz wziął do niewoli Napoleona..., przynajmniej mogło się tak wydawać.

+ STANISŁAW - Meteor Młodej Polski. - Meteor... Tak brzmi napis na jego grobie. Profesor Helsztyński z panią Kolińską przedstawili go jako łotra, pijaka i uwodziciela, poza tym niesłownego, naciągacza. Uderzyło mnie to, bo wiedzy, którą posiadał, nie zdobył przecież po pijanemu. Napisałem o tym w "Przekroju", że on i bohema berlińska, której przewodził, nie składała się z obiboków, lecz z artystów na najwyższym poziomie.

+ BOLESŁAW - muzyk, rektor konserwatorium w Moskwie, współpracownik Feliksa Dzierżyńskiego, zginął w okresie beriowszczyzny.

+ STANISŁAWA PAJĄKÓWNA - córka STANISŁAWA, dramatopisarka, autorka "Sprawy Dantona".

+ EUGENIUSZ - ps. Czesław Jasiński, historyk marksista, od 1927 roku w Związku Radzieckim. - Znam się osobiście z jego synem, mieszkającym w Kielcach.



+ STEFAN - działacz Polskiej Partii Robotniczej w Łodzi, zamordowany przez hitlerowców.

+ ZBIGNIEW - komandor, dowódca baterii helskiej we wrześniu 1939 roku, zginął w 1952 roku skazany niesłusznie za zdradę ojczyzny, zrehabilitowany w 1956 roku.

+ BOLESŁAW - ksiądz, historyk sztuki, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, przed i w czasie wojny kanclerz kurii metropolitalnej w Krakowie.

- Wychodziłem o piętnastej ze Spółdzielni i zaczynałem m o j ą pracę, która trwała do nocy. Teraz muszę się już zdrzemnąć po obiedzie... Segregowałem zdobyte materiały, pisałem opracowania, czytałem konieczną literaturę. Wszystkie wolne dni, wszystkie urlopy, wczasy i sanatoria, okazyjne wyjazdy umożliwiały mi docieranie do różnych zakątków kraju, do miejsc urodzenia i śmierci Przybyszewskich. Spotykałem się z żyjącymi Przybyszewskimi. Byli zachwyceni, zdumieni, gdy zobaczyli, jak nas dużo łączy. Żaden z członków r o d z i n y nie miał pojęcia o swej przeszłości. Na podróże wydałem mnóstwo pieniędzy. Żona patrzyła na mnie trochę podejrzliwie. A ja docierałem do takich miejsc i danych, o których najęźsi znawcy przedmiotu nie mieli pojęcia. Zbudowałem kompletne drzewo genealogiczne.

- Po co?

- Dla synów.

Pierwszego wziął pod obróbkę syna najstarszego, też Stanisława. Dopóki syn nie poszedł na własne śmieci pracować w szpitalu w Proszowicach na stanowisku urzędnika do spraw dokładnie nie wiem jakich, tak mówi ojciec, nie ożenił, dopóty odegrał rolę znaczną. Utalentowany literacko (druki opowiadań) i malarsko (sprzedał kilka obrazów), pomagał w zapisywaniu dziejów rodziny.

Średni syn Ryszard zawieruszył się jako zawiadowca stacji w białostockich Starosielcach. Został syn najmłodszy, Andrzej, student Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Krakowie. Andrzej poznał na wrywki historię rodu oraz drugiej wojny światowej. Wspólnie z ojcem podjął pracę nad całością literacką pod tytułem: "Komandor Zbigniew Przybyszewski". Pierwsza część całości, zatytułowana: "Saga rodu Przybyszewskich", gotowa - na kilkuset stronach opowiada dzieje rodu. Druga część, o komandorze Przybyszewskim, czeka na opracowanie.

- Oto najbliższe plany. Nie zamierzam składać książki w wydawnictwie, byłby tylko kłopot. Wystarczy, że ją odbiję na kserografie i roześlę po rodzinie. Następnie spodziewam się, że Polski Słownik Biograficzny dojdzie do litery "P". Nawiązałem kontakt z jego wydawcami - zgodzili się, bym opracował jedną z notek biograficznych. Jasne, że nie zlecą mi Stanisława, tego oddadzą pewnie profesorowi Helsztyńskiemu. Zbigniewa przekażą oczywiście panu Petryce z Gdyni. Mnie wystarczy jakiś pomniejszy Przybyszewski. Może Paweł, burmistrz Zamościa w okresie powstania listopadowego? Tak, teraz wybieram się do Zamościa - decyduje Stanisław Przybyszewski między stawami, Parkiem Miejskim a barem "Parowozik" w Kazimierzy Wielkiej.



## Życie i śmierć Stanisława Salwerowicza, ukrzyżowanego jak Chrystus

W aktach sądowych paranoicznego mordercy Mieczysława Słomki, mylącego zapisy biblijne z życiem - zdjęcia dowodowe. Na zdjęciach - wbity w ziemię krzyż z ukrzyżowanymi zwłokami Stanisława Salwerowicza...

**RODOWÓD STANISŁAWA SALWEROWICZA, SYNA STANISŁAWOWEGO.** Według mordercy od Stanisława pochodził Jan, po Janie Stanisław, po Stanisławie Władysław, po Władysławie Antoni, pośrodku Maria, która pochodziła od Józefy z Kucminów z Wólki Milanowskiej.

Z narodzeniem Stanisława Salwerowicza tak było: Józefa, matka jego, zaślubiona była Stanisławowi. Stanisław był jej mężem. Kiedy znalazła się w stanie błogosławionym, rzekł jej: - Porodzisz syna i nadasz mu imię Stanisław. A ona powiła syna i nadała mu imię Stanisław.

Gdy się Stanisław Salwerowicz narodził w Winnicy starosłupiej za czasów rozwiązania Dumy i próby generalnej wielkiej rewolucji, przybyli do Starej Słupi sąsiedzi, starosłupczanie, i pytali: - Gdzie się podzieje toto? - A Stanisław, ojciec Stanisława, odpowiedział: - Dziadkowie jego od strony ojca kupili ziemię za rubelki, dziadkowie jego od strony matki, uczestnicy powstania styczniowego, postawili zabudowania na niej, więc on z ziemi tej świętokrzyskiej się począł i w niej spocznie.

W owym czasie pojawił się ksiądz Jan z klasztoru św. Krzyża na Łysej Górze, aby dać mu się ochrzcić. - To jest dziecko rozkoszne, które upodobałem sobie - rzekł. Po jego odejściu nadciągnęło wojsko. Takiej prawdy dowodzą akta sądowe.

**UCIECZKA NA ŚW. KRZYŻ.** Wtedy Stanisław, ojciec Stanisława, postanowił: - Wstanę, wezmę dziecię i matkę jego i ujdę na górę. Wstał więc, wziął wszystkich jeszcze podczas nocy i udał się na górę. Tak miało się spełnić to, co ksiądz Jan zapowiedział: - Jeżeli usłyszysz wojsko, przychodź do mnie.

**RZEŻ.** Nazajutrz pod Górą Hełmową, która czerwieniała od porżniętych pni modrzewia polskiego, stała się bitwa na broń białą. Rozległ się krzyk, płacz i jęk wielki, to matki oplakiwały dzieci swe. Tak pozostawało aż do żołnierskiej śmierci Franciszka, brata Stanisława, a stryja Stanisława.

**POWRÓT DO WINNICY.** Gdy Franciszek umarł od ran pierwszej wojny światowej, Stanisław, ojciec siedmioletniego Stanisława, postanowił: - Wezmę dziecię i matkę jego i powrócę do Winnicy. Bo pomarli już ci, którzy czyhali na ich życie. - W tej też chwili ujrzał słup ognia. To Austriacy wysadzili się w powietrze w wieży na Św. Krzyżu.

**MŁODOŚĆ STANISŁAWA SALWEROWICZA.** Młodość Stanisława Salwerowicza upływała wśród Żydów. Żydzi zamieszkiwali nowosłupiański Rynek, a było ich dużo, że tylko trzech Polaków uchowało się przy nim. Po 1920 roku Stanisław, syn zmarłego już Stanisława, posadził sad. - Sad rajski to - rzekł. Do sadu przyjeżdżali Żydzi. Gdy szedł raz

wzdłuż granicy sadu, ujrzał dwóch braci Żydów i wezwał ich: - Podejdźcie, a napelnę kosze wasze owocami sadu. - Natychmiast podeszli, a kosze ich wypełniły się owocami. Bracia ci, Szymon i Tadeusz Dudkowie, zaraz zbudowali suszarnię w sadzie. Była to rusztowana skrzynka ze szczebelkami, zastępowanymi czasem przez żelazną siatkę. Pod suszarnią kopali doły, w nich palili ogień, który suszył owoce w skrzynce. Suszone owoce sprzedawali w sklepiku przy nowosłupiańskim Rynku.

Wtedy Stanisław sprzedał sad Żydom. Rzekł: - Niechaj wam się stanie tak, jak zapragnęliście. - Oni wzięli się za ręce z radości, a pragnienie posiadania sadu opuściło ich.

**PRACA STANISŁAWA SALWEROWICZA.** Dowiedziawszy się, że brat zmarłego Franciszka i ojca Stanisława, a jego stryj Michał, przebywa w Warszawie, udał się do niego, by zamieszkać. Nosił się z tym zamiarem od dawna, albowiem ziemię uprawiali bracia. Gdy przybył do Warszawy, zabiegł mu drogę stryj Michał, właściciel kawiarni na Woli. Zaczął krzyżeć: - Czy po to tu przyszedłeś, żeby mnie dręczyć przed czasem? - A on odparł mu: - Ruszam dalej.

Wtedy wsiadł do pociągu i przebywszy trasę, przybył do miasta Starachowice. Tam podjął pracę w zakładzie energetycznym, budującym linie wysokiego napięcia. Wpierw dołki kopał pod słupy przypominające krzyże. Działo się tak w województwach warszawskim i lubelskim. Aż zaszedł pod sam Św. Krzyż, w rodzinne strony. Polubił go kierujący inżynier, więc zamiast łopaty wręczano mu miernik elektryczny, z którym pracował. Zarabiał siedem złotych dziennie. I otworzyły mu się oczy. Kupił rower. Wtedy przyjeżdżał co niedziela do Starej Słupi, wyrosłej z Winnicy. Ludzie przystępowali do niego z zapytaniem: - Jak to się dzieje, że żarówka świeci? - Odpowiedział im: - Czyż może być tak, byście prądu nie znali? Nadejdzie czas, że poznacie. - Tyle ze słów Stanisława Salwerowicza zapamiętał sąsiad Kazimierz Kucharski.

**SYN HENRYK.** Gdy tak do nich przemawiał, rozumieli, kiwali na zarozumiałość i odchodzili. Tymczasem pewna niewiasta zbliżyła się i pokochała go. W warszawskim kościele św. Teresy odbył się w 1941 roku ich ślub. Ze związku tego narodziło się jedno dziecko, syn Henryk, by potem było komu przekazywać prawdę o ojcu.

Stanisław Salwerowicz wraz z żoną trudził się handlem podczas okupacji. Szmuglował żywność do Warszawy. W zamian przywoził denaturat, naftę, bo była potrzebna we wsi. Gdy spoglądał na rzesze ludu, ogarniała go litość nad nimi, bo były znękanе i sponiewierane. Aż wywieziono go do Niemiec na roboty. Po wojnie, jako pierwszy w Starej Słupi, kupił w 1947 roku radio "Haga". Taką prawdę o życiu zapamiętał Henryk, syn Stanisława.

**OJCIEC I SYN.** Potem Stanisław Salwerowicz obchodził pola swoje. Wpierw po reformie rolnej - 3.45 hektara, następnie po dokupieniu - 6.33. Cztery zboża podstawowe, ziemniaki, buraki, plantację porzeczek i całą resztę. Wszystko, co akurat wypadło.

Z dorastającym synem pielgrzymował w Boże Ciało do Św. Krzyża, który spoglądał z góry na ich domostwo. I stało się, Stanisław doczekał wnuków: Renaty, Wioletty i Sławomira, a jego syn Henryk, z powodu zdiagnozowanego uczulenia, przestał spożywać mięso, nawet rybę.

Syn zwracał się do ojca tak: "Dziadziusiu kochany, chciałbym zrobić to i to", "Czy dziadziusiu może pójść tu i tu" albo "Czy mógłbyś to zrobić, dziadziusiu?". Ojciec zwracał się do syna tak: "Synu, chciałbym wziąć twój garnek" albo "Henryk, czy mam ci w czymś pomóc?". Taką prawdę o Stanisławie Salwerowiczu przekazał sąsiad Tadeusz Pierzchała.

**PRZYPOWIEŚĆ O FALACH.** Kiedy Stanisław Salwerowicz szedł wraz z synem Henrykiem pośród zboża, rzekł jemu taką oto przypowieść. Był dawniej czas, że te zazielenione drzewami i pożółkłe pszenicą pagórki zamieszkiwali dorodnie i zdrowo ludzie, zwierzęta oraz rośliny. Ludziom patrzyło z oczu szczęście, twarze ich, opalone słońcem, rysował uśmiech beztroski, dłonie, choć spracowane, nie zamykały się w pięści. Zwierzęta

dzikie i domowe buszowały gromadnie po ukwieconych łąkach, zające objadały bez strachu kapustę, dziki swawolnie ryły ziemniaczane korytarze, tylko pies poszczekiwał na nie nieprzyjaźnie, bo z obowiązku. Klenie w rozlanej w żabi staw Słupiance rosły do metra, a borowiki ścięły się wielkością z wrzosami. Na Łysą Górę przywoływał dobrych ludzi dzwon klasztoru. Szli więc ku niemu niedzielami, gdy spostrzegli, że przestali być dobrzy.

Czas przemiany wykuwała telewizja. Gdy się rodziła, bagatelizowali niepokoje, gdy spotężniała, musieli zamykać już swoje serca. Stało się tak w którymś roku sześćdziesiątym, kiedy ponad klasztor św. Krzyża wyrósł przekaźnik telewizyjny na Łysej Górze. Jeszcze wówczas rzadko którą strzechę przebijała antena, a poczęły ginąć paprocie, maślaki w swej dawnej liczebności złocistsze niż słoneczniki. Owocowe krzewy dziczały, jagody schły w oczach, staw rzeczny spłynął gdzieś wraz ze śniętymi rybami, stado dzików uszło, a zające wystrzelano w zorganizowanym polowaniu. Wtedy, poprzez skojarzenie, objawiła się ludziom przyczyna zła: fale przekaźnika telewizyjnego. Albowiem z początkiem ich bytności w każdej cząstce powietrza zaczęło się wokół nich dziać piekło. Uwierzyli w zło fal, w zło, które niszczy nie tylko runo leśne czy zwierzęta, lecz również sprzyja chorobom ludzi. - Zatem wiedz o tym, synu - rzekł Stanisław Salwerowicz - że fale te zawsze mogą przynieść nieszczęście dla każdego. Gdy skutki ich dostrzeżesz, zrozumiesz, że to, co ma się stać, jest bliskie, stoi u progu. Wtedy z dwóch, których dotkną, jeden zostanie chory, a drugi zdrowy. I poróżnią się. Będzie tak, aż przeminie to pokolenie i pokolenie następne. A pokolenie kolejne będzie przemijać. Wszystko przeminie, ale słowa moje nie przeminą. - Słowa te zapamiętał Henryk, syn Stanisława.

**STANISŁAW SALWEROWICZ STRAŻAKIEM.** Gdy Stanisław Salwerowicz zakończył swą przypowieść, ubrał się w mundur strażacki. Wówczas weszli do izby członkowie rodziny oraz lubiący go sąsiedzi i podziwiali go. W klapę wpiął złoty, srebrny i brązowy medal za zasługi dla pożarnictwa, odznakę Tysiąclecia Państwa Polskiego, order za wysługę pięćdziesięciu lat w związku Ochotniczych Straży Pożarnych, był przecież najstarszym członkiem starosłupiańskiego OSP i gospodarzem straży, jednym z tych, co własnoręcznie budowali remizę. Wówczas powiedział sąsiad Piotr Mazur, nie wiedząc, co mówi: - Spokojnyś i nie targasz się. Jakowoż lubisz wieszać na piersiach medale. Kiedy jaka uroczystość, państwowa manifestacja czy kościelna procesja z obrazem świętym, niesionym ze Św. Krzyża do Nowej Słupi, zakładasz mundur z medalami i idziesz. Tak pokazujesz, żeś coś wart. Tak dążysz, żeby się czymś wyróżnić wśród ludzi, by cię nie zapomnieli. Oby cię nigdy nie spotkało wyróżnienie niechciane.

**STAROŚĆ.** I przyszedł taki czas, że pochował matkę swoją, że pochował ciotkę swoją, że pochował siostrę i wszystkich kolejno braci swoich, aż został sam stary z całej rodziny. Spał jak chciał, wstawał jak chciał, papierosa zapalił, kielicha wypił, zaklął, bo czemu nie, rzeško się trzymał. Wnuki pokolysał, one go kochały jak nikt, bo był z nimi i kochał cały dzień. Poklepał konie, popatrzył na przetrzaszacho - zgrabiarkę, usiadł na kopaczkę konną do ziemniaków albo przejechał się z dziećmi na kosiarce.

**URZĘDY.** Syn Henryk gospodarował na ziemi, więc brakowało mu czasu na urzędy. Wtedy Stanisław Salwerowicz rzekł: - Słabym fizycznie, ale pouginać się w urzędach zdołam jeszcze. - Jak powiedział, tak i uczynił. W kółkach rolniczych potrafił załatwić maszyny, brakujące w gospodarce, a w gminie cement i pustaki. Syn Henryk powiedział na to wówczas: - Pojadę, dziadziusiu, pole zaoram. A ty weź laseczkę i załatwiaj w gminie, bo ja straciłbym w urzędach cały dzień, a i tak wracałbym z pustymi rękami.

**TYDZIEŃ W SZPITALU.** Gdy Stanisław Salwerowicz uczył, że jest potrzebny nadal w gospodarce mimo swych siedemdziesięciu sześciu lat, przydarzył się mu taki oto wypadek. Spadł z szopy na wystającą żerdź i połamał zebra swoje. I wzięło go pogotowie do szpitala w Ostrowcu Świętokrzyskim, gdzie przebywał tydzień. Wrócił sam pieszo na pole ze słowami: - Zaprawdę chciałbym, byście mnie, dzieci, pochowali w trumnie modrzewiowej przy moich

rodzicach. Modrzew z Góry Helmowej trwalszy w ziemi niż sosna, trwalszy nawet niż dąb. - Odpowiedział mu na to syn Henryk: - Co też, dziadziuś to jeszcze nas przeżyje. - A nie wiedzieli, co mówią.

MODRZEW DLA MIECZYŚŁAWA. Wówczas udał się Stanisław Salwerowicz do Mieczysława Słomki z deskami modrzewiowymi, dobrze wysuszonymi, jak idzie rolnik do wiejskiego stolarza, by mu z desek wyciął ramy okienne oraz drewnianą donicę na pokojowy kwiat. A Mieczysław Słomka był dobrym stolarzem, przekroczył był dopiero czterdziesty rok życia, z czarną brodą i spiczastym nosem. Czasem chorował na głowę i wtedy czuł się źle. Ludzie wiedzieli o tym, jak i pamiętali o falach z Łysej Góry.

Kiedy po pewnym czasie syn Henryk poszedł do Mieczysława Słomki, ujrzał część ojcowych desek nie tkniętych. Zrozumiał, że stolarz nie ruszył do przodu z robotą. A działo się to na trzy tygodnie przed 19 maja 1983 roku. Rzekł syn Henryk do Mieczysława Słomki w te oto słowa: - Juźci, niegotowe. Zapalisz? - Mam takie papierosy, ale zapalę - przyjął poczęstunek Mieczysław Słomka.

- Jak tam, działasz coś?

- Robi się. Desek dużo, że zostaną. Wyjdzie z nich na zapas ze trzy wazonny na kwiaty.

- No, to idę.

- Nie chodź jeszcze.

- Zapalisz?

- Nie już.

- Mieciu, idę, bo jeść mi się chce.

- Z ojcem uzgodniłmy, wszystko będzie gotowe - rzekł na pożegnanie Mieczysław Słomka.

ŻARTY. A i było tak, że Stanisława Salwerowicza nachodziły żarty. Śmiali się z nich czasem ludzie, jak zrozumieli. Trzy żarty zapamiętała synowa, Henryka Salwerowicz: - Pierwszy żart to był taki, jak opowiadał, że mu Niemcy wszystkie zęby powybijali na robotach przymusowych. Drugi żart to był taki, że przychodził dziadek do urzędnika z kótek rolniczych ze słowami: "Dasz butelczynę? A bo ja mam sto złotych". Trzeci żart to był taki, że my się nie śmieliśmy. Gmina przyznała nam siedem ton cementu, a na liście wywiesili, że jedną. Poszedł dziadek, zażartował: "Tu się wam jedynka z siódemką pomyliła" i poprawili. Dziadek lubił pożartować sobie, taka prawda.

OSTATNIA KOLACJA. Kilka dni przed Zielonym Świątkami, a działo się to wieczorem 19 maja, Stanisław Salwerowicz zasiadł za jednym stołem z synem, synową oraz wnukami, po czym posilił się. Rzekł: - Ja idę. - Odpowiedział mu na to syn Henryk: - Dziadziuś, nie chodź.

- Nie, idę.

- Nie chodź, przecież boli cię głowa i boli. Nigdy cię, dziadziuś, głowa nie bolała.

- Nie, nie mogę - na to Stanisław Salwerowicz.

A dzień ten był bardzo męczący. Pracowali wszyscy przy budowie nowego domu: składali kuchnię, rznęli futryny, gwintowali blachy. Przebronowali pole, trzy wozy ziemi wywieźli spod miejsca na szambo. Toteż, gdy dochodziła godzina dziewiętnasta, myśleli bardziej o odpoczynku niż o przekomarzeniach.

DROGA PRZEZ POLE. W końcu posnęli. A on poszedł. Kiedy Stanisław Salwerowicz szedł przez pole sąsiadów, odczuł ból wielki, który zdawał się rozsadzać mu skroń. Rzekł w zapadający zmierzch: - To chyba fale z Łysej Góry. - Nie mógł wiedzieć, że ból wielki opętał również skronie czekającego na niego stolarza Mieczysława Słomki. Wówczas usłyszał: - Gdzie tak pan idzie wieczorem? - Poznał głos sąsiadki Krystyny Sucheckiej. Pożalił się oddalwszy, potem odpowiedział jak lubił, żartem: - Ja idę do młodszej odmłodzić sobie. - Tyle przekazała sąsiadka Krystyna Suchecka.

DOMOSTWO MIECZYŚLAWOWE. Wówczas szedł ścieżką między pszenicą, kiedy ugięła się pod nim kładka drewniana na Słupiance. Potem wszedł w pole między żyto i pszenicę, gdy zrównał się z krzakami malin i kartofliskami. Stał przed furką żelazną zagrody Mieczysława Słomki. Studnia przykryta żelaznymi blachami, podwórze, chlew, stodoła i stolarnia. Drewno i kamienie, uporządkowane w przyzmac. W stolarni heblarka, piła tarczowa, deski. W ogródku betoniarka, zmontowana z części przez Mieczysława Słomkę. Za ogrodem dwadzieścia pięć uli, zbudowanych przez Mieczysława Słomkę. Starannie uprawione pole.

Wtedy Stanisław Salwerowicz uderzył pięścią w metalową furkę. Po chwili usłyszał kroki. Kiedy uchyliły się stalowe wrota, stanęła przed nim postać Mieczysława Słomki.

STANISŁAW SALWEROWICZ PRZED MIECZYŚLAWEM SŁOMKĄ. Wtedy spełniło się to, co miało. Stanisław Salwerowicz stanął przed Mieczysławem Słomką. A Mieczysław Słomka zwrócił się do niego z pytaniem: - Czy ty jesteś królem żydowskim? - Stanisław Salwerowicz zdziwił się i nie odpowiedział. Takiej prawdy dowodzą zeznania z akt sądowych.

Wówczas udali się do stolarni. Kiedy Stanisław Salwerowicz ujrzał w niej tabliczki z napisami: "Do Wzgórza Golan" i "Piekło na ziemi", rzekł mu wtedy Mieczysław Słomka: - Czy nie słyszysz, ile skarg przeciw tobie wytaczam? Denerwowałeś mnie często, dokuczałeś mi żartując, że niczego nie mam, żony nie mam, dzieci nie mam, bo uciekły. Czy mam cię ułaskawić? Nie! Przyszedłeś po trumnę z trwałego modrzewia i po pamięć ludzką na wieki. - Tu chwycił półmetrowy żelazny łom i ugodził nim Stanisława Salwerowicza w głowę. Kiedy ten padł na ziemię, rzeźił. Wtedy Mieczysław Słomka wziął w dłonie nóż, pchnął nim dokładnie w serce Stanisława Salwerowicza oraz przebił patrzące oczy jego.

UKRZYŻOWANIE. Po tym akcie zdjął z niego koszulę, spodnie i buty, pozostawiając go w czarnych spodenkach. Przeciągnął ze stodoły, wykonany ze Stanisławowego drewna modrzewiowego, krzyż. Potężnymi gwoździami przytwierdził do niego Stanisława Salwerowicza. Wózkiem przetransportował krzyż i zwłoki na skraj pola, tam wbił krzyż z ukrzyżowanymi zwłokami w dołek, przygotowany wcześniej w ziemi.

Wówczas nadeszła burza. Zabłysnęło i zagrzmiało we wszystkich zagrodach, mimo to przekaźnik telewizyjny w sąsiedztwie Św. Krzyża bez przeszkód emitował w ten wieczór czwartkowy thriller "Wyspa mew" o schizofrenicznym mordercy.

Nazajutrz, po dusznej nocy, Stanisław Salwerowicz został zdjęty z krzyża. Stwierdzono, że jego morderca Mieczysław Słomka jest schizofrenikiem paranoidalnym, dwukrotnie już leczonym w szpitalu dla psychicznie i umysłowo chorych w Morawicy. Św. Krzyż mylił z Golgotą, a święte wydarzenia z rzeczywistością. Nie pomylił się co do jednego: w pamięci potomnych zapisał swoją ofiarę na wieki.



## Bokser

Przypuśćmy, że jak każdy psychiatra mam źle w głowie. Psychiatria leczy psychozy, choroby psychosomatyczne i nerwice. Psychoza to klasyczne zaburzenia procesów myślenia. Ze schorzeniami psychosomatycznymi mamy do czynienia wtedy, "kiedy nie pomagają łązy prawdziwe, a zaczynają płakać narządy". W nerwicach konflikt zaszyfrowany jest w symbolu. Na przykład powód choroby: strach kobiety przed zajściem w ciążę - przeradza się w symbol w formie lęku przed przejechaniem stacji w pociągu.

Dolega mi nerwica, w takim razie i ja mam źle w głowie. Powód choroby: szpital psychiatryczny w Kościanie. Objaw choroby: agresja zdyscyplinowana w słowie i piśmie. To symbol, szyfr... tego wszystkiego, co się w szpitalu dzieje.

Mówię ludziom, by mnie nie zaczepiali. *Noli me tangere*, nie dotykaj mnie, kurwa, to rzecz pierwsza. A oni nie pozwalają żyć, mają coś zawsze do mnie. Kiedy skarżę na nich, to szurają: "Ja to tam pisać nie będę - kolega kpi - ja nie jestem literat".

Stosują różne formy ostracyzmu. Ale mniejsza z tym. Potrafię odgryźć się, no nie?

Piłem mało, teraz nie pije w ogóle. Palilem dużo papierosów. Nie palę. Życie spędzam w izolacji od większej grupy ludzi. Nie sądzę, bym nie umiał współżyć z nimi. Bardzo chętnie rozmawiam, dowcipkuję, ale gdy jestem sam, to nie płaczę.

Czuję w sobie złość od dzieciństwa. Powiedziałbym, że jestem zajadły, zaprogramowany do walki. Jak bokser, pies bokser.

Wyrzucali mnie zewsząd, od kiedy rozpocząłem życie społeczne. Wpierw odesłali z kościoła, bo odszturchnąłem się koledze ministrantowi przed ołtarzem. W szkole podstawowej i średniej przesuwali z klasy do klasy. Nie poradzili. Bo ja nigdy nie uwierzę, że czarne jest białe dlatego tylko, że uważa tak większość. Odpychali mnie. Odgryzałem się w miarę możliwości. Przeciwno większości trudno zareagować specjalnie.

Psychiatria wzięła się u mnie z konieczności. Choruję na postępujący zanik mięśni: o, tu, dziura - brak mięśnia, nie wyprostuję palca. Z ograniczoną sprawnością ruchową nie miałem co szukać na chirurgii ani na żadnym innym kierunku zabiegowym. Nawet laryngolog operuje migdałki rękami. Interna? Każdy lekarz jest internistą po trochu. Jedyne zabiegi, który muszę wykonywać od czasu do czasu jako psychiatra, to nakłucie lędźwiowe. A z tym radzę sobie niczego. Na psychiatrii spostrzegłem ponadto, że nie tylko ja jestem inny...

Byłem takim *enfant terrible*. Kiedy słyszałem na zebraniu naukowym, że pani docent H. myli lizozym z lizosomem, a lizozym to białko o właściwościach bakteriobójczych, a lizosom to element morfologiczny komórki, ciarki przechodziły mi po plecach. Nie omieszkwałem odezwać się zaraz. Tłumaczyłem, że referat dotyczył lizosomu, a pani docent mówi o lizozymach. Trudno się dziwić, że docent H. nie wzięła mnie do kliniki. Więcej: mnie nie tylko nie chciano zatrzymać w Poznaniu, ale wypychano z niego na siłę. Takiego kogoś nikt nie weźmie. Tak - tak, mówi się, on jest bardzo zdolny, ma przyszłość przed sobą, tak, tak... Niech radzi sobie sam.

## Uznał mnie za głupka

By podtrzymywać się na zdrowiu i skończyć studia, zainteresowałem się kwasem mlekowym - przedmiotem mojej choroby. Ideę stosowania kwasu mlekowego przedstawiłem profesorowi H. Na moje nieszczęście koncepcję swą ogłosili wcześniej Amerykanie. Profesor uznał więc, że ja jestem głupek, no bo gdzie mi tam do Amerykanów. Do tego pognębił mnie jeszcze panią docent H., która stwierdziła banialuki - coś odwrotnego akurat niż ja. Cóż mogłem zatem uczynić, jeśli członek rzeczywisty PAN uznał mnie za głupka? Zobaczyłem fachowe pismo niemieckie "Ärztliche Sammelblätter", ukazujące się w Stuttgarcie. Przejrzałem. Wziąłem jeden egzemplarz. No i napisałem swoje spostrzeżenia na temat kwasu mlekowego, mleczanu w ogóle. Wydrukowali. Odbitkę dałem profesorowi H. do przeczytania. Po czasie widzę: on nie rozumiał nic z tego. Powiedziałem pani docent H., że dyskusja z profesorem jest bezowocna, bo pan profesor nie rozumie, na czym koncepcja polega. A ona rozniosła wszędzie, że ja śmiałem powiedzieć, że profesor nie rozumie. Cóż straszniejszego? Jeśli nie znał niemieckiego, to nie rozumiał. Profesor znał angielski, siedł z Andersem, całą wojnę siedział w Edynburgu, wykładał tam na uniwersytecie. Angielski znał dobrze, ale niemieckiego nie znał, kurwa.

Publikacja w "Ärztliche Sammelblätter" stała się gwoździem do trumny. Nikt mnie widzieć nie chciał od tego czasu. Kto weźmie takiego, co nie ma dyplomu, a jest już po zagranicznej publikacji? Wiadomo - nie wejdę w hieratyczne układy w klinikach, nie dam się utemperować.

Drugą pracę wydrukowałem w Monachium. Zainteresowali się nią Hiszpanie. Gdy po raz pierwszy zobaczyłem swoje nazwisko: Jan TOMASZKIEWICZ, powielone po hiszpańsku w dużym tekście, solidnie wzmocniłem postawę - nie dawać się! Znalazłem się też we włoskiej gazecie. Skontaktowali się ze mną Amerykanie, grupa aktorów z Kalifornii, z McQueenem między innymi. Napisali, że są małą grupką, zawiązaną do pomocy w leczeniu mięśni, i czy nie zechciałbym pomocy finansowej. Jaką ja mógłbym chcieć pomoc finansową? Poszedłem do docenta P., biochemika, pytam, co zrobić. Bo wezmę dolary i zeżrą mnie tu. "Niech kolega napisze do ministerstwa" - poradził. Gdy zobaczyłem, co mnie czeka, to podziękowałem. Odpisałem, że nie chcę żadnych pieniędzy z Kalifornii, ale niech mi raczej zaprenumerują pisma fachowe na kilka lat. Wymieniłem jakie. Odpowiedzieli, że mogą dać dolary, a pism prenumerować nie będą. Chcą wydatkować pieniądze, a nie angażować się w sprowadzanie pism. Nie dostałem zatem ani dolarów, ani pism. Odetchnąłem szczęśliwy nawet, że odczepili się z tymi dolarami...

Skończyłem staże, otrzymałem dyplom w 1961 roku, widziałem, co dzieje się na oddziałach: jeden profesor, jeden docent i tłum kobiet, przez który nie może pan przedrzeć się ze swą ideą. One nie rozumieją nic z tego, co się do nich mówi. Zorientowałem się, że nie dano by mi w Poznaniu i tak żadnych możliwości rozwoju w psychiatrii.

Mam takie okresy, że niszczę papiery. Nie lubię wspomnień... Byłem rozwiedziony po dziesięciu latach małżeństwa, teraz jestem owdowiały. Z była żoną, która zmarła niedawno, nie mogłem porozumieć się. Został syn, poszedł swoją drogą. Pamiętam w każdym razie, że ogłaszałem się w Chicago, w biuletynie lekarskim. Spotkałem się z deprecjonującą sugestią, że każdy chory wymyśliłby coś na swój temat. Więc dobra, mówię, przestaję myśleć o mięśniach. Leczyłem się dalej, sam oczywiście, korzystając ze środków medycyny oficjalnej. Brałem także substancje, *in spe* zmieniające oddychanie tkankowe, spoza medycyny, z jej obszaru nieznanego. Kiedyś zaszkodziły mi one bardzo.

Czytam nową chirurgię, neurologię, a przede wszystkim biochemię, biofizykę. Mniej psychiatryczną prasę fachową. Bo nie obchodzi mnie, co kolega wymyślił standardowego.



Wiadomo, że nic takiego przydatnego. Szukać trzeba na krańcach. Sięgnąłem do Chomskiego, do gramatyki generatywnej. Wpadłem na pomysł, jak zastosować osiągnięcia gramatyki generatywnej w psychiatrii. Wszystkie metody psychoterapeutyczne posługiwały się dotąd słowem przede wszystkim, czyli zmierzały do ośrodka mowy, który znajduje się w lewej półkuli mózgu. Doszedłem do wniosku, że emocje, które decydują o zachowaniu się człowieka, nie mieszczą się w lewej, lecz w prawej półkuli mózgu. W tej zatem, która zawiaduje lewą ręką. Należy więc porzucić bodźce słowne i uczynić prawą półkulę mózgu przez wykorzystanie lewej ręki. Moja terapia, wpływająca na emocje, poleca pisanie słów o największym znaczeniu emocjonalnym dla pacjenta - lewą ręką. Oduczyłem się palenia papierosów. Domniemywam, że dzięki temu.

Ideę terapii chciałem opublikować w Polsce. Nie miałem do kogo się zwrócić. No bo co tam... lewa ręka?..., on ma źle w głowie! Koncepcję posłałem do Heidelbergu. Ukazała się na początku 1978 roku w międzynarodowym piśmie "Praxis der Psychotherapie", sformułowana jako metoda psychoterapii. Tak docenili. W 1981 roku dowiedziałem się o książce Amerykanki Betty Edwards "Drawing on the right side of the brain", wydanej w USA w 1979 roku. Prezentuje w niej moją koncepcję żywcem bez poinformowania o źródle inspiracji. Dociekam praw autorskiego pierwszeństwa. Nawet w Polsce nie kwapią się z wydrukowaniem pism wyjaśniających.

### Byłem jej na rękę

Szukałem pracy po studiach. Spotkałem kolegę. "Gdzie biegasz, stary, skoro masz Kościan pod nosem". Wydawało mi się, że w szpitalu psychiatrycznym w Kościanie, znanym w Polsce, nie ma miejsca dla mnie. "Coś ty, tam nie ma lekarzy w ogóle" - kolega na to. Rzeczywiście. Pani dyrektor K., taka życiowo oblatana, przyjęła mnie. Zorientowała się, jakim jestem typem. Prowadziła politykę mieszania: młodych przeciwstawiała starym, starych młodym, partyjnych bezpartyjnym, robotników inteligentom, inteligentów inteligentom... Byłem jej na rękę. Dała mnie od razu do najzłośliwszego lekarza. Ustawiłem kolejność dziobania intelektualnego na swoją korzyść, chyba przygniotłem faceta ku radości dyrektorki K.

Działała wtedy, za Gomułki, słynna ekipa zamieszana w nadużycia lekowe. Dyrektorka K. cieszyła się poparciem w ministerstwie zdrowia u G. Przed wojną mogła być najwyżej salową. Teraz korzystała. Był taki okres, kiedy wystarczyło przedstawić świadków, że się studiowało. Na tej podstawie dopuszczano do egzaminu dyplomowego. Ona tak zrobiła. Dostała dyplom w tak zwanym Uniwersytecie Ziemi Zachodnich. Wiadomo, trwała walka polityczna, a ona działała w Plenum PZPR. (Większość osób, przedstawiających świadków w UZZ, miała naturalnie studia). Brak studiów wykazała jej pamiętna weryfikacja na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Niemniej jednak stwierdzono brak przeszkód w uznaniu jej dyplomu, ponieważ G. pracował jeszcze w ministerstwie.

Pani dyrektor K., gdy wynikały jakiegokolwiek trudności w szpitalu, wykonywała pierwszy telefon do Komitetu PZPR. Podobało się władzom, że potrzebuje ich pomocy. Że kobieta biedna, straciła męża w czasie wojny. Dzieci małe, a drugi mąż zdradza, aby zostawić w końcu. Była taka, że pisała donosy na męża nawet, skłócała wszystkich, nie mówiąc o tym, że nie miała pojęcia o medycynie w ogóle.

Szpital psychiatryczny w Kościanie istnieje ponad sto lat. Budynki szpitalne wzniesiono przed zaborami. Dawniej - czołowy szpital w Polsce, wprowadzający światowe nowinki psychiatryczne. W psychiatrii panowała psychoanaliza i szpital propagował psychoanalizę. Tu bywali uczniowie Stekla, psychoanalizy z rodziny freudowskiej, na przykład Golonka, kształcony w Wiedniu. Bywał Miciński, przyjaciel Golonki. Szpital nastawiony na psychoterapię w sensie freudowskim wprowadzał otwarte drzwi, nie stosował

rygorów, kajdan, które widywano u czubków przed wojną. Stanowił prawdziwe ognisko myśli w przedwojennej Polsce. Dbano o jego rozwój: wybudowano basen kąpielowy, po którym zostały zdjęcia, założono muzeum szpitalnictwa psychiatrycznego, gdzie wystawiano słynne kajdany... Wydawano własne pismo, może nawet dwa.

Po wojnie wrócił do Kościana Oskar Bielawski, by to wszystko odnowić, postawić znów na nogi. Przeworsował ideę uczynienia ze szpitala sanatorium dla całej Polski. Stworzył autentyczny zespół sanatoriów Ziemi Kościańskiej. Przejął pałace i obiekty wokół miasta w Wonieściu, Spławiu, Siekowie, Mościskach, Cichowie. Doktor Oskar Bielawski stał się twórcą powojennego splendoru Kościana. Prawdziwy psychiatra, znakomity lekarz i organizator. On adaptował też Czarków, w którym nie mieliśmy oddziału. Zwykle budynki nazwał willami, by wprowadzić nastrój sanatoryjny, by ludzi nie deprymować, by tu przyjeżdżali, by czuli się dobrze.

Ale zaczęli wracać po robotach w Niemczech dawni pielęgniarki z czterema klasami. Poczuli się właścicielami Polski Ludowej. Oskar Bielawski był tym dyrektorem sprzed wojny, tym krwio pijcą, którego należało zniszczyć. Znaleziono pretekst, że rządził apodyktycznie, jednoosobowo, a należało kolektywnie. Bielawski trzymał się dość długo nawet, bo był kumplem Sztachelskiego, ministra zdrowia. Razem szli jakimś szlakiem bojowym z oflagu. Ale nawet minister go nie uchronił.

### Władczyni Wschodu

Po Październiku 1956 przyszła K. jak odnowicielka. Wyobraźmy sobie, po takim człowieku jak Bielawski przyszedł tu ktoś, kto nie miał studiów. Co się zaczęło dziać..., wszystko nagle opadło, wszyscy mieli w dupie, za przeproszeniem, to, co zostawił poprzednik.

Mieszkalem na stałe w Poznaniu, nadal mieszkam, przyjeżdżałem do Kościana i wyjeżdżałem. Nie wchodziłem w kontakty towarzyskie. Ci pielęgniarki nie byli zresztą zbyt chętni, żeby je nawiązywać. Dyrektorka K. *à la* władczyni Wschodu: w purpurze, złotych pantofelkach. Bizancjum: gruba kobieta ubrana w tiule, przetykane złotem, karząca gestem, wymagająca, dyrygująca, obnażająca dosłownie swoje krocze. Wszyscy wokół na klęczkach, kłaniają się jej w pół, całują po rękach, nogach i po różnych innych częściach ciała. Ona leży w łóżku, bo przez pół roku odgrywa chorą. Rządzi z łóżka, o czym wiedzą w całej Polsce. Prowadzi listy obecności odwiedzających ją. Trzeba ją odwiedzać, bo jeśli się nie odwiedzi, to ma się minus. Na ścianie wisi karta, na której odkreśla pracowników od personelu średniego do wyższego. Gdy ktoś nie przyjdzie, mówi: "O, nie byłeś u mnie. Widzisz, źle. A zobacz tu, ile razy twój kolega był. On dwa razy dziennie potrafi przyjść". Cała atmosfera w Kościanie: ona jest królową, której wdzięki należy podziwiać. A wokół niej lizidupy, które rozpoczynają dzień pracy od pokłonienia się pani dyrektor. Ja wśród nich. Bo K. wszystkich ostrzejszych, którzy mogli coś powiedzieć, wyeliminowała. Przepych i hołdy. Taki obraz. Liczył się tylko splendor pani dyrektor. Pani dyrektor w radiu, pani dyrektor w gazecie, pani dyrektor w futrze. Pani dyrektor robiła spektakularne numery. Gdy napadało trochę śniegu, wołała jednostkę wojskową, by dostarczyć helikopterem ją i żywność na oddział dziecięcy. I zdjęcie w "Expressie": pani dyrektor w otoczeniu oficerów i helikoptera.

Potrafiła działać. Kiedy udawała się do sądu w Poznaniu, to sąd cały zawieszał działalność. Robiło się wielkie przyjęcie, bo K. z Kościana przyjechała badać podsądnych. Mogę świadczyć, bo ja z nią jeździłem. Było mi głupio, kiedy ona wchodziła do środka. Igrce działy się w gabinecie prezesa sądu. Wylała mu sardynki na spodnie. Opowiadała potem, jakie prezes nosi kalesony... Mdlilo mnie, ale okazywało się, że tak ma być.

Imieniny? Wiedziałem, kiedy dzień Krystyny. Lecz dawać prezenty? Mało - dary! Bo ona mówiła: "Czy ty myślisz, że ja to jem?". Wymagała darów. Dary zanoszono przy każdej

okazji. Określili mnie: "On nie jest obyty towarzysko, on nie umie się zachować". Odrzucili. Ja do nich nie ciążyłem. Mnie nie interesowało, z kim pani dyrektor śpi, kogo zaprosiła na kolację. Żyłem sobą, by zdążyć do Poznania, do biblioteki lekarskiej na Sierociej, i poczytać coś przed jej zamknięciem. O czwartej trzydzieści rano wychodziłem z domu. Przyjeżdżałem na siódmą do Kościana i do ósmej czekałem, aż K. zrobi zebranie. Wymagała i musiałem tak zapierdalać. Ona przekazywała mi przez kolegów, by do moich referatów, przygotowywanych dla Towarzystwa Psychiatrycznego, dopisywać jej nazwisko. Dopisywałem. Kiedy zasłużyłem się w ten sposób, to dostępowałem zaszczytów. Jak po jakiejś libacji zostawały barszcze czy pieczenie - to zapraszała na poprawiny. I leżąc w łóżku, w tiulach, darzyła sympatia niejakiego G., psychologa. Posyłała mnie niby do lodówki... A ona wychodziła wtedy z tego łóżka, z tych tiulów, i tym kroczeniem jak taki pajak wielki celowała w niego. To był Kościan... i kościarewskość.

Na początku lat siedemdziesiątych - po moim referacie w Towarzystwie Psychiatrycznym, dotyczącym bodaj egzystencjalizmu w psychiatrii - awansowała mnie na ordynatora oddziału żeńskiego. Wiedziała, że człowiekowi można odebrać wszystko, a on poradzi, ale gdy mu się odbierze czas, to nie zrobi nic już za cholere. Tak też się stało ze mną.

Siedzę na tym ordynatorstwie do tej pory... Chciałem wydrukować pracę w "Psychiatrii Polskiej", która mogłaby stać się doktoratem. Pozytywną opinię wyraził profesor D. Ale profesor B., znajomy K., odpisał, że praca jest niewarta wydrukowania. K. miała uciechę wielką, że mi B. dopieprzył.

O stopniu zażyłości z K. świadczy jedno: wszyscy ordynatorzy byli z nią na "ty" z wyjątkiem mnie. Trzymała na dystans, mówiła mi: "Ty, Jasiu, jesteś głupek, ty masz głowę w obłokach". Nie powiem, odpowiadało mi, że całe otoczenie zajęło się biciem holdów pani dyrektor. Przynajmniej nie przeszkadzało w osobistych zainteresowaniach. Obojętność tych ludzi wobec mnie sięgała doskonałości. Ich nie dało się zainteresować żadnym tematem. Siedziałem w Kościanie, bo stwierdziłem, że w Poznaniu zorientowaliby się, że mogę coś wymyślić i wykończyli, a w Kościanie im nawet do głowy nie przyjdzie, że mogę w ogóle myśleć.

Sanatorium Oskara Bielawskiego przerobiono w końcu na zwykły szpital jak każdy inny w Polsce. Szpital - sanatorium kłuł w oczy, ponadto atmosferę w Kościanie psuła nasza dyrekcja. No bo czyż może być w Kościanie poważne sanatorium, skoro rządzi nim takie monstrum? Dali nam rejon, nazwali Wojewódzkim Szpitalem dla Nerwowo i Psychiczenie Chorych. Przekreślono w ten sposób do końca spadek po Bielawskim.

Z roku na rok działo się coraz gorzej. Dachy ciekły, budynki zapadały się. K. czuła, że coś nie w porządku i że zaczyna się chwiać jej pozycja. Zachorował najpoważniejszy współpracownik K., wieczny wicedyrektor D., prawdziwy lekarz, któremu nie mogę wybaczyć, że ją wspierał. "Nie dam rady, ona zadzwoni do ministerstwa i dostaniemy w dupę" - tłumaczył się. K. - ze strachu - też się położyła. W takim momencie zdecydowałem się na uderzenie. Moja pozycja nie przedstawiała się wcale lichy.

Ciągnęło się za mną: "Wy, uważajcie - przenoszono - bo to jest taki ZMP-owiec". Niezłe rysowałem, więc przed Październikiem 1956 redagowałem gazetki "Błyskawica", w duchu epoki piętnujące "wsteczne postawy i złe zachowania". No, jestem taki. Jeszcze przed uzyskaniem dyplomu wstąpiłem do partii. Uważałem zawsze, że lepiej być zimnym albo gorącym niż letnim. Jak już pociągnąć, to do końca. Wyczuwam emocjonalnie, że idzie za mną rok 1956. Moim wzorcem stała się postawa Sz., działacza młodzieżowego i partyjnego w Poznaniu. Pamiętam, jak on w auli Maiusa stanął wobec całego tłumu studentów wygrażającego mu, lżącego i żądającego wyjaśnień. Wszyscy krzyczeli razem, unisono. On jeden nie ugiął się. "Ja się przed wami nie będę tłumaczył, ja się wytłumaczę przed Partią" - tak powiedział. Zaimponował mi, wzbudził podziw bez wazenia racji. To mi się, kurwa, podobało. Bo lubię ludzi, którzy potrafią stanąć przeciw masie. Bo ja nie lubię siły, nie lubię

przemocy i nie lubię większości. Sz. wyciszył się potem politycznie, zrobił doktorat i pracuje dziś w jednym ze szpitali w Poznaniu. A za mną szło to, co on zrobił, zaowocowała we mnie jego postawa.

### Człowiek Renesansu

Dałem się poznać w Komitecie Powiatowym PZPR w Kościanie, potem w Komitecie Wojewódzkim PZPR w Poznaniu i Lesznie. Zabierałem głos na zebraniach, pisałem petycje, skargi do KW, dobijałem się o właściwe stosunki kadrowe. Zauważono mój artykuł w "Argumentach" pod tytułem "Jak żyć warto?", jego poziom polityczny: *"Praktyczna możliwość rzeczywistego zrealizowania ludzkiego dążenia do osiągnięcia pełni życia jest fenomenem demokracji socjalistycznej. Ta forma egzystencji ludzkiej - mająca swój pierwowzór w postawie "człowieka Renesansu" - polegająca na jednoczesnym urzeczywistnianiu, ze znaczną intensywnością, wybitnie różniących się między sobą sposobów życia i osiągnięcia różnych celów, może być w takim samym stopniu wcielana w życie jak idea realizowania pojedynczych celów i dawania ujścia przede wszystkim jednemu, naczelnemu zamiłowaniu"*.

Stawałem się coraz silniejszy. I to dlatego mogłem rozpocząć walkę z dyrektorką K. W KP PZPR w Kościanie I sekretarzem był wtedy niejaki G. Skorzystałem, że funkcję II sekretarza piastowała Jadwiga B., dawna moja uczennica, potem pielęgniarka i dyrektorka szkoły pielęgniarskiej. Wykorzystując to wejście, zbierając podpisy kolegów pod petycją do KP PZPR, udało mi się usunąć K. KP wystąpił do KW o cofnięcie rekomendacji K. i jej odwołanie. I mimo, iż miałem akceptację KP PZPR, mimo iż Zasada, dawny I sekretarz KW PZPR w Poznaniu, stanął za mną, to jeszcze ona nie chciała odejść definitywnie. Jeszcze ministerstwo nie mianowało nowego dyrektora. Przejąłem rządy. Na jakiś czas.

Moje rządzenie w szpitalu po K. zakończyło się też pismem do KW. Czyimś. Za niewykonanie polecenia zwolniłem jednego psychologa, co się wielu mozym nie spodobało. Obowiązki dyrektora pełnił po mnie jakiś czas M. Jego brat nosił sutannę, więc wszyscy uznali, że M. jest jedną nogą w niebie. On też tak uważał, święty człowiek. W szpitalu prowadził prywatną praktykę nad Izbą Przyjęć. Pacjentów nie wpuszczał do ubikacji. Szczali pod oknami Izby Przyjęć podczas mego dyżuru.

Miał chrapkę zostać dyrektorem, bo drugą nogę trzymał w KW w Poznaniu. Kuzynka jego żony była żoną dyrektora Ptaszkowa - za czasów Gierka pierwszego PGR-u w Polsce. Kiedy zaprotestowałem, to wszyscy ruszyli z ryjem na mnie, bo miał dojście do Gierka i do Boga. Ale ja rąbnąłem dokładnie: i w to szczanie, i w prywatną praktykę. I dyrektorem nie zostałem.

Dyrektorem zrobiono ostatecznie kolegę T., który całe życie spędził na oddziale dziecięcym w Cichowie. Niech zostanie, myślę, bo żal - tyle lat na zadupiu. Urodził się na wsi, tyle co studia skończył w mieście, i znowu wrócił na wieś. Niech z tego życia coś ma. Zakładałem, że współpraca z nim ułoży się jakoś. Nie wziąłem pod uwagę, że T. to kumpel wszystkich od kielicha.

T. przywrócił praktyki, które ja chciałem usunąć. Zrobiło się jeszcze gorzej niż za dyrektorki K. Tak to wygląda: dzień rozpoczyna się i kończy na pijaństwie, gdyż T. stosuje bankietową formę rządzenia. Był trzy razy na reanimacji z powodu zatrucia alkoholem. Pił kominowy, niektórzy podejrzewali, że zakrapiane czymś. Nie ma nic do powiedzenia. Od decyzji ucieka w bankiety. On - najchętniej go nie ma. Gdy wynika problem w szpitalu, to on w nogi. Jest zebranie zapowiedziane ostro - on wyjeżdża. Od rana go nie ma. Niedaleko mieszkają teściowie, może zaszywa się u nich.

Nie chce wiedzieć o niczym. Dzwonię z problemem. "Dlaczego mnie to mówisz?" - odpowiada. Napisałem do satyrycznych "Szpilek" o niszczeniu drzew w szpitalu. "Czemu

mnie to pokazujesz, to mnie nie dotyczy, pod złym adresem". Kurde, kogo to w takim razie dotyczy?

Tylko satyra mi została

Na oddziałach pojawia się bardzo rzadko. Ostatnio nie bywa w ogóle. Unika oddziałów, nie rozumie psychiatrii, nie miał z nią do czynienia przez całe życie. Zrobi się cieplej, to będzie jeździł rowerem. No, jak można zatrzymać dyrektora na rowerze? Przyjeżdża rowerem i nikt nie śmie zbliżyć się, żeby się nie przewrócił. Albo samochodem jedzie. Ma furtkę w murze i śmiga jak błyskawica na ogródek działkowy. Gdyby szedł, każdy: "Panie dyrektorze..." - zwracałby się ze sprawami. Kiedy widzi, że stoję na przykład przy Izbie Przyjęć, to omija mnie szerokim łukiem. Tak idzie. Mogę go wziąć jedynie przez zaskoczenie. Wypadnę nagle, a on wejdzie na mnie. No, wtedy ewentualnie odpowie "dzień dobry".

Wykazywałem na zewnątrz, że jest nieudolny, traci kontakt i że się nie nadaje. Kumpie powiedzieli, że ja go wykańczam, że to przeze mnie zatruł się alkoholem..., tak przeżywa. Siedzi teraz zamknięty, nie widać go. Gdybym zadzwonił, nie chciałby rozmawiać. Więc wpierw przedstawiam sprawę sekretarce, żeby nie wystraszył się nagle, że ja czegoś chcę.

Tak się tu żyje. Szpital idzie w ruinę. Z pękniętej rury na drugim piętrze woda przelatuje aż na parter do pacjentów. W administracji się leje, na oddziałach się leje, ściany zaciekają albo rozsypują się. Brygada ślusarzy stuka codziennie w kaloryfery. Obłęd i komedia od lat. Gdy napuszczą wodę, cieknie po ścianach. Wypuszczają - to zimno. Mury zapadają się. A nasze Samodzielne Przedsiębiorstwo Remontowo-Budowlane stawia piramidę nonsensu w Mościskach. Komuś ona potrzebna, skoro miejscowa telewizja nadała kilka programów na ten temat. Towarzysz M. przerabia budynek obory czy chlewu na dom starców dla rolników. Tylko co to ma wspólnego ze szpitalem psychiatrycznym?

Występuję uparcie o porządek, ślę pisma, piszę do gazet, żeby zupa nie rozlewała się w bajora po posadzkach. Warto popatrzeć po dwunastej, jak pacjenci kroczą po oślizgłych stopniach. Włos staje dęba na głowie. Żywnienie obrzydliwe, bez wartości odżywczej, zimne. Trzy razy w ciągu dnia, bez względu na deszcz czy śnieg, rozwozi się je po półkilometrowej trasie wózkami w obskurnych, nieszczelnych wiadrach. Od lat sześciuset pacjentów w trzynastu oddziałach je posiłki nie tylko zimne, ale i zanieczyszczone kurzem, deszczem czy śniegiem. Drukowałem o tym w "Szpilkach". Tylko satyra mi została. Lokalne pisma nie puściłyby bez telefonu do Wydziału Zdrowia. A ciuchy? Mnie opiorą jeszcze, bo z personelem żyję dobrze, ale pozostałych... Najlepsze rzeczy: ręczniki, fartuchy wybiera z magazynu najpierw administracja, na oddziały trafiają odpady. Ten szpital, który mógłby istnieć bez chorych i lekarzy, nie zapewnia nawet minimalnej opieki pacjentom.

Jeśli dyrektorka K. pilnowała wszystkiego sama, wydawała osobiście nawet papier toaletowy, to naczelny T. zdegradował się do poziomu wicedyrektora do spraw leczniczych. Rządzenie szpitalem przejął wicedyrektor do spraw organizacyjnych Ł. Ł.? Ja nie mam nic do tego człowieka. Był przewodniczącym Powiatowej Rady Narodowej i witał Chruszczowa na naszym terenie, jest odznaczony i w ogóle. Był radnym wojewódzkim do ostatnich wyborów i na pewno ma duże zasługi w tak zwanym budownictwie socjalistycznym. Ale, za przeproszeniem, to czteroklasista. Śrubki nie dostanie się bez jego podpisu, firany nie zacerują, bo on uchwycił stery w swoje ręce. O mentalności Ł. świadczy jego wypowiedź na temat Czarkowa, gdzie pacjenci mają gorsze warunki niż świnie. On zauważył, że dla t y c h ludzi te warunki wystarczą. Ten czteroklasista, który po polsku nie umie mówić poprawnie, ma ludzi w pogardzie, bo to on jest t e n człowiek. Dla niego procenty i ułamki są tak straszne, że z kursu we Wrocławiu wrócił z zawałem serca. "Wiecie, czego ode mnie chcieli?"

Ułamków" - rozpowiadał. A taki bystrzacha, że drewniane balkony pozamieniał na cementowe. "To jak pan wybuduje duży balkon, skoro ma pan dokumentację tylko na mały?" - pytam go. "Wszystko pomnożę przez dwa i będzie" - powiedział. Tak budował, aż zawalił się sufit w naszej kawiarence. Na szczęście nie było ofiar. Ale on buduje w ten sposób: mnoży przez dwa i ma.

Postawił teraz kostnicę przy szpitalnym Domu Kultury. W DK odbywają się zabawy od czasu do czasu, które urządza miejski PCK, szpital czy związki zawodowe. Czekam, kiedy w kostnicy położą pierwsze zwłoki. Jaki brak wyobraźni, jaka pogarda dla człowieka. Ł. mówi, że to tymczasowa kostnica. A czy ktoś tymczasowo też umiera? Gdzie szacunek dla rodzin zmarłych?

Pod dyrekcją, przy białym płocie, rósł olbrzymi kasztan. Obciął go. Następne drzewa skrócił do połowy pod hasłem "Odmładzamy zielen". Po pięknych kasztanach pozostał rząd gołych pni. Podniosłem wrzask, wydrukowali zdjęcie w gazecie. Bez echa. Między częścią szpitalną a gospodarczą piął się żywopłot bzozy na trzy, cztery metry w górę. A oni przyszli z nożycami jakby na złość i obcięli do metra dwadzieścia. W Cichowie mieliśmy żywopłot - zabytek architektury ogrodniczej. Kazał go wyciąć. I nie ma zabytku. Teraz zabrali się do podwórka, które "weneckim" nazwał Oskar Bielawski, fantasta. Ł. wykoncypował: "Zaczę od drzew na podwórku, zobaczę, czy ktoś podniesie głos. Potem skrócimy aleję lipową". Najbardziej zależy mu na tej alei. Żeby ją przyciąć. Żeby zniszczyć. Żeby było równo i regularnie. Naciął się, bo napisałem o tym. Chcę go zatrzymać w dalszym niszczeniu. Gdybym nie napisał, wyciąłby lipy w tym roku. Cel niszczenia? Nawet telewizja miejscowa zastanawiała się nad tym. Komu przeszkadzają drzewa? Nikt nie wie. Skąd pasja niszczenia? Czy on chce pokazać aktywność, czego to on nie potrafi? W małym mieście są mali ludzie i muszą mieć małe drzewka - od dawna powtarzam.

Od dziesięciu lat walczę o poręcz przy schodach do Izby Przyjęć. Jest ona potrzebna wszystkim wchodzącym do budynku, nie tylko mnie. Założyli, ale za krótką. Z trudem mogę wejść po niej do góry. A i tak rozgłaszają, że to ja kazałem zawiesić sobie poręcz. Tam powinna być nie jedna, ale trzy poręcze - po bokach i przez środek - bo kiedy pogotowia przywożą psychozy, to noszowi wykonują cyrkowe akrobacje na śliskich schodach. Przy Domu Kultury nie ma poręczy. Bo po co mają tam wchodzić pacjenci z neurologii czy z rehabilitacji. Psuć estetykę? W administracji też nie ma poręczy. Nie chcą, by kulasy jakieś wdrapywały się do biur.

Kilka lat temu na naszym terenie, gdzie było tyle drzew, wybudowano fabrykę papierosów. I to bez kotłowni. Podciągnięto parowóz, by dawał ciepłą wodę. Wielki parowóz. Można to sobie wyobrazić. Na terenie szpitala. Sanatorium. Pacjenci opalali się tam kiedyś. Sadze leciały w oczy, bo parowóz dymił. Ileż nagardłowałem się, dokąd nie ponapisywałem. W końcu pocięli parowóz, ciepłą wodę przeprowadzili z cukrowni rurociągiem, górą nad jezdnią. Ale sprawa pozostała. Wszystkie znaki świadczą o upadku szpitala i o rozbudowie monopolu tytoniowego. Najważniejsze, by nie dopuścić do budowy nowej hali. Nie dość, że monopol stoi na gruncie odebranych nam, że w lecie młodości można dostać od tytoniu, do tego cukrownia smrodzi nie do wytrzymania, to basen przeciwpożarowy wykopali na terenie aktualnie naszym, a wicewojewodzina stwierdza, że gdy będzie potrzeba, to monopol wchłonie szpital jeszcze bardziej.

Mimo iż szpital zmienia się w ruinę, mimo strasznego upadku w stosunku do innych szpitali w Polsce i prawie żadnego zaplecza materialnego i ludzkiego, to pacjenci chcą tu przyjeżdżać. Nie wybiorą Gniezna chociażby. Będą się dobijać do nas. Cenią to, co jest zasługą moją - powiem wprost - że z pacjentów nie tworzymy sformalizowanych grup. Nie leczymy w obozie, gdzie wszystko jest pod sznurek, na rozkaz. Króluje u nas swoboda. Pacjenci mają wolną rękę, a na oddziały otwarte można wejść z zewnątrz. Dajemy ludziom wolność po prostu.

## Strzelali z procy zza kościoła

Wiele lat zbierałem pieniądze, ograniczając potrzeby do minimum. Wielkim nakładem starań i skąpstwa kupiłem mieszkanie M3 na osiedlu Kopernika w Poznaniu. Po Sierpniu '80, który zrodził w szpitalu wybuch strasznej zawiści i nienawiści, wytknięto mi, że mieszkanie dostałem od PZPR. Wskoczyli z krzykiem, że szpital służy interesom Jasia i Marysi. Czyli moim i doktor B., I sekretarza Komitetu Zakładowego PZPR. Ta kobieta też nie dostała nic od partii. Zaatakowano nas, bo stanowiliśmy siłę moralno - polityczno - sankcjonującą. Przeszkadzaliśmy zawsze. Żądaliśmy, przykładowo, zwolnienia lekarza stomatologa, który dokonał czynu nierządno z nieletnią. Nie podobaliśmy się kolegom: "Jak oni śmieli?" - wołano. Zabraliśmy się do kontrolowania kuchni, oszukującej na posiłkach. Żądaliśmy sprawozdań z działalności szpitalnego gospodarstwa rolnego. Weryfikowaliśmy stan kadry pielęgniarskiej, słowem - patrzyliśmy kierownictwu na ręce. Nienawidzili nas za to. Największy zarzut pod moim adresem brzmiał: "Kazał pobrać krew na alkohol od pielęgniarza z prosektorium". No bo jak śmiałem podskakiwać, gdy cały personel pomocniczy chodzi pijany?

Przewodniczącym "Solidarności" został magister wuefu, a etat w tym związku przejął B., który zrezygnował z członkostwa w Komitecie Zakładowym. Szumiało ponadto kilku pielęgniarzy i lekarzy psychologów po KUL-u. Rozważali możliwość strzelania do członków partii. Śmieszni aż. Znalazłem się w sytuacji gorszej niż Sz. w 1956 roku. On stawał przeciwko ludziom kulturalnym w miarę, cywilizowanym. Ja przeciwstawiałem się takim, co chowali w rękawie kamienie i rzucali nimi w moje okno. Albo strzelali z procy zza kościoła, kiedy stałem przy sanitarce. W gabinecie wyłączyli mi kaloryfer na dwa lata, żeby ukarać... PZPR stała się przedmiotem szczególnej nienawiści aktywistów "Solidarności", a zarazem członków partii. Obelgi, pomówienia, oszczerstwa...

Po stanie wojennym nie zmieniło się właściwie nic. Naczelnego T. zastępował wicedyrektor organizacyjny Ł. Stołek wicedyrektora utrzymał też G., wielki entuzjasta "Solidarności", który miał ambicje być jej doradcą. PZPR opanowali solidarnościowcy z B. na czele, który drżał, bo miał siedem klas z trudem, a zajmował stanowisko kierownika gabinetu fizykoterapii, przeznaczone dla lekarza. Zagrożono mi skreśleniem z listy członków partii, ponieważ przestałem uczęszczać na zebrania partyjne. Fakt, takiej egzekutywy, tych krzykaczy, którzy zniszczyli Komitet Zakładowy, i takiego sekretarza B. nie respektowałem.

Praktykują u mnie studenci, słuchacze z całej Polski. Obserwują, co wyrabiam. Dziwią się i pytają, czy nie spotykają mnie jakieś represje za aktywność, za pisma do władz, za zdjęcia w prasie drzewek, wiader z zupą, parowozu... No, odpowiadam, no nie spotykają mnie żadne represje. Bo tu są tacy ludzie. Cóż mogą mi oni zrobić? Odpowiedzą na skargę? Nie odpowiedzą, bo oni tym piórem machać nie potrafią nawet. To co zrobią? Oni będą szeptać na mnie, nastawiać takich, co rzucają kamieniami. Wysłać anonimy do ministerstwa, że jestem zboczony seksualnie. Wielokrotnie odmówią przydziału samochodu dla inwalidy. Nie założą poręczy, wyłączą wodę albo zakręcą kaloryfer. To mogą, bo po latach molestowań, że codzienne dojazdy pociągiem z Poznania zagrażają mojemu życiu, otrzymałem pokój służbowy na oddziale. I mieszkam pół życia wśród myszy i karaluchów, osypującego się tynku, wilgoci. W szpitalnym sercu, a raczej brzuchu. Na mojej ścianie osiadają bowiem pary, płyny, zapachy, posiłki sąsiadującej kuchni.

Osobiste plany? Muszę przede wszystkim wygrać z Amerykanami, dowieść mojego autorstwa psychoterapeutycznej metody lewej ręki, bo mnie wkurzają. Powalczę też z monopolem tytoniowym i dyrektorem Ł. o zieleń, by nie zubożynieć...

PS. ...Rany, cóż ja tu nagadałem... Przepraszam bardzo. Niemożliwe, by to ktokolwiek przeczytał. Zamierzałem nadać wypowiedzi formę anegdotyczną, określającą cechy mojej osobowości, zarysowującą charakter środowiska, w którym przyszło mi żyć. Fakty - choć prawdziwe - okazały się paszkwilem, słowa - zbiorem nieznośnie ekshibicyjnych i megalomańskich wynurzeń. Jestem przerażony. Nie potrafię wyrazić nawet swego przerażenia. Cechuje mnie odwaga, ale nie jestem samobójcą, by podejmować działania wbrew prawu ciężenia. Ja - główny psychiatra - za chwilę słabości zapłaciłbym drogo: usunięto by mnie z Kościana do Domu Pomocy Społecznej, jeśli głupie wiadra z zupą wywołują w szpitalu atmosferę napięcia. Ktoś zapyta, czy jednostka powinna poświęcić swój los i interes dla ogółu? Mój marny los? Bo mój los jest marny. Ma jednak wartość dla mnie. Nie mogę udźwignąć ciężaru zadania i poświęcić się...

Epilog (po ćwierćwieczu, suplement internetowy):

Tu mieszkała i pracowała

1. Zaproszenie: *Fundatorzy oraz organizatorzy zapraszają na uroczyste odsłonięcie tablicy zadedykowanej pamięci dr Krystyny K., dyrektora szpitala w latach 1957 - 1974, znakomitego lekarza, wybitnego organizatora, człowieka w pełni oddanego ludziom. 10 września 2007 r. o godz. 12 - w budynku Dyrekcji Wojewódzkiego Szpitala Neuropsychiatrycznego w Kościanie, pl. Paderewskiego 1a.*

2. Tablica na ścianie Dyrekcji Wojewódzkiego Szpitala Neuropsychiatrycznego w Kościanie głosi: *Pamięci doktor Krystyny K., dyrektora tego szpitala w latach 1957 - 1974, znakomitego lekarza, wybitnego organizatora, człowieka w pełni oddanego ludziom. Tu mieszkała i pracowała.*

Więził poetę

"Wprost" 1998/nr 44: Los poety. *Kilka razy, zazwyczaj o późnej porze, emitowano stary film biograficzny o Władysławie Broniewskim, jakby w przypomnieniu postaci i losów tego poety mogło być coś niestosownego. Broniewski, twórca wybitny, aczkolwiek w wąskim wycinku czasowym nieco kontrowersyjny, ciągle jeszcze nie ma - poza Jerzym Giedroyciem - dobrej prasy. Nawet we lwowskim więzieniu czy syberyjskim łagrze nie dał się sprowadzić do poziomu zdrajcy ojczyzny i nie podpisał żadnego serwilistycznego wobec sowieckiej władzy manifestu, nie wypowiedział wrogiego Polsce słowa.*

*Dramatyczną konstytucją losów tego poety legionisty i powtórką tragicznych doświadczeń z Syberii było umieszczenie go siłą, na polecenie Jakuba Bermana, pod pretekstem alkoholizmu, w Sanatorium dla Nerwowo Chorych w Kościanie. Przed kilkoma laty w szczególny sposób upamiętniono przymusowy pobyt Broniewskiego w kościańskim zakładzie psychiatrycznym. Szpitalowi uroczyście nadano imię Oskara Bielewskiego, dyrektora, który na rozkaz UB więził w nim poetę. Fakt, że ten człowiek stracił dyrektorski stołek na fali październikowej odnowy, nie wzbudza jakoś żadnych refleksji. Jan A. Tomasziewicz, Poznań.*

Zignorowany

@FYM. Witaj, Pikanterii całej sprawie dodaje fakt, że imię dra Bielawskiego nadano kościańskiemu szpitalowi już w wolnej Polsce (procedurę rozpoczęto w 1992 roku). Protestował przeciw temu lekarz tego szpitala - psychiatra Adam Tomasziewicz. Został przez społeczność Kościana zignorowany (typowe "robienie wariata", nazywanie oszołomem itp.). Stanął nawet przed sądem za szkalowanie pamięci dra Bielawskiego. Sąd podczas niejawnego (!) przewodu zrzucił na oskarżonego obowiązek przeprowadzenia dowodu na niegodziwości Bielawskiego. Skąd lekarz, mieszkaniec małej miejscowości (na dodatek niepełnosprawny ruchowo!) miał zdobyć akta, dokumenty, świadectwa żyjących jeszcze osób znających sprawę? Przegrał. Został skazany bodajże na pół roku w zawiasach (mogę się mylić co do szczegółów). Zmuszono go do odejścia na emeryturę. A dr Bielawski - bierny wykonawca zbrodniczych decyzji Sztachelskiego i Bermana, wyrzucony z funkcji dyrektora szpitala w kwietniu 1957 roku na fali destalinizacji, został uhonorowany przez III RP :-). Pomniczek wystawiła



mu też lokalna GW: <http://miasta.gazeta.pl/poznan/1,36031,5025314.html>. Dziwne to wszystko... Maciej Gawlikowski812. 09.04.2008 - 19:11.

*Glosa.* Kiedy Joanna Siedlecka w 2005 r. wydała swoją "Oblawę", niespodziewanie otrzymałem [str. 13-15] coś, czego, z powodu intensywnego "oporu urzędniczej materii" wcześniej nie udało mi się uzyskać. Z wszechstronnie przez nią udokumentowanych faktów wyłoniła się brutalna prawda o udziale Oskara Bielawskiego w tragicznych losach, jeszcze jednego znakomitego, tym razem poznańskiego poety - Wojciecha Bąka, który nieulekły w swoim ideowym nonkonformizmie, od Kościana - w którym został umieszczony bezprawnie i siłą - rozpoczął swoją psychiatryczną gehennę. Pobyt w tym zakładzie [X. 1950 – III. 1951] był ważnym elementem w odrażającej partyjnej nagonce, zakończonej w 1961 r. jego tajemniczą, być może na skutek celowego otrucia, śmiercią w wieku 54 lat. Jan A. Tomasziewicz, specjalista psychiatra. Matuzalem40. 25.04.2008 - 17:32.

#### Podpisany

Solidarność. Poznajcie prawdę, a prawda was wyzwoli. J 8, 32. *Ja, niżej podpisany(a), pragnę publicznie wyrazić głęboką solidarność z księdzem Tadeuszem Isakowiczem-Zaleskim w jego staraniach o ujawnienie współpracowników bezpieki wśród duchowieństwa.*

Można wyrazić swoje poparcie. Wpis zostanie automatycznie przesłany Stanisławowi Remuszce, który upewni się, że pod nadawcę nikt się nie podszywa. Następnie informacja o nowym sygnatariuszu - UWAGA: tylko imię, nazwisko oraz nazwa miejscowości (kraju) zamieszkania - zostanie dodana w porządku alfabetycznym do poniższej listy (31.05.06, 18:03). Na liście sygnatariuszy: Jan Tomasziewicz, Poznań.

Apel "Naszej Polski": *Wydarzenia ostatnich dni udowadniają, że Polska stanęła na skraju pełzającego zamachu stanu wywołanego przez grupy pragnące nie dopuścić do zmian. Nie pozwólmy! Bronimy premiera, bronimy rządu! Począwszy od jesieni 2005 roku i podwójnego zwycięstwa wyborczego Prawa i Sprawiedliwości, Polska wraca do rzeczywistej niepodległości. Zrzuca z siebie gorset "okrągłego stołu", kontraktu, który zmienił nasz kraj w państwo oligarchii mafijnej, kierowane przez postkomunistyczną nomenklaturę oraz służby specjalne (...). To jest rzeczywista przyczyna ostatnich nie przebiegających w środkach atakach na PiS i rząd. Dlatego działania Samoobrony, lewicy postkomunistycznej i Platformy Obywatelskiej muszą być traktowane nie inaczej, jak próba przeprowadzenia zamachu stanu i obalenia legalnych władz wybranych przez Naród.* Na liście podpisanych: Jan Tomasziewicz.

#### Krótko

Organizatorzy dorocznego Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego im. Jerzego Leca - Miejski Ośrodek Kultury w Nowym Targu - do uczestników: *Jedno zdanie. Kilka lub kilkanaście słów. Dwa trzy wersy. To też literatura. Może nawet paradoksalnie trudniejsza od poematu lub powieści. Trudno powiedzieć... Takie zdanie to jak wydobyta z muszli perła - klejnot poezji. Nie każdy tak potrafi. Są jednak mistrzowie: od Kochanowskiego do Sztudyingera, od Pascala po Leca. Są i naśladowcy, którzy - z lepszym lub gorszym skutkiem - próbują. Forma krótka, więc i wstęp winien być krótki.*

Kategoria: Aforyzmy. Nadesłał uczestnik konkursu Jan A. Tomasziewicz, Poznań, 2004: *MILION SPŁUCZEK KŁOZETOWYCH NIE CZYNI NIAGARY. UMYSŁY LUDZKIE SIĘ NIE SUMUJĄ - PUŁAP MOŻLIWOŚCI KAŻDEGO UGRUPOWANIA SPOŁECZNEGO ZAWSZE WYZNACZA OSOBNIK O NAJWYŻSZEJ SPRAWNOŚCI INTELEKTUALNEJ.*



## Stalinowiec

Byłem pierwszym sekretarzem Komitetu Powiatowego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej kolejno w Miechowie, Myślenicach i Wadowicach. Chorowałem. Wreszcie lekarze orzekli: zdolny do pracy! Ucieszyłem się. Poszedłem do Komitetu Wojewódzkiego w Krakowie. Towarzyszający służbista przedstawił mnie: Jan Kurczych. Było już po przemianach w partii. Nowi ludzie w KW. Zostałem kierownikiem Wydziału Organizacyjnego KW i instruktora Komitetu Centralnego z Warszawy.

- To, widzicie, towarzyszu, jest tak. Wy, jako stalinowiec, nie możecie pracować w aparacie partyjnym.

- A ty jesteś kto? - zapytałem.

## Piasek

Urodziłem się w Uniejowie, w Miechowskim, w 1912 roku. Nie uwierzyłyby pan, jak biednie było na wsi przed wojną. Bez dróg, błoto, brak światła, strzechy, wielodzietne rodziny. Co jeść?

Siedzieliśmy w domach i czekaliśmy na coś. Nic, bez perspektyw. Dziewczyna mogła wyjść za męża, a mężczyzna? Posiadać kawałek pola - choćby piasek - to stanowiło marzenie życia.

Zostawiłem pięcioro rodzeństwa i wyjechałem do Dąbrowy Górniczej. W Zagłębiu też bieda, bezrobocie, nie wiadomo, co ze sobą zrobić. Dwa lata byłem bezrobotny. Służba wojskowa. Wróciłem, kiedy budowano kolej z Tunelu do Krakowa. Ogłoszono na kolei nabór nowej siły roboczej. Tysiące ludzi z Zagłębia Dąbrowskiego, Zawiercia rozlokowało się w okolicznych wioskach w oczekiwaniu na zatrudnienie. Pracowali ci, co mieli szczęście. Udało mi się budować stację w Tunelu, Miechowie, Słomnikach. Potem - zatrudnić na czas określony na poczcie w Dąbrowie Górniczej. Wypłacano mi codziennie 2,60 zł pensji. Trzymałem się pracy rękami i nogami.

Poznałem kolegów z Sosnowca. Należeli do Komunistycznej Partii Polski. Jako młody człowiek, z żadnym doświadczeniem, wstąpiłem do KPP w Dąbrowie Górniczej. Partia działała aktywnie wśród robotników, organizowała strajki.

W KPP krzewiliśmy hasła narodowe. Na Śląsku, w Katowicach, hałasowały liczne organizacje proniemieckie. Otwierano restauracje tylko dla Niemców, Niemcy zarabiali trzykrotnie więcej od Polaków. Dużo było takich, którym podobała się niemiecka gospodarka, ich technika, ład i porządek. Przekonywali, że jeżeli w Polsce produkuje się drut cienki jak włos, to Niemcy przewiercą w tym drucie jeszcze dziurę. Niemiec był butny, Polak niepewny pracy. Bał się. Stąd nasze hasła narodowe. Pamiętam z jaką nadzieją czekałem na wiec w Czeladzi koło Będzina. - Wiesz - mówił do mnie kolega z KPP - dzisiaj na wiecu zaatakuję politykę Niemiec wobec Polski. - Skończyło się na tym, że kolegę wezwał naczelnik poczty i zabronił przemawiać.

Walczyliśmy o polskość i pracę. Partia komunistyczna? Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Komunizm był wtedy modny wśród nas. W powiecie miechowskim młodzież garnała się do KPP. Chłopi zabijali się o miedzę, krwawe awantury o kawałek pola. Szła wieść o Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich, o gospodarce uspołecznionej, pierwszej pięcioletce. Powtarzaliśmy hasło, że Rosja to kraj niemożliwej możliwości: leniwa, pijana, brudna, przesądna, niewolnicza Rosja z czasów caratu staje się krajem energicznym, trzeźwym, czystym, niezależnym i stuprocentowo komunistycznym.

24 sierpnia 1939 roku zostałem zmobilizowany do 5. dywizjonu pociągów pancernych w Niepołomicach jako czołgista pociągu pancernego. Pociąg miał dwa czołgi. We wrześniu, gdy dostałem się do niewoli, wywieziono mnie na zachód, do obozów jenieckich. W lipcu 1945 roku wróciłem w Miechowskie, do żony i córki, z gruźlicą jamistą.

Z reformy rolnej dostaliśmy trzy i pół hektara w Charsznicy. Wstąpiłem do Polskiej Partii Robotniczej. Partia wysunęła mnie na wójta w 1946 roku. Staralem się. Organizowałem partię w Gołczy, Tczycy. Miałem ścisły kontakt z aktywnym chłopskim. Gdy ogłaszałem zebrania w Charsznicy, setki ludzi ściągali. Byli ciekawi, co im ten wójt z PPR powie. Tłoczyli się w oknach, drzwiach, na polu. Bardzo pożąдали żywego słowa. Myśmy wieścili przyszłość, mówiliśmy, jaka będzie Polska Ludowa. W tę Polskę wierzyliśmy.

Znałem życie na wsi i w mieście, byłem przekonany, że jedynie partia może zbudować ustrój sprawiedliwości społecznej. Tysiące ludzi chciało innej, nowej Polski. Gdy zorganizowałem w Charsznicy święto 1 Maja - to o takim wiecu nie śniło się nawet w Miechowie.

Przez rok byłem prezesem Gminnej Spółdzielni w Charsznicy, półtora miesiąca inspektorem rad terenowych w Miechowie. W 1950 roku partia powołała mnie na funkcję pierwszego sekretarza KP PZPR w Miechowie.

#### Cement i woda

Błądziliśmy? Nie mogę tego powiedzieć. My, na dole, robiliśmy to, czego ludzie potrzebowali. Był to czas organizowania i cementowania spółdzielni produkcyjnych. Według mnie spółdzielnie rugowały biedę ze wsi. Poświęciłem się im całkowicie, w jednym roku założyłem ich siedemnaście.

Z początku miałem wzięcie. Ludzie uwierzyli i ja uwierzyłem, że potrafimy stworzyć dobrą gospodarkę. Potem chłopi mnie unikali. Przyszło trochę tej propagandy, mętnej wody, żeby nie wstępować do spółdzielni.

Pamiętam niezującego już Michała Gurbiela, stuprocentowego komunistę. Przed wojną chodził za pracą, chwycił się wszystkiego, na czym mógł zarobić. Chata mu się waliła. Marzył o kawałku pola, własnym chlebie. Z reformy rolnej dostał trzy i pół hektara nadziału i parkę koni. Szczyt pragnień. Przyszliśmy do niego. - Michale - mówimy - wy nie możecie zdradzać naszej sprawy. - Odpowiedział: - Ja, jako komunist, pójdę za wami. - Lecz łyzy mu na brodę kapwały. Wyśnił własną ziemię, a partia zażądała włączenia jej do spółdzielni. Walczył ze sobą długo. Wygrał posiadacz i nie wstąpił. Nie śmiał mi potem w oczy spojrzeć.

Nie wyciągaliśmy żadnych konsekwencji partyjnych. Słyszeliśmy, że gdzieś w Szczecińskim, Białostockim działo się inaczej. Na przełomie 1950 i 1951 roku ukazała się "uchwała gryficka" Bieruta przeciwko wypaczeniom w tym zakresie. Nie wolno było już wpędzać chłopów do spółdzielni na siłę jak w Gryficach. Bierut zrobił tam czystkę, pozwałniał i powyklucał z partii sekretarzy KP i KW. U nas w porządku; i ja nadal jeździłem prawie co dzień na wieś i organizowałem spółdzielnie. Po rocznej pracy w Miechowie - KW zdecydował przenieść mnie do Myślenic. Oczywiście po to, bym i tam organizował spółdzielnie. W Miechowskim, gdzie wsie miały układ kolonijny, przeważały gospodarstwa w jednym kawałku, najwyżej dwóch. W powiecie myślenickim sytuacja komplikowała się, bo

taki przykładowo pięciohektarowy gospodarz posiadał nieraz i dziewięćdziesiąt oddzielnych kawałków ziemi.

Zbierałem chłopów, tłumaczyłem. Wierzyli. Założyłem spółdzielnie w Pcimiu i Lubniu. Mówiłem tak: najpierw scalimy grunta, potem wyznaczymy kompleksy spółdzielcze, czyli z całości pól chłopskich wytniemy dziewięćdziesiąt hektarów na te kompleksy. Następnie dokonamy wymiany gruntów. Chłopi zgadzali się w Gdowie, Raciechowicach.

W Chodowie powinęła mi się noga że tak powiem. KW nie zgodził się na przeprowadzenie komasacji gruntów, którą na zebraniach obiecywałem. Argumentowano w KW, że operacja scalania jest zbyt pracochłonna, trwa zbyt długo. Nie chciano oddawać chłopom gruntów w jednym skomasowanym kawałku, mieliśmy wymieniać każdy kawałek na podobny.

Proponowałem ludziom, znając ich mentalność, spółdzielnię charakterystyczną dla niższego typu socjalizmu: sto hektarów ziemi, podzielonej palikami na tak zwane role. Maszyny pracowałyby na całej ziemi, ale chłop zbierałby do własnej stodoły plon, który urodzi jego rola. KW zapragnął nadgorliwie wyższego etapu socjalizmu: podział plonów według pracy, nie ziemi. Chłop tymczasem obliczał, kalkulował.

Nie dokończyłem Chodowa. Zaatakowała mnie gruźlica, przywieziona z niewoli. Ponieważ leczyłem się w Krakowie, dostałem stanowisko kierownika Wydziału Rolnego KW. Za organizację spółdzielni w Chodowie wziął się kto inny. Zadziałał siłowo, bez komasacji - i chłopi nie wpuścili traktorów na pola. Ja dostałem naganę partyjną, bo na skutek mojej działalności i obietnic - twierdzono - chłopi stawili opór.

Umarł Stalin. Płakałem. Wiedziałem, że nie urodzi się prędko taki człowiek. Stalin był politykiem dalekowzrocznym, konsekwentnym w działaniu. Lubiłem czytać Stalina. Negatywne oceny tej postaci wynikają z dzisiejszych wyobrażeń, a nie z realiów, w jakich żył. Stalinowiec - to kto? To człowiek ze spizu i stali. Twardy, nieugięty, nieustępliwy, konsekwentny w działaniu. Tacy ludzie są potrzebni światu. Laurki ze Stalinem wypisywano na czerwono, w kolorze walki i rozpalonej stali.

Stuprocentowy komunista - to kto? To człowiek, który służy innym ludziom, nie rozmija się z hasłami. Walczy dla sprawy. Tak, dla mnie stalinowiec i stuprocentowy komunista to to samo. Miałem takich ludzi wokół siebie. Wiedzieliśmy, że wszystkie podjęte decyzje muszą być zrealizowane.

Czułem się nieswojo w Krakowie, parłem w teren. W 1954 roku mianowano mnie pierwszym sekretarzem KP PZPR w Wadowicach. W partii obowiązywała zasada, że szło się tam, gdzie chciała partia. Nie pytano, czy się człowiek zgadza.

Rodzinne miasto późniejszego papieża. Społeczeństwo, w tym cała moja rodzina, wierzące. Ja wyzbyłem się tych śmieszności. Uważam, że Kościół to zguba. Przyglądałem się tym wszystkim uroczystościom na cześć Jana Pawła II, jak one czasem żałośnie wychodzą. Dla mnie śmieszni są ludzie klęczący, upadli, bezradni, bezwolni. Człowiek powinien pomagać ludziom, jeśli trzeba, a nie litować się nad nimi.

## Beton

Na szczycie władzy zmiany, stałe niezadowolenie. Niezadowolenie to też postęp. W moim powiecie nie czułem zmian czy niezadowolenia. Krótko przed październikiem 1956 roku dostałem krwotoku płucnego. Sanatorium. Różne diagnozy lekarskie. Dochodziły do mnie szeptane wieści o zwalczaniu kultu jednostki. Cóż ja? Mam inne zdanie o okresie tak zwanych błędów i wypaczeń. W moich powiatach chłopów nie wpychano do beczki za to, że nie zgadzali się wstąpić do spółdzielni. Sam chłop z pochodzenia - robiłem wszystko dla dobra chłopca. To nie był okres wypaczeń, lecz wypaczony był sposób realizowania słusznych

wytucznych. Są ludzie - automaty. Naciśnięci - automatycznie naciskają innych. Bez własnej perspektywy, oceny. Owszem, niektórych trzeba było hamować.

Zmiany szły od góry. Zmieniali się towarzysze, potem odnawiali zaraz skład osobowy na dole. Usłyszałem: - Cóż, widzicie, towarzyszu, rozumiecie, jest tak. Wy, jako stalinowiec, beton jak mówią, nie możecie pracować w aparacie.

Wróciłem do Wadowic i mając maturę ogólną, podjąłem pracę w Andrychowskich Zakładach Przemysłu Bawełnianego jako referent w dziale zbytu. Dojeżdżałem kilkanaście kilometrów. Byłem zadowolony, bo w pociągu czytałem gazetę, a poprzednio nie miałem na to czasu. Dowiadywałem się o odwoływaniu ze stanowisk wielu Żydów.

Do AZPB, z ramienia władz centralnych partii, przyjechał na wiec Sokorski, prezes radia. Powiedziano mu o mnie. Po wiecu podrzucił mnie samochodem do Wadowic. Wygarnąłem gościowi, że zgadza się na takie ekscesy, jak wystąpienia przed głośnikami ludzi atakujących władzę ludową. Sokorski nadał później w radiu pozytywną audycję o mnie, byłem pierwszym sekretarzu, niby stalinowcu, który po Październiku pracuje jako referent. Naświetlił temat w ten sposób, że uczciwych, dobrych komunistów ochrzczono mianem stalinowców. W pracy zapytano mnie, czy słuchałem radia. Ponieważ nie słuchałem, to mi audycję opowiedziano.

W początkach 1957 roku zorganizowano w KW "naradę stalinowców". Zjechaliśmy wszyscy. Chciano wyjaśnić nam, wytłumaczyć nową sytuację w partii. Cóż, nie wszystko przyjęliśmy do wiadomości. Doszło nawet do incydentu. Towarzyszka, były sekretarz, zepchnęła z trybuny mówcę, który przemienił się raptem z lojalnego stalinowca w lojalnego reformistę. - A coś ty przed Październikiem mówił na temat komunistów? - krzyczała. Po naradzie jeden z odnowionych towarzyszy, pełniący funkcję w KW, wyznał: - Ja też jestem z wami. Sekretarzem Wadowic został człowiek nowy, uczciwy i prawy. Nie krył przed nikim, jak jest. Że wielka odnowa, a robotnicy nie mogą kupić masła. Po kilku dniach przyjechało dwóch towarzyszy z KW, w tym pierwszy sekretarz Motyka, i odwołali go oraz całą egzekutywę wadowicką. Za to do mnie przyjechał kierownik Wydziału Organizacyjnego KW, ten sam, który powiedział, że ja, jako stalinowiec, nie mogę pracować w aparacie. - Myśmy to przemyśleli. Wróćcie z powrotem.

- Dwa tygodnie temu mówiliście, że się nie nadaję.

- Odnowa odnową, a wy jesteście uczciwym, porządnym, potrzebnym partii, stuprocentowym komunistą. Przydacie się jeszcze przed wyborami do Sejmu i rad.

Jechałem właśnie rowerem z fabryki do domu, a tu ktoś zaczepia mnie i krzyczy, że wybrany zostałem sekretarzem. Co prawda nie pierwszym, lecz organizacyjnym. Poszedłem więc na salę, a tu siedzą: Motyka, Machejek, Krzakiewicz. I Motyka oświadcza: - Jednomyślnie, przy jednym wstrzymującym się. - Nie wiem, czy się zgodzę - mówię - zarzucono mi, że jestem twardy, niedostępny, uparty, co zaplanuję, to przeprowadzę.

Pytałem ludzi dużo później, co im się u mnie nie podobało najbardziej. Odpowiadali: "Pan się nigdy nie uśmiechał". Tak, nie uśmiechałem się. Przez cały okres sprawowanych funkcji nie byłem też u towarzysza "pierwszego" Nagórzańskiego na Józefa, czy u innych z prezentami. Nie zapraszałem do siebie swoich przełożonych. Po prostu starałem się dobrze gospodarzyć, tak by przełożeni nie kłopotali się moimi powiatami.

Zgodziłem się i przeprowadziłem wybory do Sejmu i rad narodowych. Zaraz potem, a był rok 1958, zaproponowano mi przewodzenie Powiatowej Radzie Narodowej w Wadowicach. Szesnaście lat, tak, dopiero w 1974 roku odszedłem.

Jako komuniści dążyliśmy do określonego kształtu Polski z gospodarką całkowicie uspołecznioną. Nasz naród nie mógł przyswoić tego modelu. Nie uniknęliśmy trudności w sprawowaniu władzy. Denerwowaliśmy się, jeśli coś nie wychodziło. Największy nasz błąd - nieuspołecznienie rolnictwa!

Teraz emerytura. Żona już nie żyje, córka pracuje w służbie zdrowia jako laborantka. Nie zmieniłem poglądów. Czas spędzam na trzystumetrowej działce, ...hm, nieuspołecznionej.



## Kto moją miłość wytłumaczy?

Do autora: *"Katowice, 8.III. Panie Januszu. Proszę mi wybaczyć, że tak Pana nazywam, ale to z czystej sympatii, stąd ta śmiałość. Ale nie o tym chciałam pisać. Chcę po prostu Pana przeprosić, że tak Pana przyjął (ta nieszczęsna rozmowa w drzwiach), ale jest w tym i Pana wina. Mam jednak nadzieję, że Pan już o tym zapomniał. Mam jeszcze małą prośbę. Jeżeli uda się to Panu wydrukować, proszę o przysłanie mi jednego egzemplarza gazety. I oczywiście podtrzymuję zaproszenie na herbatę. Krystyna".*

### Listy

- Niech więc pan wejdzie. Proszę. Agnieszko, zamknij wreszcie ptaszka w klatce, bo przeszkadza.

- Agnieszko?

- To córka. Chodzi do piątej klasy.

Jest cztery-pięć-osiem-dziesiąty drugi dzień po... 13 grudnia 1981 roku. I po...

- W stanie wojennym kanarek z pani głowy lekko sfruwa na ławę, trzepocząc skrzydełkami ucieka na meblościankę.

- To jedyna radość córki.

- Ptak nie przeszkadza, gość nie przeszkadza.

- Nie. Tylko spokój i niemoc, i cisza, i samotność.

Gospodyni, rocznik 1950, niewysoka, włożyła dziś czarną nylonową bluzkę, kontrastującą z kolorowym kanarkiem. Ma twarz ładną, ze szlachetnymi cieniami, ostrą i wyrazistą tym samym. Pałające węgliki w dużych oczodołach przydają włosom szatyńskim pożądanej czerni. Lubi z pewnością siadać w kucki na fotelu (przy obcym nie wypada).

- W pani spojrzeniu jest ciekawość.

- Fajnie.

- Reporter wtargnął w domowe sacrum po śmierci męża, by zapytać o życie.

- Życie?

*"Widzówek, dn... Wierzę jednak w to, że wreszcie kiedyś skończą się te rozstania i zostaniesz przy mnie na zawsze. Nim jednak to nastąpi, musimy jakoś przetrwać. Myślę, że starczy nam siły, aby przewyciężyć wszystkie trudności i w rezultacie będziemy szczęśliwi tylko razem. Bądź tylko, Kochana, dzielna, a wszystko będzie dobrze. Rysiek".*

- Widzówek to wioska, w której mieszkają rodzice Ryśka i moja ciotka. Wysiada się w Teklinowie, na piątej stacji za Częstochową. Pojechałam tam po maturze na wakacje. Sporo wesołej młodzieży. Przetkańczyłam noc na zabawie w remizie. Byłam szczęśliwa, bo w liceum nie mogłam pozwolić sobie na takie szaleństwo. Poznałam wtedy Ryśka, przyszłego męża.

*"Widzówek, dn... Na wstępie mego listu pragnę podziękować Ci za widokówkę, którą sprawiłaś mi dużą radość, a w szczególności zaś ucieszyły mnie słowa, że rodzina zgadza się,*

*abyśmy chodzili ze sobą. Wszystkie koleżanki i koledzy mile Ciebie wspominają, że pomimo iż jesteś z miasta, byłaś zawsze równa i zawsze wesoła.*

*Widzówek, dn... Spotkanie z Tobą utwierdziło mnie w przekonaniu, że jednak mnie tylko kochasz i mnie poświęcasz swoje uczucia. Po tym spotkaniu jeszcze bardziej tęsknię za Tobą i chyba żadna siła nie potrafi mi Ciebie zabrać. Pragnę Ci także złożyć gratulacje z okazji 18-tej rocznicy urodzin, życzę Ci wszystkiego najlepszego i dużo zadowolenia tak w życiu osobistym, jak i w pracy.*

*Widzówek, dn... Wierzę także, że nasza wzajemna miłość nie może się skończyć inaczej, jak tylko naszym wspólnym szczęściem. Zanim staniemy na ślubnym kobiercu, musimy przeżyć jeszcze niejedno rozstanie i pożegnanie. Myślę, że się nie załamiesz i wytrzymasz to wszystko".*

- Zakochał się od pierwszego wejrzenia. A do mnie uczucie przyszło później, choć jeszcze przed ślubem. Pewnie dlatego, że nie podobał mi się wiek dwudziesty, miłowałam dziewiętnasty, romantyzm, długie suknie, toalety... On, cóż, był wesołym. Na każdym weselu bawiliśmy towarzystwo. Kto wytłumaczy moją miłość? Co zostało z jego miłości?

Z Wrocławia, gdzie się urodziłam, przeprowadziłam się z rodzicami i rodzeństwem na szesnaście lat do Dąbrowy Górniczej. Ojciec naprawiał maszyny elektryczne w tamtejszym "Damelu", matka uzupełniała budżet rodziny, obszywając znajome. Po maturze zostałam urzędniczką w Sosnowieckim Przedsiębiorstwie Budownictwa Przemysłowego, potem w WSS "Społem" w Szopienicach-Burowcu. Ryszard, starszy ode mnie o cztery lata, skończył Technikum Drzewne w Radomsku. Pracował w Dąbrowskiej Fabryce Obrabiarek jako stolarz, potem w fabrykach mebli w Bytomiu, Radomsku, w Katowicach już jako mistrz - instruktor. Miał wypadek. Spiłował piłą opuszki palców w prawej ręce. Sto sześćdziesiąt centymetrów wzrostu. Mówiono, że ma najszersze bary w fabryce mebli.

Nasze zaręczyny i ślub. 25 grudnia 1970 roku przyszła na świat córka Agnieszka. Mieszkanie kątem przy rodzicach w Dąbrowie. Wreszcie wymarzone "na swoim" w Katowicach. Samodzielność, zdanie się tylko na siebie. Nie było u nas cichych dni. Wyrzucaliśmy z siebie od razu to wszystko, co gryzło. Skończyły się listy - Krystyna Gzik ściąga gumką zieloną teczkę, w której przechowuje jedyne wspomnienia.

- Gdy córka powędrowała do szkoły, zwolniłam się z pracy. Mąż podjął za to trud górnika dołowego w kopalni "Wujek". Siedem tysięcy z kawałkiem przynosił do domu co miesiąc, ale gdy wymagany staż pracy minął, skończył kurs górniczy, z młodego górnika awansował na starego, pensja wzrosła. Było z czego urządzać mieszkanie. Pracował w systemie czterobrygadowym. Wracał do domu często po północy. Odgrzewałam obiad. Czekałam na niego, by usłyszeć, co nowego wydarzyło się w pracy. Przychodził zmęczony. Tak bardzo, że nie mógł ruszać ręką. Rzucił się na łóżku, nie miał, gdzie ułożyć tych rąk.

Jego hobby - stare zegary, choć trudno było kupić coś autentycznego. Kolekcja nie rozrosła się zbyt. A moje hobby - zdjęcia. Ostatnio odkleiłam fotografię męża z legitymacji PZPR, zakleiłam znaczkiem puste miejsce i oddałam dokument w kopalni.

Codziennosc gospodyni: zakupy, sprzątanie, wysyłanie dziecka do szkoły. I samotność. Przywykłam do niej, gdy mąż pozostawał na dłużej pod ziemią, a córka w szkole. Co robię? Zajmuję się czymś. Albo siedzę w fotelu i nic nie robię. Piszę listy do Wali, Lusi i Aldony. Mieszkają w republice kazachskiej, baszkirskiej i litewskiej. Niedawno odpisała Wala, że skończyła studia i rozeszła się mężem. Ma dwoje dzieci - dwóch chłopaków. Lusia jest kierowniczką domu kultury w Prieobrażenowku. Wyszła za mąż po raz drugi i ma córkę z pierwszego małżeństwa. Aldona ma trzy córki... Piszemy o wszystkim, o dzieciach - takie babskie pisanie. Lusia, że narzeka na męża i choruje na nerwy. Modę im wyślę. Czy będę mogła? Nie ułożyło się życie zbyt tym paniom.



## Zdjęcia

- Pani Wilk...

- Co pan robił przez tę godzinę?

- Przemarzęłem na ławce.

- Proszę do kuchni. Tam mi się lepiej rozmawia po śmierci Zbyszka.

Albumy ze zdjęciami. Po raz pierwszy przegląda je ktoś obcy. Notuję.

Zdjęcie numer 1: Ślub. Trzymają kieliszki w rękę. Są jednakowego wzrostu. Ona - w białej prostej sukience. On - w muszce w groszki. Twarz pociągła, przystojna, uczesanie zgrabne. Oczy patrzące prosto.

Zdjęcie numer 2: Lato. Las. Wózek. W nim dziecko. Pod drzewem - z wózkiem on - w koszuli w kratkę.

Zdjęcie numer 3: Spacer po katowickim Parku Kościuszki. W wózku dziecko. On w jasnym, rozpinanym swetrze. Jest szczupły.

Zdjęcie numer 4: Zima. Oboje ciągną sanki. Ona z torbą z napisem Marlboro. Uśmiechnięte dziecko w czerwonej kufajce. On w solidnej futrzanej, brązowej czapie i w jasnobrązowej kurtce. Śnieg.

Zdjęcie numer 5: Ona - blondynka - trzyma na rękach dwoje dzieci. Ma na sobie jasnoniebieską wełnianą sukienkę. On - w szaroniebieskim garniturze. Czarny krawat. Czarna przepaska w kłapie. Żałoba po ojcu. To chrzciny Marcina.

Zdjęcie numer 6: Ona - oczy niebieskie. On trzyma ręce w kieszeniach. Twarz silna, szeroki mocny uśmiech. Oczy piwne.

*"Kto moją miłość  
wytłumaczy,  
Tak dziwną, nietutejszą,  
rzadką?  
Jej ojcem demon jest  
Rozpaczy,  
A Niemożliwość jest  
jej matką"  
(Andrew Marvell)*

U niej było dobrze, a u niego bieda. Jej ojciec był spawaczem w hucie "Stalowa Wola", jego ojciec - chłopem - robotnikiem. Matki pracowały w domowych gospodarstwach. Po ślubie jej ojciec kupił im samochód - Zastawę.

Poznali się w 1974 roku. Miała dwadzieścia lat i dyplom pielęgniarki. Był trzy lata starszy i pracował już od dwóch lat po skończeniu technikum górniczego. Może powiedzieć, że kochał ją, a ona jego na pewno od pierwszego wejrzenia. Zobaczyli się na weselu jego kuzynki. Brzdęk kieliszków, wino, wódka, zastawiony gościnnie stół. Co się wtedy grało? Adapterem, magnetofonem, orkiestrą? Srebrne wesele, Małgoškę?

Tańce szybkie, krwiste, i wolniejsze, szampańskie na przemian. Dotyk dłoni, twarzy. Był przyjemny i rozmowny. Tylko o czym rozmawiać? O wódce?

Mieszkał na stacji w Katowicach-Ligocie, dopiero w 1978 roku miał otrzymać mieszkanie. Wiedziała, że jest górnikiem w "Wujku". Także, że gra w piłkę w przykopalnianym klubie "Rozwój". Pisali do siebie z Ligoty do Niska, z Niska do Ligoty. Załatwił jej pracę i miejsce w hotelu pielęgniarek. Byli bliżej. Spacer i rozmowy. Jej matka była zachwycona przyszłym zięciem. Gładki, obyty, mimo iż górnik. Nie pracował ciężko.

Trening, mecz, trening, mecz... Pracę, i to na powierzchni, poznał ze trzy lata temu, gdy przestał kopać piłkę.

Wreszcie ich ślub. Brzdęk kieliszków. Co się wtedy grało? Nie spoczniemy, aż dojdziemy? Pewnie też coś zagranicznego. Zamieszkali u jej bratowej, w służbówce, razem w jednej klitce. Nie chciała mieć dzieci od razu, planowała nacieszyć się młodością, wolnością, miłością do męża. Urodziły się szybciej. Magda ma dziś sześć lat, Marcin trzy. I dzielnie chodzą do przedszkola. Gdyby zechciała zważyć uczucia, przyznałaby, że więcej przeznaczyła ich dla męża niż dzieci.

Zaczęli mieszkać u siebie. Stawało się prościej i lżej. Pięć lat korzystała z urlopu bezpłatnego. On zarabiał. Przychodził z nocnej zmiany, kiedy się dopiero budziła nad ranem. Pomagał ubierać dzieci, odwoził je do przedszkola w brzydką pogodę, a ją - po urlopie - do pracy w Centralnym Szpitalu Górniczym w Katowicach-Ochojcu. Co to za praca, powątpiewa. Przychodzi na dziewiątą, pije herbatę z koleżankami. Ot, musi założyć parę opatrunków czy gips na nóżkę w szpitalnej poradni urazowo-ortopedycznej.

Urządzała mu ciche dni. Nie odzywała się wcale. - Nie mógł zrozumieć, o co chodzi. Ja też - Elżbieta Wilk uśmiecha się smutno. Kto jego miłość wytłumaczy... O pracy męża dowiadywała się od obcych lub przy obcych. Sam nie opowiadał wiele. Miał dryg do robótek domowych - potrafił zreperować wszystko z wyjątkiem pralki automatycznej. Lubił filmy przyrodnicze w telewizji i sport. Na mecze piłkarskie chodził razem z dziećmi. Najlepiej czuł się w domu. Gdy wyjechał na obóz szkoleniowy, tęsknił: "Podczele, dn... Kochane moje! Ja przyjąłbym wiadomość o wcześniejszym powrocie z radością, bo bardzo, ale to bardzo mi się przykrzy. Właściwie to jechałbym już dzisiaj, jak tylko bym mógł. Brakuje mi tutaj Was. Zrozumiałem teraz, jak bardzo ciężko musi być ludziom w wojsku. Zrozumiałem, że jest mi najlepiej w domu, przy Was, moje kochane. Tak bardzo chciałbym Was całować, bawić się z Wami, żeby ktoś na mnie krzyczał, żeby pogłaskał, żeby poskakał mi na kolanach, a tu krzyczeć nikt nie chce, całować też".

Powiedziano jej, że mąż zginął. Nie pytała o szczegóły.

### Tylko pamięć

Wstał osiemdziesiąty trzeci dzień... Po katowickiej ulicy Wincentego Pola tłum mężczyzn podąża do pracy. Normalna codzienna krzątania, kopalniany rytm życia. Skrzyknęły w administracji urzędnicze biurka. Koło szybowe "Wujka" rozpoczęło miarowe, szybkie obroty. A naprzeciwko Róża Czekalska zabrała się jak zwykle za domowe obowiązki. Trzeba rozpalić pod kuchnią, przygotować śniadanie. Wyjrzała przez okno. Bez zmian. Są górnicze kaski. I świeże kwiaty za poległych od kul.

Może czas obudzić córkę? Ostatnio nie śpi spokojnie. Pannica, dziewiętnaście lat, nie powinna spóźniać się na zajęcia w pomaturalnym Studium Wychowania Przedszkolnego w Mikołowie. Kto wie, czy poważnie myśli zamążpójściu. Bez niej zostanie zupełnie sama.

Mąż Józef przepracował pod ziemią dwadzieścia trzy lata, z tego siedemnaście na nocnych zmianach. Ślub wzięli w 1961 roku. Boże, ile to lat minęło. Wtedy on miał ich dwadzieścia siedem, a ona - tak - trochę więcej. Zamieszkali w jej rodzinnym gnieździe, skąd do kopalni wprost przez ulicę. Spodobał się jej barczysty, mierzący sto sześćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, mężczyzna. Cóż może więcej powiedzieć o mężu. Najlepszy człowiek, najlepszy człowiek, nie mogła lepszego dostać.

Kawał życia spędzonego wśród trosk i radości. Myślenie o dostatku i nieustającej harówce. - Już sam kilof jest ciężki - przypomina. Wspólny koszt mężowskiego wysiłku. Świadczenie wyczerpaniu i obezwładniającemu znużeniu. Opatrywanie ran i zadrapań na barkach, plecach, rozmasowywanie stężyłych mięśni. Najlepszy człowiek. Nic więcej nie może dziś dodać.

W niedziele spacerowali alejkami Parku Kościuszki. Cieszyli się z córki. Przynosiła książki, które czytali na głos po obiedzie. Ostatnio Trylogię. - Wiecznie miał tematy do gadki z córką - mówi Róża Czekalska, wdowa od osiemdziesięciu dni. - Grali w karty, zbierali razem znaczki. Mąż po pracy interesował się tylko domem. Najlepszy człowiek. Wszystko. Niech pan idzie. Z tego, co powiedziałam, to całe życie może pan sobie dośpiewać.

Tak, idę..., ku pamięci wydarzeń z dnia 16 grudnia 1981 roku.



## Spadochroniarz ze szczęściem w czapie

Stępień to spadochroniarz w czepku urodzony. Każdy jego skok - wyskok kończył się szczęśliwie. Brr..., strach pomyśleć, co by się dziać mogło bez tego szczęścia.

- Leszek, hop! - i Stępień skakał. Żołądek uciekał do gardła, smarki do ucha, potem - po otwarciu czaszy - ramiona do chmur, buty do trawy. Nareszcie błogość, spływanie, królowanie. Opadał. Spadał coraz niżej, niżej. W końcu wylądował na ziemi ze swoimi marzeniami.

### Skok w Rambo

Miał siedem lat. Rodzice zamknęli dom w Harklowej i przeprowadzili się do Warszawy. Ojciec Lucjan Stępień, szef wyszkolenia w Aeroklubie Warszawskim, został pilotem PLL LOT. Fruwał na "iłach 62", potem na "boeingach 767". Syn o ojcu: - Prawdziwy kapitan. Wiedza, opanowanie, do tego, kurde, przystojny. Nawet po przejściu na emeryturę, z siwymi włosami, gdzie mi do niego. Tak, nie wdałem się w ojca.

Wdał się w Rambo. Rok 1978. Matura i Wyższa Szkoła Wojsk Zmechanizowanych we Wrocławiu. Ojciec mówił "nie": - Z twoim charakterem nie znajdziesz w wojsku nic dobrego. - Nie znalazł. Próżno szukał przygód komandosa w jednostkach powietrzno - desantowych. Wysportowany, próbujący sił w dżudo. Chciał strzelać, walczyć, nurkować, wspinać się i - oczywiście - skakać. Czasza spadochronu zasłoniła mu świat.

### Skok na krzesło

Bóle dyscyplinarne. Zdetonował ładunek "czerwony dym" pod krzesłem dowódcy kompanii. Afera - wyskok. Ukarano go zakazem opuszczania miejsca zamieszkania (ZOMZ) przez osiemnaście dni. Na drugim roku szkoły, w plutonie specjalnym, szkolonym dla wojsk powietrzno - desantowych. Na trzecim został instruktorem skoków spadochronowych.

Dni i noce, skoki i wyskoki. Ożenił się z Marzeną, świat ujrzała córka Agata. Małżeństwo żołnierskie przetrwało parę lat. W sierpniu 1982 roku otrzymał szlify podporucznika. Podjął służbę w plutonie rozpoznawczym VI Dywizji Wojsk Powietrzno-Desantowych w Krakowie.

Żołnierze bali się go, ale - powiada - garnęli do niego. Z chłopaków, którzy trafiali pod jego rozkazy, tworzył taką prywatną armię. Imponował dobrym. Dostawał szalu, gdy

musiał wykonywać głupie rozkazy z góry. Pewnego razu wyskoczył z korkowcem na kapitana. Ten zrelaksowany, noc. Paf, wystrzelił. Udawał pijanego. Kapitan ratował się saltem w tył... Nudy! W 1985 roku awansował na porucznika. Szczęście?

### Skok na imperialistów

Skoki - wyskoki. Pełno marzeń. Tym razem na poważnie. Oto cytat z postanowienia Wojskowej Prokuratury Garnizonowej w Krakowie z dnia 6 października 1986 roku: *"Zebrane materiały postępowania karnego potwierdziły, iż podejrzani (por. Lesław Stępień z dwoma kolegami podporucznikami - dop.) za pośrednictwem poznanych wcześniej obywateli libijskich (tu nazwiska - dop.), nie informując o podjętych działaniach przełożonych, nawiązali kontakt z konsulatem tego kraju w Warszawie, gdzie przeprowadzili rozmowy z attaché wojskowym (tu nazwisko - dop.), dotyczące ich wyjazdu do Libii i udziału w przygotowaniach do obrony przed spodziewaną agresją amerykańską (...). Mając jednak na uwadze motywy, które nimi kierowały, stopień społecznego niebezpieczeństwa ich czynów uznać należy za znikomy"*.

Plany z detalami. Mieli zabrać się "iłem 76", który przylatywał do Polski po uzbrojenie. Stępień znał port rządowy na Okęciu i niczym nie kontrolowany ruch tirów z bronią. "Nou problem", szczególnie że mówił po angielsku. - Hasło: przygoda! Politykę "po linii" dopisano nam. Przypuszczam, że Palestyńczycy chcieli zrobić z nas terrorystów, ale kolega wygadał się komuś i zwinęło nas WSW. Najbardziej obawiałem się przeniesienia do piechoty. Lecz nie, dostałem ZOMZ trzytygodniowe. Takie szczęście.

### Skok na samolot

Miał dość wojska. Chciał być żołnierzem, nie cyrkowcem. Komandosem! Musiał brać udział tymczasem w różnych "showach": jedna grupa skakała z samolotu, druga wyskakiwała z lasu i walczyła wręcz, trzecia gasiła pożar. No, głupota. Wpadł więc na pomysł, by porwać samolot.

Wojskowy - nie, bo zestrzelał. Zatem cywilny! Rozwazał. Miało być tak: granatniki, broń maszynowa, kominiarki, samolot do Nowego Jorku albo Montrealu, startujący w ciemnościach. Pełne zastraszenie. Ale nikomu nic by się nie stało. Zawiadomiłby wieżę lotniska, że będzie rozstrzeliwać pasażerów. Kolega przebrałby się za cywila i po wystrzale ślepą amunicją, wypadłby przez właz. - Taki plan. By trafić do armii amerykańskiej. Wydawało mi się, że tam to poradzę sobie. Ale jeden z kolegów, przyjaźniący się ze mną chyba służbowo po sprawie libijskiej... W każdym razie aresztowano mnie wiosną 1988 roku.

*"Minister Obrony Narodowej. Warszawa, dn. 30.06.1988 r. Poufne. Rozkaz personalny (...). Por. Stępień podjął starania, zmierzające do uprowadzenia samolotu i nielegalnego przekroczenia granicy PRL. W tym celu nawiązał osobiste kontakty z obywatelami USA, przebywającymi w Polsce, gromadząc w miejscu zamieszkania amunicję strzelecką (...). Karzę: por. Lesława Stępnia - usunięciem z zawodowej służby wojskowej"*.

Na szczęście.

### Skok do Legii Cudzoziemskiej

Zajął się handlem. Blisko lotnisk. Zaprzętała mu głowę jedna myśl - Legia Cudzoziemska, tylko że odmówiono mu paszportu na Zachód. W październiku 1989 roku pojechał więc na Węgry. Ruszył w nocy. Mundur paramilitarny. Twarz zaczerwioną. Plecak, kompas. Pas ziemi.

Wiatr - burza. Kukurydza. Wódka, dwie parówki. Pole zaorane. Błyskawice! Szedł i padał w błyskach. Pierwsze ogrodzenie. Nie było sposobu, by nie złamać listwy. Druty. Wreszcie drugi płot. Drut kolczasty. Z trzeciego płotu wylatywały rakiety, gdy się go dotykało. Nie dotknął. Ale do wolnego świata z prawdziwymi armiami, co to wyskakują z lasu nie dla zabawy, jeszcze trzy kilometry. Puste pole. Krzewinki drapały, raniły przez adidasy. Błąd, nie założył butów wojskowych. Kompas nie świecił. Błąd, że nie miał latarki. Biegł. Przed nim te same trzy płoty.

Zatoczył półkole. Psy. Jakaś rzeczka, krzaki. Biegł. Wieża strażnicza. Widział łokieć śpiącego żołnierza. Płot byle jaki. Podczołgał się. Przeciął drut. Był w Austrii.

Udał się do Ambasady RPA w Wiedniu. W kwestionariuszu, w rubryce "zawód", napisał "soldier" (żołnierz). - To nie ma pan po co jechać - usłyszał. - W naszym wojsku służą obywatele *of South Africa only*.

Obóz dla uchodźców. Straszne. Wrócił więc do Polski na bezczelnego pociągciem. Jego wyskok zagraniczny uznano za wykroczenie, nie za przestępstwo. I szczęśliwie umorzono.

### Skok do Japonii

Szwendał się bez celu. Paszportu nie miał. Jedynie te niewyżbyte marzenia o Legii Cudzoziemskiej. I wtedy zdecydował się szczęśliwie na skok miły.

Poznał Miłą - tak to się tłumaczy: Akiko Miwa, czyli Miła. Starszą od siebie. Wyemancypowaną. Pragnącą zmienić życie. Po pierwszym małżeństwie w Nagano, z dorastającą córką Nobu. Miwa знаła w Japonii prof. Taguchi, wykładającego w Polsce na SGPiS. Zapragnęła studiować witraże na ASP we Wrocławiu. Przyjechała do Krakowa, by uczyć się polskiego. Stępień skoczył na spadochronie i Miwie zmieniło się życie dokumentnie.

Ona zmieniała życie, on skakał w Aeroklubie Nowotarskim, aż wylądował precyzyjnie przy domu w Harkłowej, na stoku Styrka. Stępień: - Akiko prowadziła przedszkole prywatne w Japonii. Żyła w luksusie. Miłośniczka przyrody i witraży. Na początku nie bardzo przypadłem jej do gustu. Ona o kwiatkach, ja o karabinach. Zimą przyjechała na narty. Bożonarodzeniowa choinka. Gdy dostałem wreszcie paszport, pojechałem do Francji, szukać Legii... Nic, wróciłem. "To jedź ze mną do Japonii" - powiedziała. Stało się. I tam, w Ariake Nagano, postanowiliśmy, że w Harkłowej zbudujemy pensjonat.

### Skok w życie

Miało starczyć siedemdziesiąt tysięcy dolarów. Większą część tej sumy pożyczili rodzice Miłej. Roboty ruszyły w 1990 roku. Kwota mnożyła się, mnożyła, nawet pięciokrotnie. Harował Stępień, harowała w błocie Miwa - małżonkowie młodzi od nowa. Po dwóch latach było czym oko paść. Na zalesionym stoku urodził się pensjonat AKIKO pod adresem: Poland, Ariake Koszary, Harkłowa. Każde słowo ważyło. Ariake to wschód Księżyca. Koszary to... wysiłek nazewniczy Stępnia. Akiko słała listy do rodziców pod: Ariake Nagano, a oni pod: Ariake Koszary. Tysiąc dwieście metrów kwadratowych powierzchni dla siedemnaściora gości, dwa baseny, sauna, sala gimnastyczna, living - room z barkiem. No i te widoki: na horyzoncie Gerlach, Kościelec, Mięguszowieckie. W zasięgu nóg Turbacz, Lubań. Dla gości pensjonatu spływ Dunajcem, zamki w Czorsztyńcu, wyciągi narciarskie. Stępień do podwożenia. Harkłowa - AKIKO, dół - góra. Pensjonat - Harkłowa, góra - dół. Jak na spadochronie. - Żona spisuje mi listę zakupów. Zjeżdżam na dół. Kupię kukurydzę i ...na lotnisko. W samolot i skaczę. Ląduję przed domem. I biegnę na dół po

ziemniaki i mięso. Znów skaczą. Od wiosny zaliczyłem ponad osiemdziesiąt skoków. Trochę to kosztuje. Każdy może skakać.

W AKIKO znajomi Japończycy, Amerykanie, Włosi. Przedstawiciele japońskich i amerykańskich firm, mających swoje przedstawicielstwa w Polsce. Specyficzni goście, poszukujący dzikości, izolacji, przyrody. Z samochodami terenowymi; cieszący się, że mogą je pogiąć na górskich kamieniach. Stępień: - Organizuję trasy, loty, skoki, ale też instruktaż wspinaczkowy i jazdę na koniach. Hucuły i pomieszane araby wypożyczam od hodowcy z pobliskiej wioski.

A Miła? Akiko Miwa, dbająca o kuchnię japońsko - polską, o dom, o tradycje rodzinne, spajająca charaktery, pilnująca, by któregoś dnia mąż - spadochroniarz nie wyjechał do Legii Cudzoziemskiej. Przecież pozostały mu w uchu różne propozycje. Uśmiechająca się: - A, niech jedzie! - Dodająca zaraz: - Jest rodzina, on ma to na uwadze.

Stępień: - Córka Nobu zamieszkała tu na stałe, uczy się w trzeciej klasie liceum w Nowym Targu. Ma duże perspektywy zawodowe. Jeździ samochodem terenowym, wspina się, oddała pięćdziesiąt pięć skoków. Deklamuje "Odeę do młodości". Córka Agata przyjeżdża na wakacje, bardzo dobrze jeździ konno. Jak to w rodzinie... Akiko też ma charakterek. Nóż w brzuch, gdybym zrobił coś nie tak. Było, że chciała uciekać do Japonii. Zajechałem drogę. Wsiadła. A potem wyskoczyła z pędzącego samochodu...

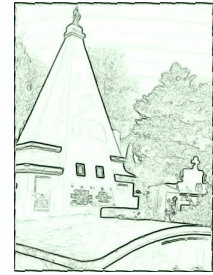
Przy domu dwa pilnujące psy: Mimi - ucho i Kintaro - postać z bajki japońskiej. Jeszcze kot Sziro, czyli biały. No i Stępień z winczesterem półautomatycznym: - Zapisalem się do koła łowieckiego. Ale nic jeszcze nie upolowałem. Nie mógłbym. Prędzej zastrzeliłbym człowieka.

Taki sposób na życie. Więcej szczęścia niż czapy - taki sposób.

PS. Ni słowem

W końcu przyszedł dzień, że zawiął wiatr w górach i poniósł spadochron wraz ze Stępnem hen, gdzieś tam. Minął czas i nie wrócił. Nie pisana była Stępnowi profesja hotelarza.

Za to Akiko Miwa wylądowała w Harklowej na amen z japońską rodziną. "Akiko Koszary" zmieniła w "Villę Akiko". W wywiadach z nią, o niej, miło o początkach AKIKO, o Stępniu ni słowem. ...Te jego marzenia?... Jeśli gdzieś na niebie, po świecie, tam gdzie tylko o krok od Legii Cudzoziemskiej, płynie w obłokach kolorowa czapa - to Stępnia, to ze Stępnem, w gonitwie za szczęściem i marzeniami o czynach wojownika.



## Marszałkowe brzemię

Tyś poeta. To potęga! Lecz i brzemię też Atlasa.  
 (Władysław Ordon, wł. Szancer;  
 spędził połowę życia w zakładzie psychiatrycznym)

Przez pokój przechodzi się prędko. W nim akwaria - suche, a niektóre z wodą do połowy. Rybek niemych niewiele. Obok balony z winnymi pęcherzami. Na ścianach pusto. Tylko oczami wyobraźni dojrzeć można cień po obrazie w ramach, na którym pan domu, marszałek Jego c.k. Mości Adam von Dembicki na koniu towarzyszy cesarzowi Austrii i królowi Węgier Franciszkowi Józefowi, też na koniu. Obraz przepadł, oglądany do tak niedawna przez małżonkę marszałka Oktawię.

Marszałek w 1925 roku - osiem lat przed śmiercią - w Krynicy. Siwe wąsy. Elegancki, w okrągłym kapeluszu i jasnej kamizelce. Mimo to pogniecione jakby spodnie staruszka. Obok mały biały pies o rasie nieodgadnionej, na którego wołano Szpic. Na innym zdjęciu młoda żona Oktawia z wyraźnymi kośćmi policzkowymi, uśmiechnięta, z luźno osadzonymi zębami. Oczy duże, w naturze brązowe. Szyja długa, ramiona opadające, włosy krótkie, falowane, uczesane w przedziałek. Według tamtych wzorców piękna. Dla przystojnego, siedemdziesięciosześcioletniego marszałka piękna z pewnością. Na kolejnych zdjęciach marszałek na manewrach wojskowych, z korpusem oficerskim, a także z rodziną.

Żołnierz Jego c.k. Mości służył i mieszkał w wielu miastach habsburskiego imperium. Na ostatnie lata wrócił do rodzinnego Sanoka. Ludzie pamiętają przekazy, a te wielkiego pana, umiejącego rozmawiać po czesku, ukraińsku, słowacku, słoweńsku, francusku, rosyjsku, zaś pisać po niemiecku i polsku. Kiedy przyjeżdżał pociągiem, miejscowa jednostka wojskowa witała go na dworcu. Fiakrzy sanoccy: Kurzydło i Czopor wytręcali sobie bat o to, który z nich ma wieźć marszałka na przejażdżkę. Von Dembicki nie pił, nie palił, był hojny, szczery. Płacił złotem. Obdarowywał zebrzących Cyganów. Przypadli mu oni do gustu chyba wówczas, gdy syn znanego marszałkowi Cygana Franka zasłynął z porwania wielkiej śpiewaczki cygańskiej Randii.

Zachowało się zaproszenie na obiad do cesarskiego pałacu w Wiedniu, wystawione dla marszałka w 1908 roku. C.k. potrawy, c.k. stroje, c.k. walc, c.k. świat i kultura. Także c.k. kobiety. Oktawia była jego drugą żoną. Po pierwszej damie serca, z którą związał się w 1881 roku, pozostało zdjęcie: szczupła, pociągła twarz, długi nos niekoniecznie pięknej pani. Opięta w talii, w bogato obszywanej perłami i cekinami białej sukni, stoi przy mężu wraz z



dwoma synami: urodzonym w 1882 roku Georgiem, podobnym do niej jak dwie krople wody, i z młodszym Adamem, który wdał się w ojca. Pierwsi synowie marszałka byli w 1910 roku porucznikami c.k. armii.

W sierpniu 1928 roku znów Krynica. Marszałek starszy o trzy lata. Za to młoda żona Oktawia z ziemiańskiego domu, odsłaniająca zgrabne nogi, tu lepiej uczesana, z fryzurą wysmuklającą twarz. Z nimi ich roczne dziecko. U kresu - los dał marszałkowi szczęście. W puchu. W koronkach. W dobrobycie. Szczęście niańczone. Z ptasim mleczkiem i potrawami wiedeńskiej kuchni. Dla służby domowej - panicz. Wychuchany syn marszałka!

### Nie umiem z kieliszka

...Po sześćdziesięciu latach siedzi oto za stołem w sanockim domu. Z pękniętą gitarą nad głową. Z wklęśniętą czaszką. Pijak, w lustrze starszy niż metryka. Nie ogolony. Łysiejący z czoła. Z cesarsko-królewskim owalem głowy. Z opadającymi ku ramionom włosami. Z bokobrodami. Z wyprostowaną postawą przy mniej niż średnim wzroście.

- Częstuj się pan - pośpiesza Dembicki, Adam po ojcu. Drżącą ręką podsuwa szklanę z ciociosanem.

- Proszę, wolniej. Mamy porozmawiać.

Wypija jednym haustem i dolewa sobie po brzeg. - Wie pan, ja z rosyjska, nie umiem z kieliszka. Proszę, niech pan pyta, mnie nie przeszkadza.

Butelka staje się lekka.

- Niech pan pyta, powiem wszystko - chwytą znienacka za nie swoje szkło.

- Ale nie zdążyłem tknąć... Cóż.

- Jestem pijakiem. Nie kryję. Niech pan pyta. Opowiem. Jestem pijakiem. Łajdakiem. Może pan napisać. Też poetą. Pan nie wierzy? Niech pan czyta.

W trzydziestodwukartkowym zeszytce w linię cykl epitafiów: *"Epitafium pijaka: Śpij spokojnie w tym grobie drogi nasz kolego/ Pracownicy Monopolu Spirytusowego. Epitafium murarza: A gdy ostatnia godzina wybiła/ Śmierć kopniakiem w dupę z muru go strąciła. Epitafium homoseksualisty: Przy mogile tej młodzieńcze zachowaj się cicho/ Bowiem gdy go zbudzisz, źle będzie z twą kichą. Epitafium lotnika: Tak dobrym życia swego był pilotem/ Że śmierć go zabrała razem z samolotem. Epitafium cichodajki: Dawala, dawala, dawala/ aż wreszcie śmierć ją Aidsem pokarała. Epitafium autora: Wielka kariera w życiu go czekała/ Lecz wykończyła go podła gorzała. Epitafium wariata: Titi titi, trata trata/ Pochowano mego pacjenta wariata. Profesor psychiatra"*.

Następnego dnia - na trzeźwo - syn marszałka pokazuje swoje tatuaże. Wąż, ptak, kobieta z plaży, ryba, wielki motyl pod szyją, próbujący wyfrunąć spod rozpiętej koszuli. Ręce skłute, pierś jak nieboskłon z kabalistycznymi znakami. Na prawym policzku identyfikacyjna kropka, coraz bledsza z latami, coraz mniej błękitna. - Kieszonkowcy tatuowali się pod lewym okiem, a ja po prawej stronie, bo nie jestem złodziejem. Robiłem to, co inni - wyjaśnia - a teraz idę w osamotnienie nad Sanem. Dzieci, nawet dorośli, podchodzą, patrzą otwarcie, bezczelnie.

Z fotografii - najpewniej sprzed roku 1950 - spogląda młodzian bez tatuaży: z meszkiem pod nosem, w białej koszuli z kołnierzykiem, wyłożonym na kraciatą marynarkę. Syn marszałka! Na zdjęciu z 1958 roku on - trzydziestoletni mężczyzna, wyraźnie łysiejący, z ulatującym już motylem. Z życiem za sobą.

### Ślub w środę

- Okci, okci - wołał malec do matki, gdy ta przyciskała go do piersi. - Cacy, cacy. - Do mamusi, do mamusi - wyrywał się z rąk trzech ciotek, które wszystkie jak jedna zostały

nauczycielkami i starymi pannami. Ojciec matki i jej sióstr - Pisarczuk - był wizytatorem szkolnym w województwie lwowskim, zaś matka pochodziła z ziemiańskiej rodziny Habdang-Kunickich, osiadłej w dworku Skałat na Polesiu. Siostry Pisarczukówny, z których najstarsza kulała, uznawały Oktawię za najpiękniejszą spośród siebie. Bez większego zaskoczenia przyjęły wiadomość o jej ślubie z sędziwym marszałkiem c.k. armii. Marszałek chodził dziarsko lwowskimi ulicami, otrzymywał szesnaście tysięcy koron emerytury wojskowej, powiększanej jeszcze o tysiąc dwieście koron "na opłacenie kwatery", imponował pomonarchicznymi klejnotami i wcale nie bajkowymi workami ze złotem. No, może woreczkami. Było ich sporo. Każdy pełen złotych monet.

Ślub uciekającej ze stanu panińskiego, trzydziestoletniej Oktawii Pisarczukówny z siedemdziesięcioletnim c.k. marszałkiem na emeryturze Adamem von Dembickim odbył się we Lwowie 24 marca 1920 roku. W dzień powszedni, w środę. Widać, że rodzinie Oktawii, jej samej, a może i marszałkowi niezbyt zależało na licznej publiczności. *Testimonium Copulationis*, czyli metryka ślubu, wystawiona przez *Respublicę Polonia i Palatinatus Leopoliensis* zawarcie ślubu potwierdza, lecz różnorakich domysłów zweryfikować nie może.

Po siedmiu latach urodził się we Lwowie syn Adam, ...smakosz ciociosanu. U schyłku życia marszałek, wiedziony sentymentem, przeprowadził rodzinę do Sanoka, w którym to galicyjskim miasteczku przyszedł na świat 20 grudnia 1849 roku. *Testimonium ortus et baptismi* (świadcstwo urodzin i chrztu) w *Imperium Austriae, Regnum galiciae, Districtus Sanok* podaje wiadomości też o ojcu przyszłego marszałka. "*Pater: Paulus Dembicki, profesor schola normalis in Sanok*" - czyli nauczyciel szkoły powszechnej w Sanoku.

W roku 1853 miasto odwiedził cesarz Franciszek Józef I. Koszary sanockie były siedzibą dowództwa 45. galicyjskiego regimentu piechoty oraz rejonem rekrutacji 13. regimentu ułanów.

Późniejszy marszałek w latach 1862 - 1866 uczył się w Instytucie Kadetów w Hainburgu. W 1870 roku ukończył studia w Terezańskiej Akademii Wojskowej w Wiener Neustadt z wynikiem bardzo dobrym. W Königgratz (obecnie Hradec Kralove) służył w 45. pułku piechoty przez dwa lata. Zdał do Szkoły Wojennej w Wiedniu. Po niej zaliczał różne miasta i garnizony: Karthaus koło Jičina, Krems, Czeskie Budziejowice. W Czerniowcach był już pułkownikiem, w Przemyślu - adiutantem Dowództwa Obrony Krajowej, w Jarosławiu - dowódcą 90. brygady piechoty Landswehry, w Ołomuńcu - dowódcą 5. dywizji piechoty. W 1907 roku otrzymał stopień feldmarszałka porucznika, odpowiadający dziś stopniowi generała dywizji. Przyznano mu medal "Signum Laudis", potem Order Żelaznej Korony III klasy. "Pełen taktu" i "szorstki podczas narad", "świetny w dowodzeniu oddziałami" - cytaty opinii z akt 1908 roku. W następnym roku odznaczono go Krzyżem Rycerskim Orderu Leopolda. Z pewnością czuł dumę, gdy w 1915 roku do Sanoka zawitał następca tronu i przyszły cesarz austriacki Karol I, a on przyjmował stanowisko zastępcy komendanta obrony Budapesztu. Potem objął komendę garnizonu w Salzburgu. W czynnej służbie pozostawał do końca 1918 roku.

### Oczko w głowie

W Sanoku - po przeprowadzce ze Lwowa - emerytowany żołnierz Jego c.k. Mości Franciszka Józefa I zamieszkał w domu przy ulicy Płowieckiej. W mieście tym także podjęły pracę nauczycielską i zamieszkały siostry żony Oktawii. Marszałkowa nie czuła się osamotniona. Mały Adzio rósł jak na drożdżach, dla wszystkich oczko w głowie.

- Pamiętam chorobę ojca: częściowy paraliż, atakujący okresowo, spowodowany chyba udarem mózgu. Normalnie ojciec chodził o lasce po ulicy, a nawet dawał się wozić fiakrom za złote monety. Z opowiadań ciotek wiem, że za namową matki wymienił trzy worki

złotych monet na papierową walutę. I stracił. Może nie majątek, na pewno nie fortunę, lecz z rozpaczy szlag go trafił. Szlag ojca trafił, lecz nie na śmierć. Ta przyszła, kiedy miałem sześć lat - wspomina Adam Dembicki.

W 1939 roku Adam skończył lat dwanaście, jego matka - wdowa po marszałku c.k. armii - czterdzieści dziewięć. Dbała o dom, spotykała się z siostrami, spacerowała z synkiem, który nie czując nad sobą ojcowskiej ręki, rozpieszczany przez ciotki, wyrywał się raz po raz spod opieki nianiek czy kuchennych. Nadsluchiwał nawoływań kolegów z podwórka do wspólnych zabaw i drak. Cenił towarzystwo, lubił przewodzić, imponować. Dla towarzyszy wycieczek nad San, do pobliskich jarów i gruzowisk, był przede wszystkim synem marszałka. Zaszczycił obecnością.

Adziowi dusza grała, głowa młoda rodziła pomysły, ucho nie fałszowało melodii Sanu. Nad brzegiem rzeki dorastał do burd, do gitary, do drapieżnej bufonady. - Paniczu, paniczu - wołali do okna koledzy z podwórka. On wychodził do nich przed drzwi z pełnymi rękami. Zaskórniaki starczały na lemoniadę, na jakieś wino, za to pamiątki po ojcu - przykładowo kopyto marszałkowskiego konia, podkute złota podkova, ofiarowane na pożegnanie służby przez c.k. oficerów - do dumy i przechwałek. - To złota podkova - wyjaśniał. - Sam Najjaśniejszy Pan Franciszek Józef ją polerował - okraszał opowieść.

Chłopcy z podwórek, biedniejsi, w łachmanach, słuchali syna c.k. marszałka z wypiekami, także dziewczęta sąsiadów nie uciekały. Ot, choćby jedna dojrzewająca Ukrainka Tosia, której imponował opowieściami o domowych skarbach, workach ze złotymi monetami, cennych pamiątkach ojca i obrazach, zwiezionych z całego świata. Matce były nie w smak te kontakty, to spoufalanie się z ulicą. Ograniczała jak mogła eskapady jedynaka, twierdząc nie bez racji, że wpływają one źle na jego zachowanie, obracają w niwecz tradycje kulturalnego domu.

Adzio dokazywał. Czy to na podmokłych łąkach, wywołując duchy bagien, zawodząc przy gitarze ukraińskie pieśni, czy w szkole, wierząc się i prychając jak iskra. Jego powszechniak zamknięto na jakiś czas po wkroczeniu Niemców. Ani nie płakał z tego powodu, ani nie czuł respektu przed okupantem. Zarówno matka, jak i wszystkie ciotki, rozmawiały *perfect* w języku niemieckim, jemu też szło z tym coraz sprawniej. Poza tym nowa władza pamiętała o ojcowskich zasługach dla szanowanego cesarstwa... Przynajmniej tak sądził, obserwując z bliska żołnierzy Wehrmachtu, zajmujących kwatery w sanockich domach.

U Dembickich, na Płowieckiej, zamieszkali także oficerowie niemieccy. W domu ciotek Pisarczukówien - również. Adam Dembicki: - Pełen szacunek. Matkę w rękę całowali. Wszyscy oficerowie bardzo grzeczni. U ciotek mieszkał nawet pułkownik. Zetels się nazywał. Był lekarzem psychiatrą. W Düsseldorfie miał prywatną klinikę dla nerwowo chorych.

Wszarz!

Pani c.k. marszałkowa Oktawia została zatrudniona w szpitalu w Sanoku jako tłumaczka. Czternastoletni Adzio..., razem z czterema kolegami ze szkoły, których namówił do nowej zgrywy, rozrzucił antyfaszystowskie ulotki. Po latach nie jest w stanie przypomnieć sobie ich treści, wypisanej piórem na kartkach z zeszytu. Daje słowo honoru: były antyfaszystowskie! Wzięły się z chęci dokazywania, wyróżniania się wśród rówieśników. - No bo cóż mi zrobić może Szwab z trupa czaszką?

Nie pomogło wstawienictwo pułkownika Zetelsa, kwaterującego u ciotek. Nie pomogły łzy wdowy po c.k. marszałku. Powiada: - W gabinecie oprawców Kratzmana i Millera nie straciłem rezonu. Zawsze byłem sobą, paniczem Adamem, synem marszałka.

- Jak się nazywasz? - zapytał Miller.

- Adam Dembicki. Mój ojciec był marszałkiem!

- Może Żyd?

- Ja? - nie umiał ukryć oburzenia. - Mego ojca szanował sam cesarz Franciszek Józef. W domu są razem na koniach...

- Twój "von" ojciec to nie zgniły arystokrata, porozmawiać możemy i miło - odezwał się z kąta pokoju gestapowiec Kratzman. - Znałeś różnych koleśków. Kto podsunął ci pomysł napisania ulotek?

- Nikt.

- No, uważaj. Twój koleśki wskazali na ciebie. Nie chce się nam wierzyć, żeby syn "von" marszałka... - pokpiwał Miller.

- Tak, to ja wymyśliłem.

- Ojciec służył wielkiemu narodowi niemieckiemu uczciwie, a syn rozrzuca ulotki.

- Nieprawda, to nie tak...

- To zaszczyt służyć wielkiej Rzeszy.

- Ojciec był marszałkiem polskim. Ja jestem Polakiem!

- Możesz być Niemcem. Zastanów się. Poślemy cię do Wiednia, do szkoły. Dużo się nauczysz. Potem z obrzydzeniem wspominać będziesz wszawą polskość.

- To ty wszarz... - warknął na Kratzmana.

- Coś powiedział? - Kratzman podciągnął chłopca za ucho do góry.

- Puść - zasyczał Adzio. - Boli... - machał bezradnie rękami. - Puść mnie, ty... - I plunął gestapowcowi prosto w twarz.

Kratzman puścił. A potem uderzył raz, drugi. Kiedy Adzio z zakrwawioną głową próbował podnieść się z podłogi - trzeci. Oprawca wpadł w furję. Ciężkimi butami kopał go gdzie popadnie: w brzuch, w twarz, w głowę, nie patrząc, czy porusza się, czy nie.

- Wystarczy, bo zabijesz - odezwał się Miller. A syn c.k. marszałka, we krwi, z rozbitą na miazgę twarzą i połamanymi kośćmi czaszki, podświadomie zapamiętywał ostatnie słowa gestapowców: - Nie chce do szkoły wiedeńskiej, to pójdzie w bandyty.

Zamknięto go w domu poprawczym w Sanoku, który Niemcy nazywali zakładem dla małoletnich bandytów. To był dla niego szok, prawdziwy szok. Uwięziony, z bardzo poważnymi obrażeniami po gestapowskim biciu, sięgnął dna. Rozbijacy i złodzieje z przestępczych środowisk otoczyli c.k. potomka, zawładnęli jego światem. "Dom bandytów" utrwalił obrażenia ciała i ducha, zidentyfikowane przez lekarzy po latach jako posttraumatyczne, czyli pourazowe.

Nieletni Polacy, Ukraińcy, także kilku Niemców - w zakładzie wszyscy pracowali na własne utrzymanie, szyjąc buty, odzież roboczą, uprawiając ziemię i ogród, hodując na sprzedaż jedwabniki i pieczarki. Przy strażnikach z karabinami nikt nie próbował uciekać. Adzio wtopił się w towarzystwo. Przetrzymał na początku kilka bójek i koców, skacząc do oczu z pazurami też silniejszym od siebie. Przyswoił zwyczaje i zaczął narzucać swoją, c.k. pomarszałkową wolę. Przez pierwszy rok pracował u ogrodnika. W drugim roku został centowym. - Nic nie robiłem, tylko pilnowałem. Bez strażnika chodziłem. Byłem takim kapo obozowym - wspomina.

Nie potrafił dociec przyczyn bezsilności matki. On - jej oczko w głowie, rozpieszczony jednak - spodziewał się ratunku. Z grupki pięciu chłopców z ulotkami ukarano tylko jego tak surowo. Dużo później dowiedział się, że matka robiła, co mogła. Natrafiała na mur... Na gestapo zaniósł wielką część biżuterii, złota, różnych pomeżowskich kosztowności. Czas mijał, a aktu łaski nie prokurowano. Ulica plotkowała, że funkcjonariusze gestapo uczynili z marszałkowej Oktawii "dojną krowę". Informacje o złotej spuściźnie po marszałku czerpali z pierwszej ręki: starsza koleżanka Adzia, Ukrainka, z którą bawił się na podwórku i której jako smarkacz opowiadał o klejnotach, o ojcowskiej złotej podkowie, stała się kochanką gestapowca Millera.

Wdowa po c.k. marszałku, ograbiona i oszukana, napisała list do Hitlera. Pomogło. Po dwuipółletnim odosobnieniu Adzio odzyskał wolność. Wyszedł z zakładu jako zahartowany w światku występku młodzieniec, obeznany z przestępczą podkulturą. Matka chciała widzieć w nim nadal niewinne dziecko.

### W nowych realiach

Zdążył rozpocząć naukę w Szkole Handlowej w Sanoku. Co jakiś czas wzywano go na gestapo, by zdawał relację ze swego postępowania. Z ulgą doczekał dnia, kiedy po Niemcach, gubiących buty przed Armią Czerwoną, opadł kurz na dobre.

Podjął naukę wieczorową. Nieźle mu szło, a nawet myślał o studiach prawniczych. Chciał bronić ludzi przed niesprawiedliwością, przed oskarżeniami i wyrokami, których dolegliwości doznał na własnej skórze. Cóż, znów... Mus wyróżniania się. W nowych realiach politycznych plótł, że nie podobają się mu kołchozy, że komuny nie wpuści przez próg swego domu, że Lwów jest polski. Doniesiono. W "bezpieczeństwie" syna marszałka obcego cesarza uznano za wrogo nastawionego do nowego ustroju. Pyskował, dostał w twarz i trafił do więzienia za antyustrojowe wypowiedzi.

Zaciążyły także zaszłości. Zetknął się z Żubrydem. Potem z różnymi dezertkami z ludowego wojska i milicji; jeden odwiedzał go nawet z bronią. Antoni Żubryd, starszy o dziewięć lat, trochę wyższy, z długimi włosami, ukrywający się przed Niemcami w Płowcach, podszedł do niego z pepeszą, gdy grał w piłkę ze szkolnymi kolegami z handlówki na Księżowskich Łąkach. Żubryd tęsknił za pogawędką, więc porozmawiał: patriotycznie, o Polsce przyszłej, o potrzebie odrodzenia Ojczyzny wolnej i demokratycznej, nie przeczuwając zapewne, że podejmie walkę zbrojną z nowym porządkiem w państwie.

Za "sugestią" organów bezpieczeństwa Adzio wyjechał z Sanoka. Dzięki ciotkom - nauczycielkom, znającym dobrze dyrektora gimnazjum w Pyskowicach za Gliwicami, Mazura, zamieszkał w pyskowskim internacie i kontynuował naukę. Wspomina: - Trzeba było słuchać, stosować się do regulaminów. Ciągle coś narozrabiałem, nie mogłem wysiedzieć na jednym miejscu.

Nic nowego... Gdy na każdej ścianie, na każdym niemal płócie malowano hasło: "3 X TAK", razem z kilkoma kumplami napisał ręcznie na piętnastu afiszach swoją rymowaną: "Kto trzy razy TAK głosuje/ Piątej klepki mu brakuje". Plakaty przykleił z kolegami klejem z mąki do kilku domów. I nawiał. Uciekł nie tylko z ulicy, z internatu, ale i ze szkoły. Bo nauczyciel Mazur oznajmił, że wie, kto kartki rozklejał, że każdy głupi poznałby charakter pisma. Przestraszył się. W kategoriach tamtych lat "akcja plakatowa" mogła zostać uznana za akt dywersji politycznego podziemia.

Dwudziestoletni syn c.k. marszałka pojechał do Wrocławia, bo tam zamieszkała po wojnie i pracowała jako nauczycielka najstarsza z ciotek Pisarczukówien. Ciotki nie zastał, bo wyjechała na dłużej do Sanoka. Mieszkanie - dwa pokoje z kuchnią - stało wolne. Włamał się do środka, powiadamiając o tym krewną w liście. Ciotka przyjechała, lecz na krótko - ciągnęło ją do sióstr i do nich przeniosła się na stałe - mimo to zdążyła wnieść w życiorys siostrzeńca swoje trzy grosze. Z ciotecznego "podpuszczenia" Adzio napisał anonimową skargę na uciążliwą sąsiadkę: "Jeśli się, zmijo, nie wyniesiesz w ciągu 24 godz., to zabiję cię mamie, ty pomioce!"... Lokatorka wyprowadziła się wkrótce, ale Dembickiego namierzono. Za "niebezpieczne pogrożki i manifestowanie aspołecznej postawy" dostał pierwszy dorosły, acz mały, wyrok więzienia.

## Poczuł się jak wieszcz

Wrocławskie lata wycisnęły piętno szczególne. Opowiada: - To bez przerwy jedna wielka przygoda. Najciekawszy okres mojego życia. Gdybym go opisał, powstałby piękny serial. Ale musiałbym zmienić twarz jak Ronald Biggs i skryć się na drugim końcu świata. Znałem wszystkie prostytutki we Wrocławiu. Nawet te, które przyjeżdżały z innych miast na występy gościnne. Byłem uwielbiany, no bo grałem im na gitarze i śpiewałem. Kobiety z uczuciem. Płakały, gdy grałem... Ja, niejaki Ryjo i Bażant staliśmy na czele kilkusetosobowej grupy tak zwanych bikiniarzy. Byli to straszni łajdacy. Znałem wszystkich urkesów, czyli złodziei. Sam nawet ćwiczyłem nieco dla własnej przyjemności.

Po okupacyjnych doświadczeniach, z gitarą rzewnie jęczącą, z duszą rozrabiacką, szukającą potwierdzenia pomarszałkowskiej wartości, Adam Dembicki poczuł się jak wieszcz w barwnym, drapieżnym towarzystwie marginesu powojennego Wrocławia. Odra toczyła nurty jak San, dziewczyny z rodzin lwowskich, zabużańskich przypominały rodzinne strony. Poznał Wandę. prostytutkę. Zameldował ją u siebie. Nie był sam, śpiewał dla niej. A potem wszystko potoczyło się samo. *Wein, Weib und Gesang*. Pełnia życia. Wanda przyprowadziła koleżanki. W pięć, dziesięć mieszkały u niego. Do domu nie sprowadzały klientów. Płaciły za pokój. Nie był sutenerem, alfonsem. Dawały na jedzenie, na picie, bo go lubiły. Grał im na gitarze, śpiewał. - prostytutki są uczuciowe, z sercem. Płaczą. Że alfons je porzucił. Że młodość mija. Muzyka działa na ludzi.

Wanda lubiła jego muzykę, głos, rozmowy. Bywalczyńni znanych lokalów. Nie zadawała się z byle kim. To była klasa! Wspominana przez starsze generacje we Wrocławiu do dziś. Miała swoich gości. I K. do niej chodził, i Ł., artyści Opery Dolnośląskiej. - Wysoka, ładna, oczy niebieskie, złoty blond włosów. Niezbyt szczupła. Może ze zbyt dużymi piersiami. Codziennie kupowała nowe majtki, a stare zrzucała. Pewien Żyd je zbierał i sprzedawał całymi stertami. Nigdy nie spijała się. I wesola była. Marnie skończyła. Popelniła samobójstwo w więzieniu dla kobiet w Grudziądzu. Dostała wyrok za uczestnictwo w napadzie, w którym zamordowany został stróż. Wrobiono ją na dwanaście lat. Jednego łajdaka z napadu skazano na dożywocie, ale wyszedł. Ona nie. Staralem się o widzenie. Nie udało się. Listy pisałem. Coś połknęła: rtęć z termometru czy haczyk. I zmarła. Aż dziw, że pamiętam ją do dziś. Płaczę. O, Boże, jak ja płaczę. Po pijaku widzę ją wciąż. Krzyczę za nią po nocach. Dobra dziewczyna, kochałem ją. Spałem z nią, z innymi nie chciałem, choć przymilały się wszystkie. Pytały mnie nawet, czemu ich nie chcę: "Czy ty się nas brzydzisz?".

Romantyk. - Te dziewczyny to mnie dopiero rozpiły. Wcześniej, w Sanoku, to ja nie wiedziałem w gruncie rzeczy, co to alkohol. A tu wódka musiała być na stole. Wódka i wino, wino i picie.

Kochał noce, brzeg Odry. Śpiewał przy gitarze "Don Cavalero": "*O, wyjdź na balkon, dziewczyno...*". Chodził po cmentarzu. Tak. Kobiety i łajdacy - wszyscy tam byli. Żebracy i włóczędzy, czyli gredzi i giganci. Na starych poniemieckich cmentarzach kwitło życie. Chciał książkę napisać na ten temat. - Ale - powiada - byłem zbyt leniwy. Wierz mi, przyjacielu, że mógłbym napisać.

Lubili go wszyscy: prostytutki i bażanci. Nazywali: Piter i Palma. Piter - znaczyło "swojego chłopca", takiego "ciekawego", ale nie wariata. On, Ryjo i Bażant razem. Bikiniarze walili po mordzie zetempowców w czerwonych krawatach, ormowców, bo czerwoni. Gdy ich łapali, to maszynką strzygli włosy przez środek głowy. - Nie dostałem po mordzie od nikogo - stwierdza. Kochali go. I pudlarz, czyli kasiarz, i klawisz albo pasówka od otwierania zamków drzwi. Także sikor albo skaza - złodzieje zegarków. Bażanci, czyli bikiniarze, pochodzili często z zamożnych domów. Wyróżniali się strojem, sposobem bycia. Włosy nosili długie, zaczesane z przodu głowy w duży czub. Jeden fryzjer we Wrocławiu, Antoś, strzygł je i układał. Marynarka kolorowa z samodziału, spodnie wąskie, skarpetki kolorowe, buty na

grubym obcasie. Bikiniarki - też kolorowe, wyróżniające się przede wszystkim krótką grzywką. Gdy dziewczyna widziała bazanta z naleśnikiem, czyli z płaskim kapeluszem na głowie, w spodniach - rurkach i w szerokiej marynarce - to z takim szła w gruzy. Razem tańczyli boogie-woogie: "*Biglarz buty ma zamszowe/ I koszule kolorowe/ Wąskie spodnie niby gacie/ Gołą babkę na krawacie/ Każdy biglarz tańczyć lubi/ Boogi-woogi, boogi-woogi/ I ja boogi tańczę też/ Kiedy zagra dobry jazz!*".

#### Lądowanie na dachu sztabu

Wrocławskie przeżycia doprawiło wojsko. Z kartą powołania Dembicki trafił do Chorzowa, do piechoty. Zataił wieści o c.k. ojcu. Z marszu, po kilku dniach w mundurze, znalazł się w szkole podoficerskiej. A potem nie wiadomo dlaczego, czy wygadał się po pijanemu, czy skompletowano papiery, został przenicowany do cna przez Informację wojskową. Ze szkoły podoficerskiej przeniesiono go w trybie nagłym do CKM-ów, oznajmiając bez ogródek: - Zgnoimy!

Zagrała w nim marszałkowska krew... Nocne czuwanie. Stał na warcie, przytupywał z nogi na nogę, odciskał na piętach onuce i czekał na tę wymarzoną chwilę odwetu. Gdzieś z odległej szosy dobiegł go warkot przejeżdżającej ciężarówki. Zza chmur wyłonił się księżyc. Zdecydowanym ruchem odbezpieczył broń. Bez drżenia serca nacisnął spust. Terkot pistoletu maszynowego przeszył noc w promieniu dziesięciu kilometrów. Kule tłukły szyby - szyba po szybie - budynku sztabu dowództwa. Nie przstraszył go hałas ani spadające tynki. Zwolnił spust dopiero wówczas, gdy opróżnił magazynek.

Alarm. Światła na dziedzińcu. Syrena. Po chwili stał przy nim zdyszany oficer dyżurny z odbezpieczoną bronią. - To ty? - zawołał.

- Melduję posłusznie, panie poruczniku... Melduję posłusznie, że zauważyłem lądowanie anglo-amerykańskich imperialistów!

- Gdzie? - rozejrzał się przerażony oficer.

- Na dachu sztabu!

Dopiero po kwadransie, po dokładnym sprawdzeniu terenu, przyjrzano się twarzy wartownika. Nie wyrażała żadnych uczuć. Rozbrojono go. Z rękami skutymi kajdankami poprowadzono do celi. Nad ranem przesłuchano. Utrzymawał stanowczo swoje. - Wariat! - pielęgniarz wojskowy zawiózł go do szpitala, a stamtąd do Kobierzyna na dwumiesięczną obserwację psychiatryczną.

On też obserwował. Uczył się, wchłaniał atmosferę i naśladował chorych. Choć nie wygrał do końca, pomógł sobie. Otrzymał przydział do lżejszej służby w Olchowcu pod rodzinnym Sanokiem.

Trochę szwejkował, mianowano go więc redaktorem gazetki ściennej. Spisywał artykułiki rocznicowe, kreślił tabele współzawodnictwa żołnierskiej służby. Prowadził zajęcia świetlicowe na aktualne tematy. Koledzy zwracali się do niego z prośbami o pomoc w pisaniu listów miłosnych. Dowódca rzekł na pożegnanie: - Gdyby istniał niższy stopień od szeregowca, tobie by się on należał w pierwszej kolejności.

#### Lwom na pożarcie

Wrócił do Wrocławia. W mieszkaniu zastał znajome dziewczyny. I znów radość i wódka, i radość, i wódka. I wielka zgrywa. Prostyutki, zimni dranie, homoseksualiści. Park Hanki Sawickiej - miejsce ich spotkań. Ludzie bogaci, artyści, pisarze. Ich "opiekunem" był Zośka. Miły, grzeczny, zawsze uśmiechnięty, upudrowany. Pilnował bezpieczeństwa za drobną opłatą. Z Zośką dawało radę załatwić wszystko: sprzedać skradziony towar, zdać maturę, zrobić karierę zawodową.

Gorsze towarzystwo spotykało się w "Małpim Gaju". Bezdomni, giganci. Drobne kradzieże, prostytutka "gruzińska", żebranina. W "Gaju" strumieniami lał się "likier na kościach", czyli denaturat, zwany też "dyktą". Nie pogardzającego nim syna marszałka szanowała nawet Gruba Anielka. Nie czyniła mu nigdy "sztempa", czyli wstydu, jak innym frajerom.

Stare grobowce na poniemieckich cmentarzach straszły "zjawami". Żaden patrol milicyjny nie zapuszczał się w te meliny w nocy. Dembicki z gitarą miał wstęp wolny. Napisano o nim nawet w gazetach..., kiedy po pijanemu, by zaimponować dziewczynie, rzucił się w Ogrodzie Zoologicznym przez siatkę lwom na pożarcie. - Pamięta mnie dyrektorostwo ZOO, państwo Gucwińscy... - Lwy nie zareagowały, za to milicja tak. Kolegium Orzekające wyznaczyło mandat, a ogrodowa gabłota za szkłem ze zdjęciami chuliganów wszelkiej maści wzbogaciła się o jeszcze jeden wizerunek - syna marszałka! W celach wychowawczych miał wisieć przed ludźmi trzy miesiące, lecz kumple, którzy złożyli się na jego mandat, zniszczyli gabłotę następnej nocy.

Świat drobnej przestępczości, pilnując własnego interesu, współpracował z milicją w sprawach morderstw. Spece od mokrej roboty zdradzali się przed prostytutkami, tymi od Adama też, a te dawały znać. Wystarczyło uderzenie w głowę woreczkiem z piaskiem... Równocześnie nie było litości dla kapusiów. "Kosa", czyli nożem, albo żyłkami, związanymi co parę centymetrów supelkami na sznurku, zmuszano ofiary do wypicia flaszki denaturatu. Po przejechaniu parę razy takim sznurkiem po twarzy traciło się nos, wargi, oczy. I chlust, do kanału Odry. Przeżywali wyjątkowi szczęściarze. Adam Dembicki pamięta dużo: - Założyliśmy się, kto najszybciej wypije z flaszki pół litra spirytusu. Młody Gogo też zastartował. Zachłysnął się. Po chwili nie żył. Inny, Poldzio Góral, chciał przekonać się, czy Krycha go kocha. Udał, że zastrzelił się z pistoletu. Dziewczyna uwierzyła, wpadła w histerię, przewróciła się na schodach, połamała, rozbiła głowę. Nie umarła, ale jąkała się po wyleczeniu. Góral, gdy ją zobaczył, zwariował prawie... Dość... Zapić tych wspomnień nie mogę. Moje pomysły ściągnęły nieszczęście na wielu.

### C.k. demonstracje

I więzienie. Miesiące, lata spędzone w okratowanych celach. Bójki, wysiadywanie na kiblu, palenie sienników, natręctwo homoseksualistów. Stał się "swojachą", wytatuowanym na życzenie w więziennej kartoflarni. Za co? Czy rozbijał, zabijał? Nie. Czy czerpał korzyści z nierządu? Nie. Kradł? No, nie... C.k. potomek pyskował. Pióra i języka pohamować nie mógł. Bard nadrzeczny, miłośnik cmentarzy nocą kiblował za pyskowanie! Po pijanemu zaczepił dostojną personę w kawiarni, zagroził, że pysk jej rozbije. Więc siedział. Po pijanemu trącił prokuratora w restauracji. Siedział. Milicjantowi czapkę z głowy zrzucił. Siedział. Chyba z dziesięć wyroków chuligańskich złożono w dobre trzy lata drutowania. Każdemu wyskokowi, każdej zgrywie - zawsze pod wpływem alkoholu - towarzyszyły niezmiennie c.k. demonstracje. Wyzwał prokuratora od służusów komunizmu, zagroził milicjantowi podpaleniem posterunku, znanemu sędziemu krzyczał o reżimie stalinowskim, zanim jeszcze oblał go piwem. Przymykano go za jakie bądź pogrożki w obawie, że je spełni naprawdę.

Za każdym razem trafiał do psychiatry. W szpitalu w Żurawicy spędził dwa tygodnie. Lekarze stwierdzili, że w porządku, pije i alkohol zmienia jego osobowość. W Kobierzynie kurował się dłużej, wielokrotnie. Poznał więźniów politycznych. Ci wymieniali się często. Z czterdzieści osób spało w jednej sali. Z ugrupowań UPA, "Ognia", "Hrynia". Jeden oprawca z obozu koncentracyjnego. Pacjenci "groźni dla porządku prawnego" "trzeпали" esesmana trochę za to, co wyrabiał. Wyszedł po 1956 roku, o dziwo, mimo trzech wyroków śmierci. Nie wszyscy mieli takie szczęście.



Ordynator otwartego oddziału obserwacyjnego polubił Dembickiego, no bo ten przygrywał na gitarze "Oczy czornyje", "Na sopkach Mandzurii" w towarzystwie pułkownika Armii Krajowej Majewskiego, popiskującego na skrzypcach. Ordynator miał zresztą honor ronić łzy przy muzyce i lampce czegoś mocniejszego w doborowym towarzystwie. Był tam i profesor A. z Krakowa, który ukończył Cambridge, gość na wysokim poziomie: krzyżówki układał, grał na instrumentach. Był parę dni generał Mossor, zanim wzięto go na słynny proces "grupy dywersyjno-szpiegowskiej Wojska Polskiego, zagrażającej ustrojowi PRL". Byli inni. Dembicki - jako syn marszałka Jego Cesarsko-Królewskiej Mości - pasował do nich jak ulał. Po 1956 roku, po amnestii, "politycznych" i Dembickiego wypisano ze szpitala.

### Udręka

Wdowie po c.k. marszałku Oktawii dnie i noce ciążyły udrękami. Kochany dawniej Adzio albo włóczył się po miastach i okolicy z gitarą i butelką wina, albo siedział w więzieniu. Cóż więc, sprzedała dom przy ulicy Płowieckiej i przeniosła się do połówki domu, wyłączonego z gospodarki komunalnej, bliżej sióstr. Nie potrafiła odnaleźć się w powojennym ustroju. Obnosiła swą "pańskość". Oznajmiała wszem wobec, że ona, marszałkowa, pracować nie będzie. Unikała sąsiadek, które dawniej usługiwały jej, sprzątały, gotowały, a w Polsce Ludowej stały się "paniami" i podśmiewały się z niej za plecami, co bezczelniejsze w oczy.

Z latami udręka rosła. Ludzie dorabiali się pracą własnych rąk, ona traciła dobytek, bo sprzedawała go za chleb. Zazdrościła wszystkim wszystkiego: nowych mebli, dywanów, motocykli, samochodów... Skarżyła się: - Ja nic nie mam. - Słyszała: - Żeby mieć, trzeba pracować. - Drażnili ją wieśniacy, ten "lud", dochodzący do czegoś w życiu. Diabli ją brali, kiedy radio grało "Kapelę Dzierżanowskiego" albo pohukiwało w takt śpiewek ludowych. Winny był ustrój i syn pijak. Powtarzała, że to przez niego straciła majątek, a on taki...

Rzeczywiście, Adama Dembickiego z tamtych lat ludzie pamiętają nad Sanem jako włóczykija, lumpa w kolorowej koszuli, barda z przewieszoną przez ramię gitarą, wyśpiewującego nostalgiczne pieśni. Zdumiewano się na bulwarach, że przez usta i gardło syna marszałka, w którego domu czytywano Goethego, przechodzi więzienna zwrotka: *"Tej pięknej nocy sam byłem na świecie/ Nie mając co robić, usiadłem w klozecie/ Na tym samym miejscu ona siedziała/ Tym oto papierem dupę podcierała/ Więc biorę ten papier..."*.

Dembicki zatrzymał się też na chwilę w Krakowie. Znalazł dość czasu, by sięść na Plantach, zsunąć gitarę z ramienia. Na lumpowską łzę i cygański strój wzięła się jedna z dziewczyn, Zosia.

Matka Zosi umarła przy porodzie. Ojciec, zajęty bardziej przygodnymi kobietami niż trójką własnych dzieci, umieścił ją w klasztorze benedyktynek w Staniątkach. Klasztor klauzurowy, ściśle zawarowany. Jedynym towarzystwem młodej dziewczyny były kury i koty. Zakonnice dokuczały: - Sierota, a gębę ma jak wrota. - W nagrodę za posprzątanie kościoła dostępowała błogosławieństwa Bożego. Za odstępstwa od regulaminu klęczała godzinami. Całowała siostry po rękach, dziękując za darowanie kary. Dorastała w nieświadomości, że ma braci. Jeden z nich przyjechał raz do Staniątek w czas dożynek. Wywołano ją. Nie powiedziano, po co. Widziała dziewczęta z wieńcami na głowie, śpiewające: "Plon niesiemy, plon". Furta. Kraty. Furta. Mężczyzna, którego zobaczyła po raz pierwszy w życiu, chciał ją pocałować. Odskoczyła, jak zwierzątko zadrapała go paznokciami po twarzy. Schowała się, zastraszona. Tak była wychowywana. Długo trwało nim zrozumiała, nim odważyła się pokazać starszemu o pięć lat bratu. Rozmawiała z nim wprawdzie przez kraty. A on zaczął opowiadać o życiu, o świecie...

Wybuchła wojna. Uciekła z klasztoru. Tułała się po rodzinach. Skontaktowała się z siostrą matki we Francji, która ciągnęła ją do siebie. Złożyła papiery, dostała wizę. Pech: coś

się zawieruszyło, coś nie zagrało. W konsultacji powiedziano, że taki przypadek jak jej zdarza się raz na tysiąc. Miała interweniować u Bieruta. Zrezygnowała. Nie pojechała.

W 1950 roku zaczęła pracować w przedszkolu, bo lubiła dzieci. Wieczorowo skończyła Liceum Pedagogiczne dla Wychowawczyń Przedszkoli w Kętach. Mógł to być 1957 rok - pracowała wtedy w przedszkolu w Trzebini, mieszkała w Krakowie przy ulicy Starowiślniej - kiedy ujrzała swego przyszłego męża na Plantach. Stał z gitarą. Młodszy o dwa lata. W następnym roku, roku ślubu, była już w ciąży.

### Wszystko "pańskie"

- Żona nie wiedziała wszystkiego - wspomina Adam Dembicki. - Wyroki tłumaczyłem polityką, bo gestapo, bo ubecja to organy polityczne. Kiblowałem za polityczne pyskowanie. Wierzyła, co miała nie wierzyć. Tatuaze tłumaczyłem też polityką, w końcu matka Churchilla, Sara, była tatuowana.

Odsiadywał końcówkę wyroku, kiedy urodził się mu syn Klaudiusz. Sąd darował okruszki kary z nadzieją na nowe życie. I rzeczywiście - od tego czasu omijało go więzienie, czas zacierał czyny, a prawo pozwoliło wpisywać w kwestionariuszach: "nie karany".

Żona Zofia znalazła zatrudnienie i mieszkanie w Legnicy, blisko ładnego parku, z dala od teściowej. Miała problemy, bo nie przestrzegała instrukcji oświatowych, nakazujących malcom zwracać się do wychowawczyń w przedszkolu per "obywatelko"! Potem ewentualnie - "ciociu". Nigdy: "proszę pani". Legnickie malaryczne powietrze zagroziło astmą synowi Klaudiuszowi; Niemcy wyprowadzali się ponoć dawniej z tego miasta co siedem lat dla zmiany klimatu. Wróciła więc do Sanoka, chodziła z wózkiem na spacerzy nad San.

- Teściowa Oktawia nastawiała Klaudiusza przeciwko mnie - opowiada Zofia. - Nienawidziła, za co? Chyba za to, że mąż obstawał za mną, kiedy się darła, wypominała: "W pańską rodzinę weszła!". Wyjechałam z powrotem do Legnicy na kilkanaście lat. A mąż? Raz tu, raz tam. Próbował, ale zwyciężała butelka. Zadawał się z elementami. Bałam się. Do mnie z siekierą przystawił się taki jeden. Klęłam jak oni, żeby skutkowało. W końcu nie wytrzymałam. Dostałam rozwód. Ale nadal mieszkaliśmy razem. Zostałam przy nim. Tak wychowały mnie zakonnice: biły, a ja musiałam całować je za to po rękach. Więc lituję się ciągle nad nim. Teściowa, no, była teściowa, zapisała w testamencie dom wnukowi Klaudiuszowi, bo według niej syn Adam - ofiara hitleryzmu - przepiłby go. Mąż nie wniósł sprzeciwu. Na dobre przyjechaliśmy wszyscy do Sanoka w połowie lat siedemdziesiątych.

Adam: - Matka była dziwna. Nie dbała o nic: o dom, o grobowiec po ojcu.

Zofia: - Matka nie dała nam dotknąć niczego ani w domu, ani w ogródku. Wszystko było jej - "pańskie".

Adam: - Nikogo nie lubiła. Nawet z siostrami źle żyła. Na żonę mówiła: "szmata", "łajdaczka". Do mnie: "łajdaku", "pijaku". Nigdy dobrego słowa. Kiedyś oddała mnie na milicję, opowiadając, że chce ją zabić. Tydzień mnie przetrzymali.

Zofia: - Gdy wprowadziliśmy się tu, wzięłam trzydzieści tysięcy pożyczki i wyremontowałam dom. Ani słowem nie podziękowała, do robotnika powiedziała: "To ja jestem właścicielką!". Czteryście złotych płaciłam jej za mieszkanie. Sześć zamków miała w drzwiach do swego pokoju. Moich drzwi nie dała zamykać.

Adam: - Matka i ciotki, które pochowaliśmy wszystkie w ciągu pół roku, posiadały Kossaków, miśnieńską porcelanę. Matka posprzedawała to. Niby żyła z tego. Za bezcen oddawała rzeczy po marszałku i po swojej rodzinie: szafki rżnięte, lustra w drewnie wielkie jak drzwi, antyki, bibliotekę. Na przykład stare wydanie "Pana Tadeusza" albo książki po swym ojcu - inspektorze szkolnym, gotykiem pisane. Ludzie przychodzili i darli, okradali ją, gdy spała. Dożyła dziewięćdziesięciu czterech lat. Zmarła nagle po przeziębieniu płuc. Na jej pogrzeb nikt z sąsiadów - co wynosili meble - nie poszedł.

Zofia: - Taka była.

Adam: - Takie miała życie wdowa po marszałku. Użalala się, że majątek straciła przez syna - łajdaka, wariata, który do tego chce ją zamordować.

### Generalne porządki

Syn c.k. marszałka doczekał własnego grosza. Wskutek okupacyjnych przejść - dzięki wynikom badań psychiatrycznych, stwierdzających u niego zaburzenia schizofreniopodobne, posttraumatyczne i neuropsychopatyczne - otrzymał rentę inwalidy wojennego. - To ja dopingowałam go - podkreśla Zofia Dembicka. - Pisał on, bo pisać umie, ale ja jeździłam i załatwiałam.

- Pisałem o gestapo, o obozie dla małoletnich bandytów, o biciu i urazie, o mojej chorobie - wyjaśnia Dembicki. - Tu, w Sanoku, nie chcieli uznać niczego. Do związku inwalidów nie przyjęli. Dopiero gdy napisałem bezpośrednio do przewodniczącego Związku Bojowników o Wolność i Demokrację Mieczysława Moczara, to on kazał zbadać mój przypadek, tak pomógł mi odgórnie.

Rodzinie ulżyło, bo renta trafiła do portmonetki żony. Nieważne, że byłej. Dopiero jednak śmierć c.k. marszałkowej Oktawii Dembickiej w 1984 roku zapoczątkowała generalne porządki. Trzeba było podłączyć gaz, który zmarła odłączyła przed laty ze strachu, bieżącą wodę i ubikację. Oktawia, bojąca się cywilizacji, wodę do picia pobierała z hydrantu, ubikację zastępowały wiadra toaletowe.

Z trzydziestodwukartkowego zeszytu z zapiskami Adama Dembickiego: *"Od wiosny do jesieni o wiele mniej piję, gdyż pracuję w ogródku. A lubię, żeby ten ogródek cieszył moje oczy, więc stale pielęgnuję, grabię, przesadzam i podlewam, i wykonuję inne ogrodnicze prace. Po śmierci mamy wziąłem się za ten ogródek, a rosły w nim jedynie chwasty, perz, powój, pokrzywy i różne odmiany traw, gdyż nieboszczka nie pozwalała nic robić w jej ogródku. Taka mania. Miała tylko mały własny klombik z przodu ogrodu od ulicy i zawsze patrzyła nań, siedząc przy oknie. Do końca życia sama pielęła i podlewała ten klombik i nie wolno było nam wtrącać się do tego. Po śmierci mamy kopalem od rana do nocy i wyciągałem chwasty. Śnieg padał, a ja jeszcze pracowałem. Ludzie cieszyli się, że zupełnie zwariowałem. Ale uparłem się zrobić ten ogródek. Nawiązałem kontakt z ogrodnikiem z wyższymi studiami, który ma prywatny ogród doświadczalny. Przesłał mi prospekty z opisem różnych kwiatów. U mnie kwiaty kwitną od lutego do grudnia. Najwcześniejsze do ranniki, przebiśniegi, krokusy, przylaszczki, wiosnowka, pierwiosnki, polne stokrotki i inne. Bardzo lubię polne kwiaty. Posiadam też kwiaty szlachetne, jak lilie, liliowce, róże i rzadkie byliny. Co pół metra rośnie jałowiec, w środku kwiaty, głównie leśne, oraz drzewka również leśne. Próbowałem sadzić nawet muchomory pod sosenkami. Trzy tygodnie na kolanach wydłubywałem nożem chwasty. Potem posadziłem żywopłot. Zrobiłem też w betonie motyla, pawie oczko w kolorach naturalnych. Potem znosiłem setki kamieni, które ułożyłem przed żywopłotem i społem cementem. Potem te kamienie pomalowałem emalią na różne kolory. Potem zasadziłem ozdobne trawki, polne stokrotki oraz fiołki. Lepszych kwiatów tam nie sadziłem, żeby mi nie wyrwali. Nikt inny czegoś takiego nie ma w Sanoku za płotem".*

Syn Adama, dwudziestodwuletni Klaudiusz Dembicki, z zawodu listonosz, też rozwinął swoje hobby akwarystyczne. Za życia babki pluskało w domu jedno akwarium, potem siedem. Największe - prawie stulitrowe. Klaudiusz, piwnooki jak matka, marzy o akwarium pięciuset litrowym, takim co potrzebuje szyb o osiemnastomilimetrowej grubości. Po co tak wielka głębia? Aby rybki pływały w środowisku prawie naturalnym. Kupił guraminy dwuplamiste - małe, trzeba je karmić co godzinę. Kiryski czarnoplamiste, skalary. Były neonki, ale one wymagają osobnych przestrzeni. Cieszą oko glonojady, mieczyki, gupiki - takie pawie oczka - oraz trzy żabki.

O pokojową palczychę, fikusy wielkie jak drzewa, anturium, kwitnące na czerwono, aron w doniczce i fiołek alpejski dba Zofia Dembicka. Wielbi także zwierzęta. W Legnicy trzymała węża, żółwia, jeża, oswojoną żabę, nawet żmiję. Mały Klaudiusz owijał wokół szyi zaskrońca. Dużo różnych psów kochała: Kamę, wcześniej Rekxa, Gobi. Zwierząt nie ma w domu, bo kto zadba o nie, jeśli opieki wymagają ludzie?

### Fotokopie z Wiednia

Po śmierci c.k. wdowy Oktawii odchwaszczono i odnowiono wielki rodzinny zabytkowy grobowiec w kształcie piramidy. W dniach pogrzebu okazało się, że w grobowcu znajdują się dwie trumny z nieznanymi szczątkami. Czyimi? Kto towarzyszył c.k. marszałkowi w grobie przez długie lata? Zmarła w 1957 roku matka Oktawii, Jadwiga Pisarczuk? Dwadzieścia tysięcy dostał grabarz w łapę, by szczątki zwłok złożyć w jednej trumnie i dać im spokój.

W 1990 roku na c.k. mogile dwa zdjęcia porcelanowe za szybkami. I napisy: "Adam de Wrocień Dembicki, marszałek polny kawalerii Cesarza Austrii i Króla Węgier Franciszka Józefa I-ego, ur. 1849, zm. 1933", "Oktawia Dembicka, wdowa po marszałku polnym, 1890 - 1984". Na pierwszym zdjęciu marszałek w całej krasie. Na drugim - Oktawia... młoda. - Dałem starą fotografię, bo innej nie miałem - oświadcza Adam Dembicki.

- To był wieczny powód awantur - wspomina Zofia Dembicka. - Kiedy mąż chciał dowiedzieć się od matki czegoś o ojcu, wybuchła kłótnia. Nie chciała mówić. Wstydziła się, że była młodsza. Widziałam na śmietniku jej wspólne zdjęcie z marszałkiem - obcięte. Nie chciała z nim stać, choć zapisał jej cały majątek.

Aby zdobyć informacje o ojcu, syn c.k. marszałka podjął korespondencję z kancelarią prezydenta Austrii. Ściągnięte z Wiednia fotokopie dokumentów nie potwierdziły treści napisu na grobowcu, podanego z pewnością przez wdowę Oktawię. Po pierwsze Dembicki nie był kawalerzystą, ale piechurzem. Francuski tytuł szlachecki "de"? "Wrocień"? Kilkanaście kilometrów na północ od Sanoka wznosi się na 501 metrów niewielkie wzgórze Pogórza Dynowskiego - Wrocień. Tyle wiadomo. Innego skrawka ziemi o tej nazwie nie ma ani w Sanoku, ani w okolicy. Pisma z kancelarii Austrii tytułują marszałka "von Dembickim". Nobilitację na stopień szlachecki ("Edler von") marszałek otrzymał 11 lipca 1911 roku prawdopodobnie w czterdziestolecie służby wojskowej.

Kontakt c.k. syna z Wiedniem, z przyjaznym kanclerzem prezydenckim dr. Kurtem Skalnikiem, zaowocował odpornymi na uderzenia szklami do ochrony porcelanowych portretów na grobowcu oraz nowym na nim napisem: "Adam Dembicki von Wrocień, Feldmarschall - Leutnant w służbie Cesarza Austrii i Króla Węgier Franciszka Józefa I-ego, 1849 - 1933".

### Wypełnić przeznaczenie

Większość poranków u Dembickich zaczyna się tak samo. Pierwszy zrywa się na pocztę Klaudiusz. Przeciera oczy, łóżka nie ścieli, wysypuje pokarm rybkom, upewnia się, że matka lub ojciec dołoży rybkom żarcia za kilka godzin. I nie ma go. Wpada w środku dnia do rybek i znów go nie ma. Buja w świecie, w swoim towarzystwie. Niekiedy nachodzi go refleksja - bo ludzie nie dają zapomnieć - że w torbie listonosza nosi nie tylko korespondencję z całego świata, emerytury i renty polskie. Nosi ze sobą od domu do domu buławę monarchicznego dziedzictwa: sumienną służbę dla Najjaśniejszego Pana, no i pewien status społeczny przez historię zdegradowany.

Jego matkę Zofię omotują inne problemy. W przedszkolu bawi dzieciaki. Do domu najchętniej by nie wracała. No, bywają dni, gdy tak mówi. W jej pokoju, przechodnim dla

syna i męża, zawiązał się węzeł duchowy i nerwowy trzyosobowej rodziny. W nim się rozmawia, je, rozstrzyga problemy, planuje przyszłość. - Syn w pracy cały dzień, a ten spity tam za drzwiami. Że też mu zdrowie dopisuje. Tydzień w miesiącu jest trzeźwy? Awanturuje się. Wyjmuję mu klamkę z drzwi - opowiada Zofia Dembicka. - On szczyli się swoją przeszłością. Tymi więzieniami, tymi prostytutkami. Mnie to krępuje przed koleżankami, życia mi one nie zazdroszczą. Śpię i mieszkam. Siedzę przy synu. Bo gdzie pójdę? Cóż, takie zakonne moje wychowanie.

Z pokoju Adama Dembickiego tchnie pleśnią, ale trochę i artystyczną duszą. Wytatuowany pijak - pijący, aby pić, bo lubi, bo chce, któremu wydaje się, że mógłby przestać pić w każdej chwili, jednak nie sprawdzający siebie w tym zakresie - ściany wykleił jak tapetą tysiącem naklejek, zdjętych z win i wódek. Ma wszystko, szkoda czasu wyliczać. Nowe naklejki donosi mu syn od znajomego z monopolu. Na ścianie pozostało jeszcze trochę miejsca, ale rezerwy czekają: "Mołdawskie wino", "Aprico - likwor", "Riesling", "Krupnik", "Tytan". Oprócz naklejek - miniaturki butelek po koniaku, whisky..., a także pudełka po zapalkach. O miejsce na ścianie konkurują akty kobiece z kolorowych czasopism. Gospodarz oprawia je w ramki drewniane. Ciemny, odcięty od słońca pokój niczym barakowóz jurnych nafciarzy czy bieszczadzkich drwali. Tylko, że nie ma w nim młodości. Jest smutek.

- Nie uderzyłem żony, choć ona przyłożyła mi parę razy. Dobra kobieta. Mogła zostać w Legnicy... Wie, że gdy zachoruje, to ja pomogę, zrobię zakupy, nie zostawię jej. Wyjmuję mi klamkę z drzwi... po wypiciu. Potem przepraszam ją. Syn też nie wylewa za kołnierz. Sam robi sobie wino. Ja wina syna nie wezmę nigdy, choć mógłbym - Adam Dembicki pielęgnuje honorowe reguły gry. Nie zapali papierosa w pokoju żony. To szansa: ucześć się tych zasad, wszystkich zasad, których pokłady drzemią w cesarsko-królewskim potomku, i wypełnić przeznaczenie. Oto zamiar: przypomnieć światu o wybitnym ojcu. I nadzieja, że tak jak marszałkowe brzemię sypnęło mu marami i alkoholizmem w złym darze, tak może mu ono w dobrym darze wódkę i wino odebrać.

Na wszystko potrzeba wszak trochę cierpliwości. Na początek Adam Dembicki podjął wojnę z wronami na pobliskich drzewach. Przesłał monity do władz miejskich i nic. Zapisał więc w zeszycie swoje ostatnie epitafium, bynajmniej nie z przeznaczeniem na rodzinny grobowiec...: *"W tym grobie c.k. Adam Dembicki spoczywa /Śmierć była dla niego zawsze litościwa/ Więc mógł żyć jeszcze długo ten człowiek wspaniały/ Lecz na śmierć wrony go zakrakaly"*. Powtórzył też znaną prawdę: *"Wielka kariera w życiu go czekała/ Lecz wykończyła go podła gorzala"*.



## Dziobak

Nieco przygarbiony Jan Dziobak jest idealistą, choć sam o tym nie wie. Na reporterski użytek jego idea sprowadza się do zdania: jakoś to będzie. Bo Dziobak mówi: Bóg dał dzieci, Bóg nakarmi; a pracy nie wzbrania.

Stefka urodziła się wcześniej. Nawet jeszcze wcześniej. Dziobak nie bardzo wie kiedy, choć wówczas był w marynarce. Służył trzy lata, trzy miesiące i trzy dni. To pamięta dokładnie. Przypomina sobie, jak mianowano go matem i potem zdegradowano. - Za picie - szepcze. - Nie podoba się, że walę prawdę prosto z mostu i za sprawiedliwością stoję? To maszci.

Dziobakowa szykuje w kuchni kawę oraz kanapki z pomidorem i ogórkiem. - Morde drze tak, że go ogier rąbnął i siny łązi, robić nic nie może, trzeba ludzi do pracy najmować - odkrzykuje.

Dziobak urodził się na Wołyniu i polskimi drogami trafił na Ziemie Odzyskane. Ojciec oddał życie, nie guzik, co podkreśla, broniąc w 1939 roku Warszawy. Dziobak był łącznikiem w AK i żywność nosił. - Panie, nie strach kupą z karabinem walić, ale chyłkiem się samemu przemykać. - Po wojnie broń utopił w pierony, na ochotnika do Ludowego Wojska Polskiego wstąpił. I wtedy

Dziobakowa urodziła pierwsze dziecko,  
Stefkę.

Z Dziobakową to było tak, że mimo iż Mazurka, w Osiekach na zabawie się naszała. Zapoznali się. Dziobak w wojsku. Dziobakowa w Osiekach, w PGR-ze. Musiał do niej dojeżdżać. Nie chciał dziewczynie krzywdy robić, jak też nikomu innemu nie chce, więc gdy była w ciąży, dał na zapowiedzi. Pojechał do księdza Radomskiego, co go w Wierzchucinie Pomidorem zwali, z pół litrem spirytusu. - Wypili my. Ile na zapowiedzi? - pytam. - A kież czort, marynarzem jesteś. - Dałem tysiąc złotych, honornie, i wio! Z powrotem.

Wziął ślub, ujrzał Stefkę, wyszedł z wojska. I wtedy  
Dziobakowa urodziła drugie dziecko,  
Halinę.

Oj, niełatwo było wtedy czmychnąć do rezerwy. - Te trzy dni mnie przetrzymali. Wyszedłem. Zamieszkaliśmy z żoną u teścia, bo gdzie. Brali my się za buraki. I tak się dorabiali. - I wtedy

Dziobakowa urodziła trzecie dziecko,  
Józka.

Akurat gospodarstwo w Lubiatowie zdawał Ratajczak i choć nie było w nim obory, wziął je Dziobak. Nie musiał się już teściom napraszać, wszak na swoje szedł. Te "swoje" to gołe ściany, ani łóżka, ani garnucha - toć jednak. I kiedy Dziobak tyrał w lesie jak jaki dziki osioł, bo się do roboty drwała najął,

Dziobakowa urodziła czwarte dziecko,  
Irkę.

Cztery lata pracował Dziobak w lesie. Wychodził o czwartej rano, wracał o jedenastej w nocy. Spuszczał czterysta kubików miesięcznie, kto to teraz tyle potrafi? Jeszcze drzewa

zwał i końmi zwoził. Państwo pożyczkę dawało, ale nie brał, bo miał. Oszczędny był, nie pił.

Dziobakowa urodziła piąte dziecko,  
Baškę.

- Konia miałem, śrutownik i wóz żelazny, co się ledwie kołysał. Gumowy kupilem. Nikt we wsi takiego nie miał. Ale gówno, tylko garbu się dorobiłem - mówi.

W 1956 roku wieś w nagrodę dostała radio. Cieszyli się. Każda chałupa kolejno po dwa dni słuchała, bo nie miała swego. Zdenerwował się Dziobak. - Wstyd pożyczać. I kupił drugie. A wtedy

Dziobakowa urodziła szóste dziecko,  
Janka.

- Pieniądze rzecz nabyta, zdrowia trzeba, trupem mnie z lasu wywozili - mówi Dziobak - jak w Lubiewie przy wagonach kopalniak ładowałem. Ciężko, aż strach. - Takich głupot to nie pisać - włącza się do rozmowy Dziobakowa przynosząc kawę i kanapki - najsampierw to światło założyliśmy, potem śrutownik, sieczkarnię i motor. Kupiliśmy na talony pierwsza pralkę, grabarkę, kosiarkę i dołownik. - Gdzie dołownik - krzyczy Dziobak - dużo później jak młocarnię i prasę. Wcześniej

Dziobakowa urodziła siódme dziecko,  
Maryškę.

Gdy Dziobak był marynarzem, sołtysował w Lubiatowie i Kopalinie (jako w jednym sołectwie) Smolarek, po nim Wójtowicz. Wójtowicz miał słabość do wódki i do Dziobaka, a jakże, toteż w 1959 roku, gdy ten wróciwszy z wojska pomieszkał trochę, obwołał go sołtysem. Dziobak opowiada tak: - Krótko mnie załatwili, GRN pieczętkę wręczyła, jakieś kwestionariusze i cześć!

Rolnictwo tutaj było i jest pod psem. Z piasków złota nie zbierzesz. A i ze specjalizacją nietęgo. Bydła nie popasiesz, bo najbliższe łąki są oddalone o cztery kilometry, trzody nie wyżywisz, bo do mleczarni też za daleko. Rolnicy mleko oddają (najwięcej, ponad sto litrów, Bogusz), ale nie dostają serwatki. Czym karmić świnię? Liczą tylko na turystów - wczasowiczów. Morze pod bokiem huczy, więc setkami meldują się w sezonie we wsi i kwaterują u rolników.

Sołectwo chłopów-robotników: tylko dwóch z Kopalina i trzech z Lubiatowa ( w tym dziś Dziobak) nie dorabia w Urzędzie Morskim przy utrwalaniu wydym, w lasach państwowych, przy melioracjach, w PAN-ie przy konserwacji urządzeń, jako traktorzyści w gminnym SKR Choczewo. Czekają na swoją szansę, jaką ma być realizacja gotowego planu perspektywicznego zagospodarowania nadmorskiego regionu. - Planujemy od dwóch lat - zacierają ręce w Urzędzie Gminnym - zrobienie z Lubiatowa i Kopalina miejscowości uzdrowskiej na dziesięć tysięcy stałych mieszkańców i czterdzieści tysięcy kuracjuszy w sezonie. Tylko musimy poczekać..., a Dziobak będzie jeździć byczki sprzedawać przez Lubiatowo i Osieki do Sasina Autostradą Słońca lub Wstęgą Bałtyku, w zależności od tego, jak ja nazwiemy.

Początki dziewiętnastoletniego sołtysowania Dziobaka nie były udane, bo choć

Dziobakowa urodziła ósme dziecko,  
Grażynę,

spaliła mu się stodoła. Wszyscy poszli na pole brukiew rwać, tylko dzieci bawiły się zapawkami. Obce dzieci - uzupełnia. Dźwignęli się z gorączki prędko. - Zaraz na żniwa postawiłem nową stodołę, nie patrzyłem, by forse przepić, trzydzieści tysięcy odszkodowania dostałem, tylko budowałem.

Nie starczyła do końca życia. Dokładnie za dziesięć lat nawiedzić miała Dziobaka druga gorączka.

- On dużo zrobił - mówi sąsiad z Kopalina, Świątek - ale wpadł w nałóg i to go zgubiło. Moim zdaniem wódka jest dla ludzi mądrych, a dla głupich serwatka - na zebraniach tak powtarzam - i trzeba go było po tylu latach zdjąć z sołtysowania. O Dziobaku mogę mówić dobrze, ale jego za wcześniej podnieśli za wysoko, mierzył w górę, od razu za pewny swego był.

I z tym też Dziobakowi nie udało się na początku. W partii był,

Dziobakowa urodziła dziewiąte dziecko,

Lilę,

kiedy ludzie drwić zaczęli z tego jego społecznikostwa, napalania się na byle co, z walenia prosto z mostu o tym, czego nie ma, a być powinno. - Kiedyś mówił prawdę, choć bluźnił, rzucał mięsem, a teraz co tam jego prawda - mówi dziś Świątek. - Ja za Dziobakiem stoję i będę stał, ale bluźnić nie muszę. Kółko Rolnicze założył, był prezesem, skarbnikiem przez dwanaście lat. Sprzeczki na zebraniach wiejskich psuły atmosferę, nie patrzył na to, tylko on i on. Kółkiem się szczycił.

Oracz, dawny we wsi sekretarz partii, co to z Dziobakiem dachy smołował, drogę brukował i stadion w Choczewie wybudował, ma o nim jak najlepsze zdanie. - Tylko pił za dużo. Piłby mniej, gdyby żona nie piła. Nawet jeśli tylko przy gościach. Moja w ogóle - podkreśla - nie pije.

Zanim

Dziobakowa urodziła dziesiąte dziecko,

Kazika,

wieś srogo dotknęła straszna zima 1963 roku. Harował jeszcze Dziobak w lesie. Śnieg chrząścił mu pod butami, zacinał w twarz, lodowaciał w morzu. Zamarzł Bałtyk. Struchlałe psy ganiały po krze dla rozgrzewki. Dziki pochrząkiwały. Zmurszały rękojeści pił tnących sosny, łamały się, a też stał zachodziła mgłą i pękała. Choć rodziny chłopskie mrozem i śniegiem odcięte od świata, nie wytykając nosa na ten oszroniony Boży padół grzały się w chałupach, przyszły zobaczyć, jak Dziobak wyrusza do szpitala. Po raz ostatni popracował dorywczo sołtys w lesie. Przesilenie, wylew krwi do mózgu, pęknięcie czterech wrzodów i leczenie. Dziobak twardym był chłopem, bo choć po tej chorobie i leżeniu w szpitalu mógł robić już tylko na własnym gospodarstwie - to nie narzekał. Delegacja z gminy do niego z kwiatami przyjechała, ot co.

Została własna zagroda i sołectwo. Uaktywnił się w Ochotniczej Straży Pożarnej i w Stacji Ratownictwa Brzegowego. Ratował to i owo, może nie tak jak dziś - mówi - nowoczesnie, ale skutecznie. Strzelał rakieta do dryfującego lub osadzonego na mieliźnie statku, zaczepiał hak o burtę, linę owiazywał dookoła sosny i ciągnął do brzegu albo przetrzymywał, czekając na przyływ i statki ratownicze. I wtedy

Dziobakowa urodziła jedenaste dziecko,

Bożenę.

Wesołym okiem zaczęli patrzeć na Dziobaka często przyjeżdżający urzędnicy z gminy, a też sąsiedzi, że tak w tych dzieciach pohamować się nie umie i nie bardzo wie, ile ma córek, ile chłopaków. Dziobak zapraszał, częstował, stawiał wino, tłumaczył, że wszyscy zdrowi. A i wyżywić da radę, co by nie. Gospodarkę miał niezłą we wsi, bo w niej i konie, i bydło, i świnię, i owce. Wydajność oraz dyplomy. - Żona ugotowała kurę, geś, garnuch kartofli, zostawało, bo nie miał kto jeść - tłumaczył.

Jakby na potwierdzenie swoich słów postanowił kupić telewizor. Sobie i dla wsi. W gminie taki widział, spodobał mu się. Klubu Rolnika jeszcze nie było, tylko pusta świetlica, więc można było go wstawić. - Taszczyłem ten telewizor po śniegu dla ludzi, no bo starał się wtedy człowiek - mówi. Potem zrobił głosowanie w rodzinie. Kupić - nie kupić. Demokratycznie. Choć pieniądze trzymał pod pazuchą wyliczone. - Niech decydują też - pomyślał. Rodzinny telewizor pojawił się akurat na Gwiazdkę, tak że Nowy Rok 1966 zajrzał



do nich jaśniej i łaskawiej. Głosowali pół na pół. Za kupnem padł tylko jeden głos więcej, żony. By było czym się zająć w długie zimowe wieczory. Wtedy

Dziobakowa urodziła dwunaste dziecko,  
Andrzeja.

- Jesteśmy zewsząd, taką zbieraniną, i z zaopatrzeniem u nas gorzej niż w Wierchucinie, gdzie tylko Kaszubi. Głupiej podkowy dla konia nie kupisz - mówi wieś. A Świętek ma taką pretensję do Dziobaka, że gdy stawiał sklep w Lubiadowie, nie pomyślał o Kopalinie. Świętek wypatrzył był już miejsce pod sklep w Kopalinie, koło szkoły i na miejscu suchym, choć blisko bajorko. Przechodził kiedyś drogą, patrzy, a w Lubiadowie fundamenty leją. - Pod co to lejecie? - zapytał. - Sklep tu będziemy stawiali - odpowiedzieli. Wtenczas go to zeźliło, że sołtys nie na właściwym miejscu sklep stawia i swoją wieś ma tylko na uwadze, a powinien i jego.

Dziobakowa urodziła trzynaste dziecko,  
Krysię,

gdy jej mąż ze cztery razy jeździł aż do Gdańska na partyjne konferencje, wręczono mu Srebrny Krzyż Zasługi. Lubiany był i ceniony. Bronił rolnika i o niego dbał. Tak mówi wieś. A że na zebraniach wyzywał, za co potem kolegia płacił, że o gospodę zahaczał wracając do domu, tak że żona siłą go wyprowadzała i sama konie musiała prowadzić? Taka jego słabość. Zarządzał Kółkiem po gospodarsku. Dwa ciągniki przynosiły zyski największe, a maszyny, które oddał, jeszcze dziś w bazie chodzą. - Pół Kopalina, pół Lubiadowa jęczmieniem obsiałem, a jaki mój jęczmień, jaki inny. Za to PGR żyto tetra sprowadzał. Myślałem, że żyto dobre, wydajność dobra. Oszustwo takie. Wtedy

Dziobakowa urodziła czternaste dziecko,  
Jerzego.

Dwunasty września 1970 roku od innych dni w Lubiadowie nie różnił się niczym. Bydło tylko porykiwało za picciem, bo duchota taka w górze wisiała, a nie powietrze. Wieczór zrobił się jak gdyby szybciej, a to z powodu potężnych cumulonimbusów, kłębiących się nad podziw, czarnych, ukształtowanych w wieże czy olbrzymie kowadła. Spadające wielkie krople deszczu porywał wiatr. - Burza idzie - nawoływano w zagrodach, zamykając pośpiesznie cały inwentarz, uciekając do izb. Kładziono się do łóżek, byle przeczekać tę parną i mokrą noc, bez snu. Lało. Drogą, którą Dziobak, Oracz i wieś budowała, żwawo sunęła z ćwiczeń kolumna żołnierzy ochrony wybrzeża. Omijała cierpliwie kałuże błota, ochlapując nimi dom Dziobaka.

Dziobakowa: - Trzy razy błysnęło, dwa razy zagrzmiało, bo rumor i jazgot zagłuszył resztę.

Dziobak: - Wybiegłem tylko w majteczkach i boso. Pooożar! - ryknąłem.

Dziobakowa: - Wojsko przejeżdżało, stanęło na asfalcie koło krzyża. Gdyby nie wojsko, to by i całe mieszkanie piorun spalił, a tak stodołę i oborę. Nim straż przyjechała, jak zawsze pijana, gdy się coś pali, było po pożarze, żołnierze ugasil.

Ogień pochłonął cały zbiór zboża, którego nie zdążyli jeszcze wymłócić, i sukę ze szczeniętami. Trzeba było znowu wszystko odkupywać i odbudowywać. Dziobak nastawił budzik na START. Nie były to zupełne początki, bo

Dziobakowa urodziła piętnaste dziecko,  
Sławka.

Wtedy spokój nastał raczej. Odebrali dziewięćdziesiąt tysięcy odszkodowania, wnieśli za nie nowe zabudowania, przewiewne, drewniane, bo z pustaków nie chcieli, i choć narobili w Kasie długów (za nawozy), wyszli z nieszczęścia. Tylko w Dziobaku gorycz została, że naczelnik kazał mu jeździć po wiosce i u sąsiadów pomocy żebrać, zamiast samemu od razu dać. - Wiadome jest, że nikt by prosić nie jeździł. Bo chłopcy sami przychodzą i pomagają.

Dziobakowa nie zostaje dłużna: - A jak stary nogę złamał i siedem miesięcy w gipsie chodził, dwie śruby i drut w nodze nosił, ani jeden naczelnik nie przyszedł zapytać, a wiedzieli, że chłopca nie ma, a jak jest to nie może. Gospodarstwa sama doglądać musiałam. Padł koń wtedy i siedem tuczników, a mąż o kulach na siewnik siadał i prowadził. Podatku nie umorzyl; podołaliśmy.

Świątek jest tego samego zdania, że wydajność plonów Dziobak miał dobrą. I dzieci zawsze w porządku. Podziwia go za nie, nie ma co, bo Dziobak ma u niego dobrą opinię, żony nie maltretuje, wywiązuje się. - A taki Kaczmarek wcale, choć młody - mówi. - Co tu gadać - macha ręką - w gazetach upraszczają, bo tam tak, a w telewizji tak, a jak jest widzisz.

Dom, stodoła, obora, szesnaście sztuk bydła, dwa konie, trzydzieści świń, dwieście dwadzieścia kurczaków, trzydzieści kaczek, sześć owiec, no i dyplomy: za dostawę mleka klasy A, za zbiór zboża, za prace społeczne, za dostawę żywca, za pracę w straży pożarnej. I medale (Dziobak szuka na szafie, ale nie wszystkie znajduje). - Ach, harcerzom ponapozyczalem do pooglądania. - Wszystko wyrzucił, swoich papierów to on nic nie trzyma - denerwuje się Dziobakowa. Wszystko własność Dziobaka, jak i te cacuszka najmilejsze, których liczba jeszcze wzrasta, bowiem

Dziobakowa urodziła szesnaste dziecko,  
Marzenę.

Siedem razy w tygodniu sołtys na zebrania chodził, wyklócał się o meliorację łąk zielonych i pól orných, a w końcu, mimo iż nie wykonano rowów na łąkach w tych miejscach, gdzie chcieli rolnicy, zamiast wykopania nowej drenarki na polach zakonserwowano starą i zastawki piętrzące wodę postawiono nie tam, gdzie trzeba, podpisał protokół odbiorczy robót za plecami rolników. - My nie chcieliśmy się zgodzić - podsumowuje Świątek.

- Dziobak to chyba na mnie narzeka - ciągnie - bo gdybym ja nie wziął sołtysa, to on by został dalej. Uroił sobie, że dostanie rentę po dwudziestu latach sołtysowania, a to nieprawda; choćbyś z pięćdziesiąt lat był sołtysem, nic nie dają. Wszystko społecznie, a wtedy nerwy napięte jak jelita. Bo klócić się trzeba. Inaczej powiedzą, że nie dbam, nie bronię rolnika. Więc obiecuje: na sesji poruszę. Ludność go chciała. Ale stary naczelnik w gminie powiedział, że gdy nawet ludność Dziobaka wybierze, to go zwolni. No bo jaki z niego reprezentant wsi? Coraz to liczniejsze kolonie przyjeżdżają, dzieci meldować muszą, uzdrowisko będzie - a on pijany chodzi.

Oj dostało się Dziobakowi za popijanie, dostało. Podenerwowało. Zgniewało. Chłop honorny jest, zwyczajnie, ale jak mu przejdzie, trafi po rozum do głowy. Dziobak ostatecznie w tej kwestii nie zdecydował. Nowy naczelnik w gminie nastał i co mu będzie pokazywał. Ośmieszali go przed innymi sołtysami na szkoleniach, no ośmieszali, że nie było dnia, którego w gospodzie by nie skończył. A były. Poza tym doświadczył antyalkoholowej kuracji. O tym informuje sekretarz gminny Zalewska. Sąsiad Oracz o tym nie wie, bo Dziobak pije - mówi - jak i pił. Sąsiad Oracz na ogólnowiejskim zebraniu, na którym zmieniono sołtysa, wystąpił z propozycją, by Dziobaka zostawić, a dać mu półroczny okres próbny na zaprzestanie picia. Wniosek nie przeszedł. - Może lepiej, bo bym się jeszcze wygłupił, gdyby nadal pił - stwierdza.

Świątek wie, czego mu trzeba: asfaltowej drogi w Lubiatowie i Kopalinie, lepszego zaopatrzenia sklepiku, kanalizacji, stałego lekarza we wsi, autobusu dla dziatwy wiozącego do szkoły zbiorczej w Choczewie. Marzenie nowego sołtysa: - Moje marzenie to założenie stołówki dla nas i dla wczasowiczów w sezonie. Mam miejsce, nie mam wody, mam pompę; nie mam pieniędzy, koszt z dziesięć tysięcy złotych. Podobnie jak w Białogórze, gdzie dancingi robią, budżet zwiększają, tak ulepszają sobie. Nijak nie mogę wywalczyć.

Dzieci nowego sołtysa: - No, mam ich siedem. - A chciałby o dziesięć więcej. Bowiem Dziobak przestał być sołtysem. I

Dziobakowa urodziła siedemnaste dziecko,

Anetę.

Zalewska: - Wychowują trzynaścioro dzieci, bo cztery opuściło już dom i pracuje. Zwolniliśmy ich od podatku gruntowego i funduszu gminnego. Złożyliśmy wniosek do ZUS-u o przyznanie pięciusetzłotowego zasiłku dla każdego dziecka. Czekamy na decyzję.

Dziobak: - Ile mam córków? Żona w tym akuratniejsza. (Córka Lila: - Mówi się "córek" - poprawia).

Zalewska: - Dostali od urzędu meble, krzesła, szafę, biurko, na którym, widziałam, telewizor stoi. W domu za ładnie nie mają, nie przywiązują wagi do tego.

Zalewskiej przypadło w udziale rozliczenie Dziobaka. Przyjął ją spokojnie, choć degradację przeżywa się na wsi ogromnie. Oddał jej tablice szkoleniowe, pieczętki, kasety, świadectwa pochodzenia zwierząt. Cóż, przyzwyczaiła się do niego, ale trzeźwiejsze czasy idą. Pozostał opiekunem społecznym wsi - sprawował tę funkcję łącznie z sołtysowaniem. W jego kompetencji pozostaną wywiady społeczne z rolnikami. Dobre i to. - A jak pan Dziobak zmieni swoje postępowanie i przestanie pić - mówi bez przekonania Zalewska - po upływie czteroletniej kadencji pana Świątka może zostać przez wieś znowu wybrany sołtysiem.

Dziobak: - W jednym roku trzy wesela wyprawilem. Padnę, myślałem. Byle człowiek dostał dobrego zięcia, bo jak nie, to po gębie lać i cześć! Ja bym się takiemu nie dał.

Zalewska: - Która córka dorosnie, od razu za mąż wychodzi. Wszystkie dzieci są do nich podobne, zdrowe, a jakie ładne, dobrze wychowane i czyste. Praktykowała u mnie, w urzędzie, Lila, ucząca się na ekonomistkę. Zaliczyła na piątkę.

Dziobak: - Trzeba ubrać dzieci do szkoły, patrzeć, by wszów nie miały. Żona prymitywnie w wannie umyje, ale wszystkie grunt czyściutki, nie osrane. (Córka Lila: - Wszy...).

Zalewska: - Jak chce mieć ich dwadzieścia, to musi się śpieszyć, póki żona dobrze wygląda i zdrowa.

Dziobak: - Moje cacuszka, najmilejsze. Wzrusza się.



## Życie bez życia Orestesa W.

*Na krakowskim cmentarzu Batowice,  
w kwaterze 229, rzędzie 6, grobie 9, z krzyżem zgodnie z przepisami,  
spoczął Orestes Śladyński. Choć podawał nazwisko W., po ojcu...  
Choć jako Śladyński - zgodnie z dokumentami - miał na imię Julian...  
Choć nie żył tak długo, jak zapisano w akcie zgonu...  
Żył cztery, a może pięć lat krócej.*

Przy ulicy Miechowity, pod dziewiątką, na czwartym, ostatnim piętrze, drzwi w rogu z numerem trzydzieści osiem. Nie otwierano ich od dawna. Ani śladu lokatora Orestesa W. - Nikt nic nie powiedział. Pismo szło za pismem, słowo za słowem, nikt nic nie wiedział o Orestesie W. - mówią panie Bogumiła i Lucyna, kierujące referatem lokalowym i administrujące budynkiem.

Orestes W.? A niech tam W. - zmarły z inicjałem niczym podejrzany przez prawo. Ale podejrzany o co? O narażenie ludzi na skrajne emocje.

### Ślusarz z Omegi otworzył drzwi

U Orestesa W. okna uchylone. W te okna zaglądały i zaglądają dwie brzozy. Ale wówczas ostatnie suche liście brzoź przyprószyło zimną bielą jak śmiercią. - Ten widok!... Trochę się spodziewałem - mówi Antoni Płaka, kierownik referatu technicznego w Oddziale Gospodarki Mieszkaniowej Polskich Kolei Państwowych w Krakowie, z przydziałem na eksmisje.

Poniedziałek, 17 listopada 1997 roku, śni się kierownikowi Płace do dziś. Przyszedł za dnia, koło czternastej, rutynowo z policją. Ślusarz z firmy "Omega" męczył się godzinę z dolną zasuwą. Pomógł łom. Piętnasta trzydzieści, już ciemno o tej porze roku. Zamki puściły. Płaka pchnął drzwi i zapalił latarkę... Policjant z dzielnicy cofnął się o krok.

### Nie reagował na wezwania

Do 1994 roku, przed przejściem budynku przez PKP, administrował nim PGM Kraków-Śródmieście. Urzędowe pisma zaświadczają, że z Orestesem W. użerano się od dawna: "Ob. Orestes W. nie uregulował spraw lokatorskich po śmierci matki, ponadto nie płacił czynszu.

*Nie reagował na wezwania.*

*W mieszkaniu urządził libacje z różnymi osobnikami. Eksmisja jak najbardziej wskazana. W grudniu 1991 roku zaległości czynszu 1.993.808 zł, odsetki 875.570 zł. Nie można skontaktować się z lokatorem w żaden sposób".*

Do tego doszło oświadczenie Orestesa W. ze stycznia 1992 roku, że nie miał on możliwości opłacania czynszu, nie pracował, nie pobierał renty ani zasiłku dla bezrobotnych.

Decyzja o eksmisji. W czerwcu 1992 roku Kolegium przy krakowskim Sejmiku Samorządowym, w składzie trzech pań: Wisławy, Małgorzaty i Danuty, uchyliło było jednak decyzję o eksmisji podnosząc, że "*W. jest osobą samotną i niezaradną życiowo*".

Ona jak z plakatu, a on ustawiacz

Stanisława Sudołowa, sąsiadka W. przez korytarz, główna księgowa w Krakowskiej Spółdzielni Mieszkaniowej, wróciła zmęczona do domu. Przemknęło jej przez głowę, że nie widziała W. od dawna. Bo to taki milczek, przygarbiony, chyłkiem chodzący.

WTEDY WŁAŚNIE ORESTES W., SAŚIAD SUDOŁOWEJ PRZEZ KORYTARZ, UPADŁ NA WERSALKĘ, WYPROSTOWAŁ SIĘ JAK STRUNA, W OSTATNIM TCHNIENIU GŁOWĘ OPARŁ O ŚCIANĘ I UMARŁ... ALE NIE WSZYSTKO WIADOMO NA PEWNO.

Bronisława i Marian Pakułowie, sąsiedzi W. przez ścianę, wrócili zadowoleni z Elbląga. Bronisława zdobyła dobre, dziewięte miejsce w mistrzostwach Polski w wędkarstwie spławikowym. - Na siedemdziesiąt osiem kobiet - podkreśla z dumą. Był to rok 1992. Bo rok następny Pakułowa pamięta z mistrzostw w Piwnicznej.

Pakułowa zauważyła wtedy, że Kubusie przestały siadać na parapecie Orestesa W. Pani Bronisława podkarmia Kubusie. W życiu nie przezwalały ich gołębiami.

WTEDY ZA ŚCIANĄ CIAŁO ORESTESA W. TEŻAŁO. JEGO SERCE POZOSTAWAŁO W SKURCZU, A PRZEPONA JAK PRZY WDECHU.

Stanisław Pokigo, sąsiad Orestesa W. przez podłogę, emeryt i wdowiec, kiedyś kierownik kas towarowych na stacji Kraków - Płaszów, przed wyjazdem do córki do Kanady w 1993 roku, poprosił dozorczynię o uważanie na mieszkanie i dał jej klucze.

W TYM CZASIE TEMPERATURA CIAŁA ORESTESA W. WYRÓWNAŁA SIĘ Z TEMPERATURĄ POWIETRZA. PROGNOZY WIEŚCIŁY PIĘĆ STOPNI CELSJUSZA. PRZEZ OTWARTE OKNO ZAWIEWAŁO CHŁODEM.

Sudołowa, sąsiadka przez korytarz, dzieckiem przesiedliła się ze Stanisławowa do Krakowa. Stalin umarł, gdy miała dziesięć lat. Skończyła technikum ekonomiczne. Przez cztery lata była żoną Sudoła. Syn Piotr ożenił się, pracuje, jest wnuczka Paulina.

Pakułowie, sąsiedzi przez ścianę, poznali się w pegeerze w Żaganiu. Ona była traktorzystką, on przy parowozie. Ona jak z plakatu, on na kolei ustawiacz na rozrządzie. Wędkarz zamiłowany. Zamiast na potańcówki chodzili na szczupaki. Syn, też wędkarz, osiadł w Londynie z pewnymi przygodami.

Nie za głośno, by nie budzić sąsiada

Stanisław Pokigo w roku 1994 czekał na rozrusznik serca. Profesor w klinice kardiologicznej powiedział mu jak Pan Bóg, że każdy pacjent musi uzbroić się w cierpliwość.

WTEDY U ORESTESA W. WYSCHŁA ROGÓWKA, WARGI ZBRUNATNIAŁY, OPUSZKI PALCÓW ZWIĘDŁY.

W 1994 roku u Sudołowej, na imieniny 13 listopada, przez korytarz zaszczekała Psotka. To był najżywszy prezent, jaki Sudołowa otrzymała od jedyne go syna. - Niech mama ma zajęcie i nie płacze sama do poduszki - powiedział.

Do Pakułów, tych przez ścianę, na Boże Narodzenie 1994 przyjechał syn Staszek. Przy kolędach cieszyli się z nowych czasów w polityce. Nie za głośno, by nie budzić sąsiada. Syn wyjechał do Londynu we wrześniu 1987 peerelowskiego roku i został tam nielegalnie. Po dwóch latach, by dostać papiery rezydenta, wziął ślub za pieniądze z Angielką. Umówił się na siedem tysięcy funtów, ale zapłacił trzy i pół, bo dziewczyna wyjechała do USA. Skończył wyższą szkołę ekonomiczną, założył dwie firmy: komputerową i wyposażania mieszkań. Radzi sobie. Ale do prawdziwej żeniaczki nieskory.

Stanisław Pokigo przez podłogę coś poczuł. Nie wiadomo, czy to z okna, czy z lodówki. Powiedział głośno, może żartem, że ktoś umarł. Usłyszeli to sąsiedzi, ale był Nowy Rok 1995. W ten dzień Pokigo, kibic "Cracovii", poszedł na tradycyjny, noworoczny sparing swoich piłkarzy. W śniegu kadra strzeliła bramkę rezerwowym.

WTEDY W CIELE ORESTESA W. W WYNIKU AUTOLIZY, CZYLI SAMOROZPUSZCZANIA, NASTĘPNIE GNICIA, ROZKŁADAŁY SIĘ ZWIĄZKI ORGANICZNE I TWORZYŁY WOLNE PIERWIASTKI. BIAŁKA ROZPADAŁY SIĘ DO PEPTONÓW, PÓŹNIEJ AMINOKWASÓW, A WRESZCIE DO PRODUKTÓW KOŃCOWYCH: SIARKOWODORU, METANU, AMONIAKU, WODORU, DWUTLENKU WĘGLA I WODY. TŁUSZCZE ROZKŁADAŁY SIĘ DO KWASÓW TŁUSZCZOWYCH I GLICEROLU.

Sudołowa, przez korytarz, z końcem kwietnia 1995 roku przeszła na rentę, a od maja zaczęła pracować na własny rachunek. Zlecen dla księgowych nie brakowało. Mieszkańców znała na wylot. Badala sprawozdania finansowe. Dekretowanie, księgowanie, kosztorysowanie. I płace, i deklaracje podatkowe. Dostawała za to pięćset złotych. - Potworzyło się mnóstwo małych spółdzielni mieszkaniowych. W jednej prezesem stolarz, w drugiej elektryk. Żadnego pojęcia - opowiada. - Cały pokój miałam w bilansach, ani chwili wytchnienia, zwracania uwagi na sąsiadów.

#### Majowe brania płoci

Pakułowej, przez ścianę, trafiło się pierwsze miejsce w 34. wędkarskich mistrzostwach Polski kolejarzy w Piwnicznej. Mąż asystował przy otwieraniu szampana. Do smażonych na ognisku leszczy, płoci, okoni - bąbelki. Hmm, pachniało. Przyjechali do domu i jeszcze pachniało. Otworzyli okno na oścież, żeby zapachniało Kubusiom.

Potem wyjechali do Lipia koło Gródka nad Dunajcem, do prowadzonego przez siebie kolejowego ośrodka wędkarskiego. Trzeba się zakręcić, pościel zmienić, piwo kupić, bo do pstrągów kolejarze wolą piwo niż żyto. Potem żniwa latem i wykopki jesienią w 1996 roku. Za Sieradzem, u rodziny Mariana. Pogoda nagliła. Na dom starczało czasu jedynie w zimie.

NAJDŁUŻEJ OPIERAŁ SIĘ ROZKŁADOWI MIĘSIEŃ SERCOWY ORESTESA W., NASTĘPNIE GRUCZOŁ KROKOWY, TARCZYCA ORAZ OCZYWIŚCIE ŚCIĘGNA, CHRZĄSTKI I KOŚCI. ORESTES W. ZMUMIFIKOWAŁ SIĘ. JEGO ZWŁOKI, CAŁKOWICIE ODWODNIONE, PRZYBRAŁY BARWĘ BRUNATNĄ, A SKÓRA ŚCIŚLE PRZYLEGŁA DO KOŚCI.

W październiku 1996 roku, nie doczekawszy rozrusznika, umarł Stanisław Pokigo, sąsiad Orestesa W. przez podłogę. Sudołowa i Pakułowicze byli na pogrzebie.

Dwie brzozy zaglądały w uchylone okna Orestesa W. Gdyby drzewa rosły na wsi, ciekawscy chłopcy wdrapałyby się na nie.

W mieszkaniu Stanisława Pokigo, sąsiada przez podłogę, pustka.

Sudołowej, przez korytarz, zmarła matka w lutym 1997 roku. Trzeba żyć, trzeba pogodzić się ze śmiercią najbliższej osoby.

Dla Pakułów, przez ścianę, ważne były majowe brania płoci. Ale najważniejszy lipcowy przyjazd syna z Londynu w 1997 roku. Stanisław przywiózł trochę sprzętu

wędkarskiego. Przez dwa tygodnie wytapetował mieszkanie, przykleił płytki nad zlewem, takie angielskie, chropowate, blade, które kupił u siebie. Zawiesił pochłaniacz nad kuchenką. Wiercił w ścianie, hałasował. Ale nie przeszkadzało to sąsiadowi.

WTEDY ZWŁOKI ORESTESA W. ZESZKIELECIAŁY. ODSŁONIŁY SIĘ KOŚCI, CHRZĄSTKI, CZĘŚĆ ŚCIEGIEN.

W październiku 1997 roku Pakułowie, przez ścianę, rywalizowali o tytuł wędkarza roku wśród emerytów. Prowadził Pakuła, a Pakułowa - o jedno branie za nim. Na Wiśle pod Wawelem Bronisława Pakułowa zarzuciła po raz ostatni. Zahaczyła brzanę półtorakilogramową.

WTEDY W CIELE ORESTESA W. NIE BYŁO JUŻ TKANEK MIĘKKICH, POZOSTAŁY JEDYNIENIE ODTŁUSZCZONE, POZBAWIONE OKOSTNEJ KOŚCI.

Cierpiąca na naciśnienie Sudołowa, przez korytarz, wróciła do domu wieczorem, 17 listopada 1997 roku, kiedy było już po wszystkim.

Jest! Krzyknąłem i odwróciłem się

W poniedziałek, 17 listopada 1997 roku Antoni Płaka sforsował drzwi Orestesa W.

- Zapachu nie wyczułem - wspomina Płaka. - Tylko ciemno. Zapaliłem latarkę, bo prąd wyłączony. Zimno. Lokatorzy skarżyli się na otwarte okna Orestesa W., więc chciałem je zamknąć. Świeciłem pod nogi. Wszędzie bałagan, sterty rupieci, gazet. Pajęczyny. W kuchni leżały na stole okulary. Takie mocne, cylindryczne, z grubą oprawką. Zapamiętałem, bo sam jestem okularnikiem. Nie wszedłem do kuchni. Bo w przejściu zaświeciłem do pokoju. Najpierw zobaczyłem golenie. Potem głowę. W. jakby na mnie czekał. Szkielet leżał na wersalce, okryty starą kufajką. Na lewej nodze była skarpetka. Kolana zbrązowiały. Błyszcząca czaszka, odchylona, opierająca się o ścianę. - Jest! - krzyknąłem i odwróciłem się na pięcie.

*"Mumia wśród ludzi", "Mumia lokatorem", "Ponad cztery lata z nieboszczykiem za ścianą", "Kompletna znieczulica"* - doniosły gazety.

Naczelnik Oddziału Gospodarki Mieszkaniowej PKP w Krakowie Józef Jędrzychowski tłumaczy: - Ten lokator nie reagował na nasze pisma.

I dalej: - Myśleliśmy, że go nie ma, że wyjechał. Sprawdzaliśmy nawet w Centralnym Rejestrze Skazanych, czy nie siedzi w jakimś więzieniu. Przejęliśmy ten budynek od PGM w roku 1994 najprawdopodobniej z trupem.

Pakułowie, sąsiedzi przez ścianę, doznali szoku. I dość.

Po nocy, rankiem 18 listopada 1997 roku, Sudołowej, sąsiadce przez korytarz, pękł tętniak. Nastąpił wylew krwi do mózgu. Przed ósmą straciła przytomność. Obudził ją telefon od syna. Leżała na podłodze. Bilingi pokazały, że o 9.24 syn dzwonił na pogotowie, o 9.54 ona dzwoniła do syna, o 12.37 ona znowu na pogotowie... Dopiero wtedy przyjechało. Znowu wylew. Operacja. Wyszła ze szpitala po miesiącu.

ORESTESA W. Z OCZYWISTĄ STARANNOŚCIĄ, ABY SIĘ W. NIE ROZSYPAŁ, PRZETRANSPORTOWANO DO ZAKŁADU MEDYCYNY SĄDOWEJ W KRAKOWIE.

- Wytworzyły się warunki suche i przewiewne, sprzyjające mumifikacji zwłok - potwierdza doc. dr Franciszek Trela, kierownik Zakładu, który przeprowadził ekspertyzę sądową. - W początkowym okresie po zgonie decydującą rolę odegrała niska temperatura i wilgotność pokoju, w którym ciało przebywało, oraz jego wyjątkowa szczupłość. Zwłoki te przez tygodnie, miesiące, lata... ulegały tylko nielicznym przemianom.

Inne nazwisko, inne imię, inne daty

Ustalanie przyczyny śmierci Orestesa W. trwało do grudnia 1997 roku i nic nie dało. Zakład Medycyny Sądowej Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie ocenił, że *"zwłoki Orestesa W. były zmumifikowane i pozostawały w mieszkaniu przez okres od kilkunastu miesięcy, a nawet może od kilku lat. Zmumifikowaniu uległy tkanki miękkie. Nie stwierdzono żadnych urazów kostnych"*.

Prokuratura Kraków-Śródmieście sprawę śmierci Orestesa W. umorzyła z dniem 31 grudnia 1997 roku na podstawie art. 11 pkt. 1 kpk: przestępstwa nie popełniono.

W MARCU 1998 ROKU ORESTES W. ZNAJDOWAŁ SIĘ NADAL W CHŁODNI SĄDOWEJ.

Zgodnie z przepisami - aby W. mógł być pochowany na koszt państwa - konieczne stało się ustalenie jego krewnych lub stwierdzenie ich braku. Policja nie znalazła krewnych Orestesa W.

Wywiad środowiskowy nie wniósł do dochodzenia wiele. Bo czy to nie zaprzętały głowy ważniejsze sprawy? Jeden z sąsiadów powiedział, że W. mieszkał z kobietą, ale o innym nazwisku. Czyżby z matką? Kiedy matka umarła, zawinął jej zwłoki w koc i wyniósł. Ot, tak. Ale gdzie? Mało kto widział. W. żył nocą. Z nikim się nie kontaktował. Nie płacił rachunków. Odłączony od mediów na długo przed śmiercią. I tyle. Nikomu nie znany. W. Inicjał W. Niczym NN.

Według informacji rzeczników krakowskiej prokuratury i policji Zakład Medycyny Sądowej skierował pismo do Urzędu Stanu Cywilnego o wykreślenie Orestesa W. z ewidencji.

USC NIE SKREŚLIŁ ORESTESA W. Z REJESTRU.

Okazało się, że Orestes W. w nim nie figuruje. Prokurator Paweł Baca, prowadzący sprawę: - Sprawdziliśmy w urzędzie meldunkowym. W. widniał tam jako Śladyński, urodzony we Lwowie, 21 lutego 1942 roku.

WTEDY TO ORESTESA, JUŻ ŚLATYŃSKIEGO, PRZENIESIONO DO TRUMNY NA KOSZT PAŃSTWA. I POCHOWANO 17 MARCA 1998 ROKU NA KRAKOWSKIM CMENTARZU BATOWICE.

Choć nosił nazwisko W., po ojcu... Choć jako Śladyński miał - zgodnie z dokumentami - na imię Julian... Choć nie żył w latach 1942 - 97, jak podano w akcie zgonu. Żył cztery, a może pięć lat krócej. Komu by się chciało wojować z papierami w takim przypadku?

W maju 1998 roku wyniesiono z mieszkania po Orestesie W. gazety, książki, butelki, koce, odzież... Kubusie zaczęły siadać na jego parapecie.

Tak mówił, taki był...

Bronisława Pakułowa, sąsiadka przez ścianę: - Matka W. pracowała na kolei, sprzątała w parowozowni. Taka cichutka, spokojna, sympatyczna. Zbierała butelki po śmietnikach. Miała cukrzycę. Było, że i tydzień spała. Otrzymywała listy ze Stanisławowa. Ponoć ojciec W. był Niemcem albo Ukraińcem.

Marian Pakuła: - On pił, maltretował matkę, był niedobry dla niej. Ona umarła. Sprowadzał różne męty, pijaków, prostytutki, homoseksualistów, jakieś studentki. Wszystko słycać przez ścianę. Goniłem takie. A raz gumą przyrznąłem jednej, aż pisnęła. Kiedyś ktoś uciekał przez okno po linie, bo W. zamknął go w mieszkaniu i wyszedł. Nieraz wzywaliśmy policję. Policja siedziała u nas w nocy i przysłuchiwała się wybrykom. Ale co mogła zrobić? W. nie obrażał się, kłaniał się grzecznie. Spotykałem go w piwnicy. Podłączał się tam do prądu, by zemleć kawę, grzać herbatę. Zbierał odpadki po śmietnikach i żył. Ludzi unikał. Parę razy widziałem go na dworcu. Ktoś widział go w sądzie, w todze. Może miał



wykształcenie prawnicze? Ponoć umiał pisać podania do sądu. Czy to możliwe? Kto go wie, jak to z nim było.

Sudołowa, sąsiadka przez korytarz: - W dzieciństwie mieszkałam z W. na tej samej ulicy, Bosackiej. Ja pod dwudziestym czwartym, on pod trzydziestym, tam gdzie łaźnia dla palaczy. Mieszkał z matką, z matki siostrą i jej dwiema córkami. Starszy ode mnie o rok, ale taki nie do życia. Młodzież rozmawiała na ławkach, a on zawsze osobno. Odstawał, nie rozmawiał. Może przez swoje pochodzenie wojenne. Dość wysoki, bardzo chudy, blondyn rudy, zawsze krótko obcięty. Ale to nie był głupi chłopak. Poszedł do liceum ogólnokształcącego, a ja do technikum ekonomicznego. Studiował chyba, pracował w jakichś zakładach mechaniki precyzyjnej. W krawacie chodził. Kiedy wyburzyli budynki kolejowe na Bosackiej, przeniósł się z matką na Miechowity. Ja już tu mieszkałam. Patrzę przez korytarz, że to oni, wprowadzili się, że są.

Mówił kiedyś, że był żonaty. Mojemu synowi kupił plastikowy pistolet. Trochę zalecał się do mnie. Ale on taki... Raz byliśmy na dansingu w "Jamie Michalika" na Floriańskiej. Piotrek chodził jeszcze do przedszkola, został u babci. W. dobrze tańczył. I porozmawiać dało się z nim na wszystkie tematy. Nie mógł pogodzić się, dajmy na to, że Polacy wykorzystywani są tak w technice, w tych przyrządach precyzyjnych, że sami powinniśmy wykonywać pewne produkty, a nie zaprzedać myśl techniczną Niemcom. Że my jesteśmy jak Murzyni dla świata. Tak mówił. Taki był. Taki wstydzący się. Bo mizerota, nie chłop.

Na koniec coś mu odbiło. Po tym, jak mu umarła matka. Kochał ją bardzo. Usnęła, chora na cukrzycę. Na rękach zniósł ją do karetki. Potem przez piętnaście lat nie rozmawialiśmy. Przechodził obok jak powietrze. Czy sprowadzał męty do mieszkania, nie wiem. Być może, nie słyszałam. Ponoć miał jakąś kobietę na ulicy Lubicz.

#### Tyle człowieka

Mówi się, że tyle człowieka, ile pamięci po nim. "Nikommu nie znany" W. - jakiś W. - przeżył swoją śmierć w pamięci sąsiadów. Nie zapomni się w kamienicy o jego życiu bez życia.



## Jedno życie, a koniem go nie objedziesz

W Srokowie, gdzie zamieszkał Jan Hałuszka, ciemno. Światło gaśnie nie tylko na ulicach i w domach, w szkole, w mleczarni i w kościele. Ogarek świadomości cienieje. No, strach żyć po ciemku. Z restauracji bez prądu wytaczają się zadymieni bywalcy. Nieważne, czyś Polak, Ukrainiec, czyś niedobitek Mazura, pić możesz na równi. Byle do ust przy świeczkach. Byle pomodlić się w kościele.

Dobre kilkadziesiąt lat bratania. Jednania. Osadzania kręgosłupa ludziom, przybyłym z innego świata. Taka społeczność, różnych narodowości do cholery: Polaki - Centrolaki, Ruskie - Ukraińcy, Niemcy - Mazurzy, Białorusini - Litwini, czort wie, kto jeszcze, może Jehowi - baptyści. Wszystko skonsolidowane. Zadowolone. U władzy Nowik - Polak - zadowolony, radny Hałak - Ukrainiec - też, działacz Kulesza - Mazur - niezgorzej. A może ksiądz nie? Ksiądz nazywa się Sawostianik Kazimierz jakby z Żelieznodorożnyjewa. Udziela wywiadu w przerwie tapetowania plebanii. Też zadowolony! Gdy tak wszyscy srokowianie radośni, jakież to temat dla reportera.

Temat to Ukrainiec Jan Hałuszka - "UB-owiec", który osadził się tam, gdzie ciemno. I zadarł z księdzem.

Ze Srokowa do Kętrzyna i Węgorzewa prawie jedna droga. Dla autobusu chwila, dla historii też. Kętrzyn ochrzczony po Kętrzyńskim, Węgorzewo po węgorzach, nie, po Węgorapie. Srokowo z nazwą po Srokowskim, geografie, stojącym na czele Komisji Ustalania Nazw Miejscowości po II wojnie światowej... Niemcy uciekli przed Armią Czerwoną, Mazurów zostało niewiele: Komorowscy, Kulesze, Rentze, Gontarze, Enki, Krigery. Dają się policzyć na palcach. Polskie dzieci wybijały im szyby w oknach. Do beczki wrzucano Mazurów i po wybojach, na żelaznym wozie, wieziono ledwie żywych do Kętrzyna. Ci, którym udało się, zrywali ze Srokowem na zawsze.

Ukrainiec Jan Hałuszka - "UB-owiec i bandyta z UPA" - zadomowił się tam, skąd uciekano. I zaskarżył księdza.

Ernest Enko tu się wychował. Przez powojenne lata wymodelowany. Ewangelik, stroni od ludzi. A stroni, gdyż Mazur. Jest kierowcą w mleczarni, ożeniony z Ukrainką, która przyjechała do Srokowa z rodzicami w ramach akcji "Wisła". Cicha, posłuszna. Przeszła na ewangelicyzm. Tak to sobie wyobraził Enko, że żona musi przyjąć wiarę męża. Dwa razy w tygodniu otwiera i zamyka wiejski zbor ewangelicki w Srokowie, kiedy ksiądz "mazurski" przyjeżdża. I tyle go obchodzi.

Edward Kulesza to działacz społeczny. Rodzice - autochtoni. W rubryce "narodowość" pisze "Niemiec". - Rodzina tak podawała. Matula umiała po polsku bardzo dobrze. - Mistrz mechanizacji rolnictwa. Ożenił się z Polką. Teść - piekarz przyjechał z Tłuchowa w 1946 roku jako jeden z pierwszych osadników. Synowie i żona - katolicy. On - ewangelik, Mazur przylepiony. Kiedy Niemcy grają z Polakami w piłkę, można zauważyć, że podnosi się na fotelu i krzyczy: "Nasi, nasi". Za Polską. Raz na jakiś czas idzie do swego kościoła. Bo lubi pośpiewać, na przykład "Bogurodzicę". Z osiemset pieśni w śpiewniku -

oczywiście po polsku - w większości bez tytułów. Ksiądz ewangelicki ma żonę, dzieci. Można z nim pogadać jak z człowiekiem. A z księdzem katolickim o czym dyskutować? Chyba, że nad jeziorkiem. Ludzie mówią, że raz do roku księdzu katolickiemu wolno zgrzeszyć.

- Te fanatyki Polaki - śmieje się Roman Hałak, rolnik na dwunastu i pół hektarach, przez szesnaście lat radny gminny z nadania Ukraińców, którzy stanowią jedną trzecią mieszkańców gminy. - Słońce świeci w niedzielę, a oni w pole nie wyjdą. Nasz ksiądz gada w cerkwi, byśmy szli, bo szkoda. Ksiądz rzymski nie wpuści do kościoła księdza greckiego, żeby odprawiał po ukraińsku, a obaj w sutannach, jednego papieża mają. Musimy jeździć do cerkwi w Bajorach, dziesięć kilometrów. Ja tu się urodziłem, służyłem w wojsku, Polska to moja ojczyzna. Ale jestem Ukraińcem, bo lubię język ukraiński, obyczajowość, pieśń. Tyle tylko. Kiedy gra Dynamo Kijów, trzęsę się za nim.

A Jan Hałuszka trzęsie się z jakiegoś powodu? - Taki nerwowy, brzuch mu podskakuje wtedy. Pan uważa, ciemne to sprawy - różni ludzie: i Polak Nowik, i Mazur Kulesza, i Ukrainiec Hałak, roznoszą po Srokowie w ciemno, ale mniejsza z nimi wszystkimi, bo to Hałuszka w jupiterze.

Uważam. Przez Hałuszkę ksiądz Edward G. skazany za to, że uderzył w twarz Hałuszkowego pasierba. Miał prawo uderzyć? A ten Hałuszka - "UB-owiec, bandyta z UPA i SS-man" - miał prawo skarżyć się? Na ostatek swego intrygującego życia? Jedno życie, a do licha losów.

#### Co ja winien?

Jan Hałuszka urodził się w Łazach koło Przemyśla. Przypomina po ukraińsku powiedzenie: "Szto ja winien, szto mienie pip ochriestiw? (Co ja winien, że mnie pop ochrzcił?)". Ojciec Dymitr, matka Eufrozyna z trzema morgami pola w majątku pańskim. Robota ukraińska, dobrobyt polski. Nie stać ich, by ścielić słomę pod bale drewniane, ciągnięte przez konie. Największym gospodarzem w Łazach był ksiądz greckokatolicki Lewicki, który skończył seminarium katolickie, a potem przeszedł na obrządek grecki.

Pierwsza wartość na wsi - religia. Ksiądz szedł na swe pole w sutannie, z ręką na laseczce. Ci, co przechodzili koło niego, kłaniali się do ziemi i całowali w rękę, w laskę... Z Przemyśla jechał biskup. Hrabina Zofia Zamoyska wyjechała po niego w sześć koni. Parada na odcinku pięciu kilometrów, od mostu w Przemyślu do Łazów. Domy w kwiatkach i świętych obrazach. Szarawary ukraińskie, polskie rogatywki. Ludowcy w kokardkach z zieloną koniczynką. Chłopi czuli się szczęśliwi, całując bryczki. Za wzorowe przyjęcie biskupa hrabina Zamoyska pozwoliła zbudować nową szkołę w Łazach.

Namawiali go znajomi: - Opisz, opowiedz to. Szkoda, żeby przepadło. - Postanowił na "tak" przy okazji osiemnastych urodzin synów bliźniaków. Im na pamiątkę wrócił pamięcią do dzieciństwa. PRZYMKNĄŁ OCZY... Wspomniał...

Matka pracowała w majątku hrabiny Zamoyskiej. Ciężka harówka od wczesnego ranka do późnej nocy za złotówkę dziennie. Małą Ahafię - jego starszą siostrę - zostawiała wtedy pod wierzbą lub w krzakach na płachcie.

Bieda wygnała ojca do Kanady na dwadzieścia lat. Pracował na farmie, wśród Ukraińców. Zdolny, z ładnym charakterem pisma, umiał przepisywać księgi cerkiewne. Uczył dzieci pisać i czytać po ukraińsku. Powrócił do domu w 1922 roku. Za pieniądze z Kanady kupił kawałek dobrego pola, pobudował się. 6 lipca 1924 roku świętował przyjście na świat syna Jana. Cztery lata później zmarł. Razem z dziadkiem. Potłukły ich dwa młode konie, które kupili na targu w Radymnie. Na leczenie żalowali pieniędzy.

Do domu zaglądnęła bieda. Matka postanowiła wydać za mąż Ahafię, która ukończyła siedemnaście lat. Trafiał się syn znajomych, dziedziczący gospodarkę. Matka zadeklarowała

posag, i to dobry. Wziął się on z testamentu ojca, który - umierając - podzielił majątek. Ahafia dostała trzy morgi pola, konia, krowę, wóz, maszynę do szycia. Jan otrzymał wraz z matką dom, stodołę, oborę, dwie szopy, trzy i pół morgi ziemi i cały dorobek. Matka - ładna, czterdziestoletnia kobieta - zatrzymywała dwie morgi. Syn zapewniał jej byt do śmierci. Jan zyskał sporo, więcej niż matka, której trudno było wyjść powtórnie za mąż bez odrębnego w pełni majątku.

#### Na przełomie światów, w Łazach

Łazy - wieś w całości ukraińska. Pamięta dwie, trzy osoby z rodzin ukraińsko - polskich, mówiące wyłącznie po polsku. Rodzin mieszanych z dziesięć. Za najstarszego Polaka uchodził Majchrowicz - murarz. Wzenił się w Łazy, wybrano go nawet sołtysiem, bo Polak. Polką była też "babka", czyli położna, ogromnie zasłużona dla wsi. Odbierała jego urodzenie. Dzieci nosiła na rękach do cerkwi do chrztu. Gdy rodziny biedowały, sama płaciła księdzu za ceremoniał. I sołtysa, i "babkę" szanowała ludność ukraińska.

Trzysta sześćdziesiąt numerów. Praca na ziemi, ale i dojazdy do miejskich fabryk. Nieliczni inteligenci po szkołach wywodzili się także z rodzin chłopskich. Wieś posiadała murowaną cerkiew. Murowaną plebanię. I drewnianą czytelnię "Proświty" - organizacji społeczno - oświatowej, odgrywającej rolę wiodącą w kształtowaniu ukraińskiej świadomości narodowej.

Trzy kilometry w kierunku wsi Laszki stał klasztor Moszczany i kościółek. Naprzeciwko niego rozciągał się majątek hrabiny Zamoyskiej, przebywającej w swej siedzibie w Wysocku. Siostry zakonne z klasztoru nazywano "skrzydlate", gdyż nosiły białe, "skrzydlate" kapelusze. Klasztor otaczał mocny mur, za nim rósł sad i ogród. Rządca gospodarstwa klasztorowego doglądał dwie pary koni, kilka krów, około pięćdziesięciu mórg dobrego pola. Zatrudniano pracowników tylko polskiego pochodzenia. Ukraińcy z dwudziestu pobliskich wiosek przychodzili do klasztoru w jednym celu - leczniczym. Jan pamięta siostrę Marię, ukochaną przez całą ludność "panią doktor", która długie życie poświęciła leczeniu ludzi bez względu na narodowość. Uzdrowiała biednych i bogatych, złych i dobrych, nie pytając o zapłatę. Chłopi dawali, co mieli, a często mieli dla niej jedynie słowo: "Diakuju". Klasztor prowadził zakład zamknięty dla dziewcząt ułomnych. Z okazji świąt czy innych uroczystości ludzie gromadzili żywność i przywozili do zakładu.

#### Ksiądz

Szczerą prawdę chce przekazać synom: Andrzejowi i Bohdanowi, że ciężko mu szło z nauką. Ten, kto miał się w co ubrać, w spodnie i koszulę, jeśli nawet bosi, szedł do dużej, ładnej, siedmioklasowej szkoły. Obowiązku nie było. Kto nosił więcej lat niż spodni, do szkoły nie chodził. On, choć ubrany, bez dziur w spodniach, unikał nauki. Matka załamywała ręce, ojciec zdejmował pasa. W wychowanie włączył się wuj - też ojciec chrzestny - Jan Iwanicha, zwany przez wszystkich "Knap". Mieszkał blisko, na małej, ale ładnej gospodarce, i żył dostatnio.

Drugim opiekunem jakby "z urzędu" był ksiądz Lewicki. Żonaty, trzy córki. Jedna z nich była wychowawczynią w szkole. Ksiądz Lewicki włączył go do posług cerkiewnych. Dzwonił więc dzwonekami na nabożeństwach, sprzątał. Ale pewnego razu w czwartej klasie, w czwartek, bo w czwartki odbywały się lekcje religii, dał mu się we znaki nadmiar opieki. Spóźnił się na lekcje, jak zwykle zresztą. Ksiądz wyrwał go do odpowiedzi, a ponieważ nie umiał nic, kazał mu podejść do stołu. Zagiętym końcem laski - ksiądz Lewicki nosił ją zawsze przy sobie - uchwycił go za szyję. Przyciągnął. Po czym uderzył ręką w twarz tak mocno, że pociekła krew z nosa.

Wyrwał się i uciekł. Wpadł do domu zakrwawiony. Matka z wujkiem pobiegli do księdza z pretensjami: - Czemu ksiądz to zrobił? - Duchowny obraził się za samo zapytanie. Może powiedzieli coś jeszcze, bo stosunki między rodziną a księdzem stały się wrogie. Nie mógł uczyć na religię ani spełniać posług cerkiewnych, nie otrzymywał rozgrzeszenia na obowiązkowej spowiedzi raz w miesiącu. Cała rodzina Hałuszków miała pokutować, modlić się i czekać na wybaczenie.

Sąsiedzi spojrzeli krzywo na grzesznych. Matka, bardzo religijna, modliła się, by ksiądz wybaczył. Ten złagodniał z czasem. Ale on - mimo najszczerzej chęci - nie przestał go nienawidzić. W jesieni życia uważa, że ta sprawa, pozornie błaha, wpłynęła ogromnie na jego przyszłość i ukształtowała na zawsze.

## Wojna

Kończyła się nauka. W siódmej klasie posyłano go do pracy przy budowie nowej szkoły w Łazach. Rozmawiano o przyszłym zawodzie z majstrami, także z dwoma ciotkami i wujkami w Łazach, z ich dorosłymi lub prawie dorosłymi dziećmi, czuwającymi nad nim - półsierotą. Ale on nie widział się na budowie. Matka oddała go więc do szewca i dwie zimy uczył się szyc buty. Wybuchła wojna. Niemiec napadł na Polskę.

Masy wojska polskiego wycofywały się na wschód traktem, zwanym "Cesarskim gościńcem", w kierunku Lwowa. Noc w noc nocowała we wsi jakaś grupa przejezdnych. Z reguły bogatych. Z rana wynajmowali u chłopów furmanki. Znaczniejsi Polacy uciekali bryczkami. Część z tych uciekinierów wracała wkrótce z powrotem, kiedy Armia Czerwona poszła na zachód. Dwaj żołnierze przebrali się w jego stodołę, a on - piętnastoletni młodzian - biegał po sąsiadach wymieniać spodnie wojskowe na jakiegokolwiek cywilne. Był z tego rad, bo dostał menażkę i coś tam jeszcze za przysługę.

Szczerą prawdę chce Jan przekazać synom Andrzejowi i Bohdanowi, ale to jego prawda: - Do wojny nie wiedziałem, co to Polak, co Ukrainiec. - Ma prawo do prawdy. Pamięta, że mieszkańcy wsi cieszyli się z wojny. - Niemcy wyzwolą nas, nasz naród, uciskany przez Polaków - powiadali. I przyszli Germańcy. Biedota miejska i ciemni wieśniacy przeżyli zawód, kiedy spostrzegli, że Niemcy traktują ich z nie mniejszą pogardą niż urzędnicy polscy. Najeźdźcy lepiej może odnieśli się do inteligencji ukraińskiej, uznali ją widać za bardziej przydatną i podatną na wpływy.

Oglądał Niemców krótko, kilka dni albo tydzień, albowiem wycofali się ze Lwowa, a potem odeszli za rzekę San. Mimo to zdążył pohandlować z nimi: za papierosy i suchary przynosił ze wsi kury i gęsi.

## Czerwony diabeł

Na wieść o zbliżaniu się Armii Czerwonej zapanował we wsi strach. Rozpacz. Aż wreszcie Sowietci wkroczyli. Niebo a piekło, piękno a brzydactwo, bogactwo a bieda w porównaniu do wojska, które widziano wcześniej. Pamiętano wspaniałe umundurowanie żołnierzy polskich z dwóch jednostek, które stały przed wojną w Radymnie. Jeździł tam na "Dzień konia", uatrakcyjniany pokazami konnej jazdy ze ścinaniem łoży, poczęstunkiem żołnierską grochówką z kotła. Marzeniem każdego chłopaka było zostać kawalerzystą.

A niemiecka armia - ze swoim uzbrojeniem, czołgami, artylerią, mundurami, wyżywieniem, dyscypliną, czystością - wykraczała poza wyobraźnię. Armia Czerwona? Nędza i ubóstwo. Obrapane taczanki. Wojsko w drelichach. Piechota w czarnych od brudu owijaczach, nie ogolona. Pepesze na sznurkach. Kontrast. Tak to wyglądało.

Kilka starych kobiet postanowiło bronić cerkwi przed bolszewizmem. Wiedziano przecież, że komunizm zwalcza religię, niszczy cerkwie i kościoły. Matki i babki stanęły w

bramie, gotowe zagrozić drogę wojsku. Jednak diabeł okazał się mniej straszny niż myślano. Sowietci zwołali zebranie na placu przed "Proświtą". Oświadczyli przez głościki, że cerkiew zostanie zachowana w spokoju, że można dalej chodzić do niej i modlić się, że Armia Czerwona jest armią - wyzwolicielką narodu ukraińskiego spod jarzma i ucisku władzy polskiej. Takie pogadanki odbywały się później prawie codziennie.

Wybory nowego sołtysa zwołano do czytelnicy "Proświty". Ale nikt nie chciał zgłosić się na urząd. Na następnym zebraniu ktoś podał dla kpiny kandydaturę nędzarza Lijki, przezywanego "Rotman". Człowiek ten nie posiadał żadnego gospodarstwa, miał za to na utrzymaniu sześcioro czy siedmioro dzieci, nie umiał ani czytać, ani pisać. Przegłosowano i został sołtysiem.

Do działania wezwano komunistów, zakonspirowanych pod rządami Polaków. Zgłosił się chłop z Kolonii, odległej o około trzy kilometry, Wasyl Pych. Żonę miał z Duńkowic, Polkę, ale chodzącą do Łazów na uroczystości cerkiewne. Mało znany przed wojną, okazał się odczytany i wygadany. Objął funkcję przewodniczącego gminy. Drugim, który zgłosił się do organizowania władzy ludowej, był Jan Iwanicha, wuj i ojciec chrzestny... W tak dużej wsi nikt inny nie ujawnił sympatii do komunizmu.

Pamiętał sprzed wojny, jak po obu brzegach Sanu, w miejscowościach: Radymno, Duńkowice, Krakowiec, działał ruch ludowy "Wici". Działacze ruchu nazywano "ludowcami" lub "wiciowcami". Jako chłopak, posiadający własny rower, pojechał na wiec w Duńkowicach, w przysiółku Piaski. Widział kosynierów w czerwonych rogatywkach, z kosami, w białych sukmanach. Sporo ludzi z jego wsi. Wokół krążyła policja. Ale nie biła. Po wiecu to nie policja, lecz wojsko na koniach okrążyło wieś, a na plac spędziło głównie młodych. Szukano komunistów. Tych, ubranych w czerwone koszule, bito solidnie. Koszule kazano im powyrzucać.

Też ukraińska organizacja, działająca przy "Proświcie", organizowała festyny albo wyjazdy na Mogiłę do Pikulic za Przemyślem. Znajdował się tam kopiec na dwa, trzy metry z dużym krzyżem dębowym, na którym widniał napis: "Borciam za Woliu Ukrainy - SLAWA". Młodzież garnęła się do chóru przy "Proświcie", drugi silny chór działał przy cerkwi. W klapie noszono znaczki z Tryzubem albo "Proświty".

Nie śpiewał w chórach, brał za to udział w przedstawieniach, popularyzujących folklor ukraiński. Ich scenariusze przygotowywali miejscowi nauczyciele.

### Nowa władza

Nowa władza przejęła majątek klasztorny Moszczany i hrabiowski Zamoyskich. Wyglądało to na zwykły rabunek, bo na dobra pańskie rzucili się mało i średniorolni chłopci. Zakonnice puciekały do wiosek ukraińskich: Młyny, Łapajówka, oddalonych od głównych traktów. Udało im się przeżyć najgroźniejsze chwile. Kilka rodzin wywieziono na Sybir. Dwadzieścia rodzin przesiedlono do Besarabii.

Większe majątki dzielono, ale chłopci nie chcieli zajmować gruntów. Brali tylko pola klasztorne i rodzin wywiezionych, by nie leżały odłogiem. Panował chaos. Jeśli ktoś dostał krowę albo konia, to i tak nie miał czym ich wyżywić. Spółdzielni i kołchozów nie zakładano. W majątku hrabiowskim rozgościła się jednostka wojskowa. I nowa władza: przewodniczący gminy - Wasyl Pych, sekretarz - Jan Iwanicha.

Wuj Iwanicha przypominał sobie o chrześniaku. - Jasio z siedmioma klasami jakby nie było niech zostanie urzędnikiem - postanowił. Chłopaka wezwano do gminy. Wuj czekał już na niego z kimś, kogo nazywano agitatorom. Ten ktoś nazywał się Zastenkier, był Żydem. Przyjechał z Rosji, by stanowić władzę polityczną. Nie jednemu namieszał w kaszy. Wspaniale rozmawiał po ukraińsku, dobrze organizował. Co tu mówić, po to go przysłano, aby grał pierwsze skrzypce.

Jan ujrzał w gminie lepsze życie, różnych panów, uśmiechających się mile. Spodobała się mu kariera urzędnika. Do tego wuj powiedział: - Pomogę ci zejść wysoko. Poślę do wyższej szkoły, wstąpisz do partii. Będą z ciebie ludzie.

Napisał więc życiorys, a w nim o pobiciu go przez księdza. I że ksiądz nie daje rozgrzeszenia. Wuj dopisał resztę.

Został referentem podatkowym. Bo w szkole radził sobie w matematyce. Jeździł na rowerze do sąsiednich Laszek, w których utworzono rejon. Pracowało tam dużo Ruskich - tak ich nazywano - różnych fachowców biurowych. Chłopi przynosili podatki, opłaty, wyznaczone przez władze, a on je jako referent pobierał z naliczeniem ustalonych procentów. Przeżywał stres, kiedy przychodził ksiądz. Dużo płacił, dużo stękał przy tym, pokazywał, że mu ciężko. Wściekły, pieniądze kładł na biurku bez słowa, zabierał kwit i odchodził.

Jan czuł się szczęśliwy: sekretarzem gminy był jego wuj, jego samego otoczono opieką, pomagano mu, powierzano zaszczytne funkcje, przykładowo gospodarza czytelnicy "Proświta". Co drugi dzień bawił się na zabawach za ulgową zapłatą. W "Proświcie" wyświetlano filmy, słuchano radia. Mimo dużych oporów na początku młodzież przyzwyczajała się i garnęła na tańce i kino. Poza tym - prawdę wspominając - przy władzy radzieckiej biedni chłopci ukraińscy zaczęli lżej oddychać.

Nie poradził chyba urzędowi, skoro po roku zaproponowano mu zajęcie w sklepie. W Moszczanach budowano koszary i budynki mieszkalne, plac budowy nazywano "Płaszczadka". Podjął pracę na "Płaszczadce" w dużym sklepie spożywczo - odzieżowym. W kasie zbierało się zawsze więcej pieniędzy niż trzeba. Przykładowo: chleb za dwa i pół rubla kroił na ćwiartki i sprzedawał robotnikom budowy po rublu, dokładając dwa czy trzy papierosy lub cukierki zamiast reszty. Kupował za kopiejki samogon od chłopów i sprzedawał wojsku. Robił, co chciał, mając za plecami wuja. Komisjom, kontrolującym sklep, stawiał dzban wina. Bał się superaty, karano za nią surowiej niż za manko, więc okradał kasę. Czuł, że żyje, powodziło mu się świetnie, wielu kolegów wokół, przeważnie z Laszek i Duńkowic: Mamrak, Maciak czy Kokut Staszek. A przecież nie skończył jeszcze siedemnastu lat.

W czytelnicy "Proświta" pozostawał gospodarzem. Otwierał ją i zamykał. Dbał o porządkę, wynajmował sprzątaczkę, za co otrzymywał parę rubli. Organizowano w niej różne zebrania, odczyty - aż do przesyty. Musiał być obecny na każdym zebraniu. Ludzie mieli tego dość, uciekali z domów, aby unikać zaproszeń. Pewnego dnia zjawił się w jego wsi "propagandzista" do spraw młodzieży. Przyjechał z zamiarem zorganizowania Komsomołu. Piotr mu było chyba, młody, z pewnością wykształcony, zabrał się gorliwie do pracy. Poprzącał hasła, różne portrety. Założył nową bibliotekę o tematyce komunistycznej. Sporządził listę młodzieży z Łazów i wedle niej rozmawiał. Jan asystował mu, na "Płaszczadce" pracował w końcu tylko do trzeciej.

Młodzież podzieliła się na dwie grupy. Niewielka część młodzieży, podatna na nowe hasła, uległa propagandzie komunistycznej. Większość trzymała się starych zasad: jak najdalej od komunizmu, jak najbliżej cerkwi. Wierzone w wyzwolenie niezależnej Ukrainy. Komunizmowi nie rokowano długiego żywota. W deszczowe noce czy śnieżne zimy przechodzono przez San i kontaktowano się z emigracją ukraińską. Bywało, że młodzi zostawali po stronie niemieckiej, ale częściej wracali i handlowali przemycanymi towarami. Sporo ich, też ludzi starszych, przyłapywała rosyjska straż graniczna. Trafiali potem na Sybir.

Nie zapisał się do żadnej partii czy organizacji. Interesowały go wyłącznie pieniądze. To z pieniędzy - uważał - wynikała pozycja społeczna. Handlował ze wszystkimi, także z tymi, którzy przekraczali granicę. Dostarczał samogonu w pierwszym gatunku, kupował towary. Przemysłowcy suszyli się w jego stodole po przepłynięciu Sanu. Nie mówił o tym wujowi, a nawet matce.

Armia Czerwona i władza radziecka zadomowiła się we wsi na dobre. Pachniało stabilizacją. Część wojska wysłano na Finlandię. Pozostali żołnierze pili wódkę, handlowali

walonkami i bielizną za samogon, obłaskawiali kobiety we wsi. Aż pewnego dnia to wszystko szlag trafił.

### Niemcy

W nocy, chyba z soboty na niedzielę, około godziny pierwszej, zapukał do okna sąsiad Zajło. Wyszeptał do rozbudzonej matki: - Za stodołą, w całych Łazach, pełno Niemców. Chowaj Janka!

Przestraszona matka kazała synowi wejść do beczki, jej wieko nakryła ciuchami. Ale do rana nikt nie zapytał o nic, nikt nikogo nie szukał. Jan wylazł z beczki, zjadł śniadanie i poszedł na wieś.

Niemcy nie natknęli się na zbyt wielki opór. Wybili tylko ochronę koszar w Moszczanach. Dzięki zwiadowi wiedzieli, że "czerwonoarmiejcy" kwaterują w lesie w okresie lata. Po wsiach pomieszkiwali oficerowie i podoficerowie zawodowi, którzy zresztą podjechali wkrótce z grupkami wojsk taczankami jak gdyby nigdy nic. Nie wiedzieli o wojnie, sądzili, że to ćwiczenia sojusznicze. Niemcy okrążyli ich i rozbroili bez walki.

Śledził te działania z rozbawieniem i zapomniał o strachu. Z kolegami pobiegł do swego sklepu. Drzwi zastał wyważone, towar porozrzucany na ziemi. Naładował do worków co chciał - i jazda - do domu kawał drogi. Jacys żołnierze niemieccy puścili za nim serię z automatu. Znał dobrze ścieżki przy wiejskiej rzeczce Szkło, więc dotarł na miejsce.

Drogą jechały na wschód ogromne kolumny Niemców: samochodami, czołgami, motocyklami, rowerami. Potęga. Wieś nie wątpiła, że oto wkroczyła władza przyszłości. Niemiec szedł do przodu po wyzwolenie Ukrainy i wszystkich narodów, ciemnionych przez Moskwę. Napis na sprzączkach pasów: "Gott mit uns" rozumiano i szanowano. Tę armię prowadził Bóg. Przeklinali ją tylko komuniści z Łazów: Wasyl Pych, który zdążył już awansować do rejonu w Laszkach, oraz wuj Jan Iwanicha. Wuj był dobrym człowiekiem według chrześniaka, dbał o dom, o rodzinę. Ale mieszkańcy Łazów osądzili inaczej.

Drugiego czy trzeciego dnia po wkroczeniu Niemców członkowie tajnej organizacji ukraińskiej, ci co uciekli przed komunizmem za San, powołali nową władzę: wójta i policję miejscową. "Swoja" władza nałożyła opaski na rękawy. Otrzymała broń od Niemców i zabrała się do roboty. Na początek złapano komunistę Pycha i agitatora Zastenkiera. Wyprowadzono ich za wieś i rozstrzelano. Wuję Jana Iwanichę zabrano z domu i przywiązano do płotu na placu koło "Proświty". Pozwolono bić go każdemu, czym popadnie, do woli. Aż zabito. Ciało wywieziono gdzieś i zakopano. Przyszedł czas i na mniejsze komunistyczne osoby. Spisano wszystkich: urzędników, robotników, też dziewczęta, które romansowały z Ruskimi.

### Dół i mogiły

Matka pobiegła do rodziny oraz znajomych z błaganiem o pomoc. Wuj Wasyl prowadził sklep spożywczy, syn wujka z dyplomem gimnazjum w Przemyślu był nauczycielem, wszyscy krewni ukończyli siedem klas i posiadali zawód. Niewiele to dało. Ze strachu nie wystawiał nosa za drzwi. Ukrywał się w gospodarskich zakamarkach, ale po kilku dniach nie wytrzymał. Poszedł za matką za stodołę, do ogrodu, wykopać kartofle na obiad. - Stój! Nie ruszaj się! - usłyszał. Zobaczył wymierzone w siebie karabiny.

Dwóch znajomych matki, nawet krewniaków, czatujących pod domem od dawna, krzyczało: - Janek! Niech nie ucieka, bo zastrzelimy! - Byli policjantami we wsi z niebiesko - żółtymi opaskami na rękawach. - Ręce w górę! - Zabrali go do biura gminnego, gdzie urzędował niedawno w imieniu komunistów. Nowa władza mieściła się w tym samym, co "Proświta", długim, drewnianym domu. Na placu obok zgromadzono Żydów, wszystkich ze



wsí, gdzieś z piętnaście osób, oskarżonych o współpracę z komunistami. Przed biurem stała bryczka i furmanka, jako że przyjechała "prawdziwa policja" z Laszek, w mundurach z czarnego sukna.

Wprowadzono go do kancelarii. Po bokach stali dwaj policjanci z nahajami, by łać jak popadnie. Nie pamięta, ile razy oberwał. Ocknął się wpół przytomny. Leżał na podłodze, na słomie, w areszcie. Rano wyprowadzono go na plac razem z innymi. Pod studnię podstawiono wiadro do umycia się i napicia. Rodziny dostarczyły pożywienie. Żydom nikt nic nie przyniósł, wszak zebrano ich wszystkich. Jeden z wyższych rangą policjantów wysłał kilka starych Żydówek do domów, aby doniosły swoim coś do jedzenia. Na komendę, z zakazem rozmów, pod karą chłosty uwięzieni zbierali do worków słomę, pióra, liście, śmieci z placu.

Około południa popędzono ich w kierunku Moszczan. Na górze, która nazywała się Moskaliwka, dostali szpadle. Mieli wykopać dół na zbiorowy grób. Panika. Płacz. Sześciu policjantów i ich komendant trzymało lufy nad głowami. Rodziny przyglądały się z daleka, ukradkiem, z lamentem. Kiedy dół był gotowy, nieszczęśników sprowadzono niżej. Rozkazano usiąść. Wtedy dano jedzenie i picie. Po kwadransie zakomenderowano: - Wstać. I maszerować! - Dopiero w drodze do Moszczan dowiedzieli się, że grób wykopali nie dla siebie, lecz dla ruskich i niemieckich żołnierzy. Zwłoki poległych rozkładały się po okolicy. Ruskich mieli chować zbiorowo, a Niemców pojedynczo.

Przydzielono go do grzebania Niemców. Każdy Niemiec musiał być pochowany według ścisłych reguł, w dole nie głębszym niż na pół metra. Odłamywano pół metryczki, którą żołnierz nosił na szyi, po czym przybijano ją do krzyża brzoźowego. Krzyże i trupy dowoziły furmanki. Smród niesamowity. Ciała owijano białym prześcieradłem, następnie płachtą brezentową - pałatką, i zasypywano. Na grobie kładziono hełm.

Pochowano dziewięciu Niemców i trzydziestu dwóch Ruskich. Tych ostatnich wrzucono do wspólnej mogiły. Postawiono na niej duży krzyż. A wieczorem wszystkich aresztantów, łącznie z Żydami, puszczono do domów.

"Odkupiłem winę za współpracę z Ruskimi aresztem i grzebaniem trupów" - pocieszał sam siebie. Nie mylił się, darowano mu. Po pewnym czasie w trybie natychmiastowym część jego kolegów i koleżanek otrzymała nakaz wyjazdu do Niemiec na roboty przymusowe albo do obozów pracy. On nie - pozostawał przy matce na gospodarce. Rodzina: wujkowie, ich synowie, córki, z liczącym się głosem we wsi i w organizacji ukraińskiej, wybroniła go znów z opresji, zagwarantowała "poprawę zachowania". Dostał nawet zawiadomienie, że może przychodzić na zebrania młodzieży. Przydzielono mu zadanie - pomoc przy obsłudze cerkwi. Zaszczyciono wybraniem do reprezentacji młodzieży, stojącej przy Mogile w Pikulicach w dniu jej wyświęcenia. Na kopcu: pięknie ułożona darń, ozdobne ogrodzenie i dwie chorągwie, powiewające po obu stronach krzyża, kilka wieńców cierniowych. Po tym, co przeżył, nie spodziewał się takiego zaszczytu.

## SS

Zapomniał o złu. Uczył się szewstwa, pomagał w gospodarstwie. Ale niespodzianie wezwano go do gminy w Laszkach. Za biurkiem ujrzał wójta - rolnika z wioski, aktywnego działacza ukraińskiego Dymitra Koziaka - i komendanta posterunku o nazwisku Małaszczak, Bojka. Większość policjantów pochodziła z Podkarpacia. Skóra mu ścierpła, gdy nakazano usiąść. Wypomniano, co robił za Ruskich. Zachował życie i zdrowie dzięki staraniom rodziny, ale nigdy coś nie bywa za nic. - Należy się jakaś wdzięczność, no nie? Jakieś wykazanie się, no nie? - naciskał Małaszczak. - Możesz wybrać: albo wojsko, albo policja. Gmina musi dać ludzi do służby. Jesteś wytypowany.

Bez wahania, wprost ucieszony perspektywami, zdecydował się na policję. Wysłano go do sekretariatu, napisano za niego podanie. Dodał życiorys. Podpisał. Wójt zaopiniował. Papiery poszły w ruch. A on do domu, rozradowany docenieniem, tym że może się przydać.

Dni mijały. Życie wlokło się nudnie. W końcu zapomniał, że podpisał jakieś papiery. Późną jesienią 1942 roku przyjechał do domu kuzyn, który ratował go z opresji przed Niemcami oraz swoimi, nauczyciel. Zawołał do sieni i wręczył niebieską kopertę. W jej górnym rogu widniały dwie litery: "SS". Jan wyjął pismo z koperty. Informowało ono w języku ukraińskim, że prośbę o służbę w policji załatwiono pozytywnie. Został przyjęty do SS - Schützen Batalion 204 w Pustkowie koło Dębicy. Stawiennictwo obowiązkowe do dnia 1 stycznia 1943 roku. Za uchylenie się od stawiennictwa - kara śmierci.

W domu lament, rozpacz matki, że zostanie sama na gospodarstwie, a los syna niewiadomy. Kuzyn obiecywał co prawda, że w policji ukraińskiej przejdzie szkolenie, otrzyma ładny mundur, będzie kimś: - Nie martw się - pocieszał. - Ale patrz, z kim rozmawiasz. Są oddziały Stefana Bandery i melnykowcy Andrija Melnyka. Organizacja Bandery walczy o wolność Ukrainy ponad wszystko i ze wszystkimi.

Ujrzał nowy obraz świata. Z Polakami ze wsi żył dobrze, także z tymi Ruskimi, co stali się raptem Ukraińcami. Nie czuł różnicy między ludźmi, nie miał o niej pojęcia. Dopiero, kiedy wyruszył w drogę do Pustkowa, dostrzegł zmiany. Niemcy, szczególnie gestapo i SS, stawali się panami, pogardzającymi innymi narodami. W samej Dębicy - duży ruch SS i policji. Nie tylko niemieckiej. Także polskiej w granatowych mundurach. Przemarsze, przewozy. Pociąg za pociągiem. Składy przeładowane ludźmi. Wojsko, czołgi. Na wschód! Transport więźniów, jadący w jego kierunku. W Łazach było spokojniej.

Dojechał na miejsce. I strach! Tak wielki, że o mało nie uciekł. Ale gdzież tam, ktoś na stacji wskazał kierunek. Po krótkim marszu zobaczył baraki drewniane, pobudowane wokół dużego placu, bramę z budkami wartowniczymi, wysuniętą w kierunku głównej szosy. Szosa ginęła w lesie. W bramie dwóch esesmanów: jeden sprawdzał samochody, drugi pieszych. Kilku młodych rekrutów pokazało wezwania. Wartownik kazał iść za sobą.

Wprowadzono go do baraku, do dużej sali, spełniającej funkcję jadalni albo świetlicy. - Cześć! - Obok siedziało z dziesięciu chłopaków takich jak on. Wszyscy głodni, zmęczeni podróżą. Po pół godzinie przyszedł podoficer w ładnym, niebieskim mundurze policyjnym, a z nim esesman. Podoficer spytał po ukraińsku dość wesoło, skąd pochodzą i dlaczego opuścili domy. Podobały się odpowiedzi: słowa o patriotyzmie albo chęci zrobienia kariery w policji czy wojsku.

"0"

Komisja lekarska, fryzjer, łaźnia. W magazynie otrzymał dwa koce, mundur roboczy i ćwiczebny. Wszystkie rzeczy były używane, zniszczone, w kolorze myszowatym. Mówiono, że belgijskie. Czarne owijacze zawijane aż do kolan - szkaradztwa. Zobaczył więźnia z Gwiazdą Dawida na rękawie. - Skąd się wziąłeś? - któryś z kolegów zapytał. Okazało się, że kilku Żydów pozostało do pracy po zlikwidowanym tu wcześniej obozie.

Został skierowany do pierwszej kompanii drugiego plutonu. Plutonem dowodził esesman w stopniu sierżanta, a kompanią kapral Lech. Pierwszą kolację przynieśli im ze stołówek do sal koledzy z wcześniejszego poboru. Różni, też Polacy. W tym czasie pierwszy pluton liczył około pięćdziesięciu ludzi.

Czuł się strasznie. Druty kolczaste wokół, podszept, że po przeszkoleniu trafi na front wschodni. Dyscyplina. Regulamin wisiał w każdym pokoju, a mimo to kapral Lech czytał go na głos co wieczór i ostrzegał, co wolno, a czego nie wolno robić. Komendy i rozkazy wydawano w języku niemieckim. Pobudka, gimnastyka, śniadanie. Wszystko w tempie. Przygotowanie do musztry, wymarsz i prawie cały dzień bojowych, nie policyjnych,

ćwiczeń. Uzbrojenie: karabin, bagnet, pas, ładownice, maski otrzymał razem z umundurowaniem. Bez amunicji oczywiście, za jej posiadanie groził sąd wojskowy.

Szkołący esesmani, przeważnie sierżanci, korzystali z pomocy ukraińskich podoficerów, znających język niemiecki. Niektórzy z tych podoficerów służyli wcześniej, na początku wojny, w wojsku polskim. Natomiast w sztabie dowódcą batalionu był kapitan Mikołaj Nykołyn - sotnik, melnykowiec, który przeniósł się z komendanturą ze Lwowa. W sztabie pracowali głównie oficerowie niemieccy z policji i jeden oficer z Armii Czerwonej, który popadł w niewolę. Nazywał się Danyluk, był majorem, a w Schützenbatalionie otrzymał stopień lejtnanta. Iskrzyło i tarło pomiędzy dowództwem a sztabem. Niemcy traktowali Ukraińców: i oficerów, i rekrutów poniżająco na każdym kroku. Podoficerowie SS nie oddawali honorów oficerom ukraińskim. Wszczynano alarmy po pijanemu. Znęcano się nad rekrutami na polu ćwiczeń. Skargi funkcyjnych Ukraińców wznęgały tylko agresję Niemców.

Żywiono nędznie. Na śniadanie: kawa zbożowa z sacharyną, jedna trzecia chleba żytniego, kawałek margaryny i łyżka marmolady. Trzeba to było podzielić na dwie porcje, żeby zostało na kolację. Wieczorem tylko kawa lub herbata. Na obiad: konina i brukiew najczęściej. W święta, obchodzone wspólnie na stołówce, podawano piwo, a do herbaty dolewano rum.

Po trzech miesiącach złożył przysięgę. Ceremonię prowadził major SS, jego słowa tłumaczył lejtnant Danyluk: *"Skladam wobec Boga tę świętą przysięgę iż wodzowi Niemieckiej Rzeszy i Narodu Adolfowi Hitlerowi, naczelnemu dowódcy sił zbrojnych, bezwzględnie będę posłuszny i jako dzielny żołnierz gotowy będę za tę przysięgę w każdej chwili życie swoje poświęcić"*. Z okazji uroczystości wydano jednolite mundury policji niemieckiej, ale przerobione, by różniły się od mundurów, noszonych przez Niemców. Miał więc swój mundur, no i "0" - wytatuowaną pod lewą pachą grupę krwi "0".

Krótko po przysiędze czterech szucmanów z drugiej kompanii zdezerterowało z bronią. Złapali ich koło Łańcuta żołnierze generała Andrieja Własowa, kolaborujący z Niemcami, i doprowadzili do sztabu. Uciekinierzy zostali rozstrzelani na przestrogę.

Zezwolono mu wyjechać na urlop. Po urlopie kolejne ćwiczenia. Dowiedział się, że nie pójdzie na front. Ulżyło. Miał za to zgłosić się ochotniczo do zawiązującej się w Pustkowie galicyjskiej dywizji Waffen SS. Przyjęła ona nazwę 14. Waffen - Grenadier - Division der SS, czyli Dywizji SS - Galizien, po ukraińsku "Hałyczyna" (*Galiczina*). Ochotnikom obiecywano awans na podoficera starszego i funkcję szkoleniowca. Ociągał się. Zgłoszeń prawie nie było.

#### Łagier opodal "Hałyćku Dywizju"

Pustków - to piaski i las blisko stacji kolejowej. Teren nieogrodzony, z tabliczkami zakazującymi wstępu postronnym. Baraki. Jedyna szosa biegła w głąb lasu. Od szosy do miejsc stacjonowania różnych formacji wojskowych: i Wehrmachtu z rakietami V1, i "Hałyćku Dywizju SS", doprowadzały leśne drożynki.

W dywizji "Hałyczyna" służyło wielu młodych z Łazów i innych wsi. Chodzili w nowych mundurach, lecz nie z Tryzubem. Na rękawie mieli żółtego galicyjskiego lwa z trzema złotymi koronami w niebieskim polu. Pozostałe odznaki - niemieckie. Według Jana jego koledzy czuli się zawiedzeni i oszukani z powodu braku prawa do noszenia symbolów niepodległej Ukrainy.

Pięć, a może siedem kilometrów od baraków, opodal jakiegoś zgrupowania SS, mieścił się łagier. Wyjaśniono mu, że to obóz pracy dla przestępców kryminalnych. Więźniów oznaczano różnymi trójkątami albo kółkami na plecach. Służbę w łagrze, do której

oddelegowano i jego, i innych Ukraińców, pełnił co drugi dzień. W skład trzyosobowej warty wchodził obowiązkowo jeden Niemiec.

W Pustkowie nauczył się mówić zupełnie niezłe... po polsku. W kuchni gotowały Polki, obok baraków pracowali junacy - Polacy. Wielu esesmanów rozumiało po polsku. Ukraińscy wartownicy chodzili do okolicznych wiosek. Zagadywali. Czuli już, że Polacy są im niechętni, ale z polskimi dziewczętami umawiali się jeszcze.

Pierwsza kompania drugiego plutonu SS - Schützen Batalion 204 trzymała wartę przy magazynach w lesie. A także przy składach amunicyjnych i zbrojeniowych. Poznał szefa magazynów, niemieckiego sierżanta, dwukrotnie rannego na froncie wschodnim, mówiącego wybornie po polsku, darzącego sympatią Ukraińców. Niemiec miał w magazynach swój kantor. Często w nim spał. - Jadę na przepustkę do domu - powiedział mu.

Sierżant ożywił się: - Poszperaj trochę za masłem, drobiem, jajkami. Rozumiesz?

- Jasne.

- Dam ci mój pistolet z kaburą. To dobra waluta.

Przywiózł z przepustki wszystko, co miał przywieźć, nawet w nadmiarze.

- Nikt cię nie zahaczył, gadaj - sierżant nie krył podziwu.

- Koledzy ze wsi zagadnęli, czy nie mam więcej broni i amunicji.

- I co?

- Powiedziałem, że tak. Ucieszyli się. Co pan na to, panie sierżancie?

- Ho, ho.

Ukraińskim szucmanom nie za bardzo chciało się chodzić w las i pilnować magazynów. On natomiast, z uwagi na znajomość z sierżantem, odbywał służbę chętnie, a nawet podejmował się zastępstw. Na przepustkę jeździł co drugą niedzielę. Ładował do plecaka amunicję, pistolety, lornetki, granaty. Ze wsi przywoził dla sierżanta kury, kaczki pieczone, wódkę. Handlował i na własną rękę. Z każdym, z kim wypadło. Za plecami sierżanta ukradł kilka pistoletów, też sporo amunicji do krótkiej broni. Parę razy sprzedał pistolety oraz kilka kilogramów amunicji Polakowi Heńkowi, którego poznał we wsi blisko Pustkowa. Heniek pracował w Stalowej Woli. Za broń przedstawił miłą dziewczynę. Zawsze dawał dobrą walówkę. A Jan, ciemny taki, cieszył się, więcej - nie rozumiał, że sprzedawana broń może być użyta przeciwko niemu.

### My, Ukraińcy

W końcu 1943 roku Schützenbatalion liczył ponad trzystu ludzi. Nykołyn awansował na majora. Szucmanów zaczęto wysyłać na obchody pobliskich wiosek z zadaniem pilnowania szos wokół Pustkowa. Do łagru nie mogli wchodzić ani rozmawiać z więźniami. Ani strzelać, no, chyba żeby więźniowie uciekali. Straszny widok: dwadzieścia baraków, druty kolczaste, wysoki płot, wieże wartownicze co ileś tam metrów. Silne reflektory na wieżach. Esesmani. Z esesmanem Czaplą, bardzo dobrze rozumiejącym po polsku, kwaterował obok łagru.

Kiedy w obozie utworzono komando pracy, ukraińscy szucmani stanowili jego obstawę. Bał się, gdyż o więźniach mówiono, że to zabójcy, bandyci, złodzieje. Dowodził esesman, przeważnie w stopniu podoficera: rozstawiał warty, wydawał dyspozycje i bił więzionych za byle błahostkę. Na czele komanda szedł kapo - dobrze zbudowany Polak, rozmawiający po niemiecku, wysoko uczony, wydawało się, elegancko ubrany w bryczesy, oficerki i świetnie skrojoną marynarkę. Nosił żółtą opaskę na rękawie, trzymał do tego długą pałkę nie od parady. Drugim kapo był wysoki mężczyzna, lekko kulejący. Jeśli ktoś mu podpadł, rzadko wychodził żywy. Niemcy traktowali kapo lepiej niż Ukraińców: w ich służbie, paradujących w ich mundurach. Bardzo to Jana dziwiło.

Twarze zmieniały się często, ludzi wywożono do innych obozów. Zapamiętał parę osób: jakiegoś inżyniera, jakiegoś prezesa mleczarni z Zamościa. Obserwował, do jakich granic podłości może posunąć się człowiek, aby mu się lepiej żyło, w ogóle żyło. Wśród więźniów rozpoznał swego sąsiada z Łazów, Mikołaja Cyprylę, syna krawca, studenta prawa, znanego we wsi z tego, że prznosił metrykę z cerkwi do kościoła albo z kościoła do cerkwi w zależności od sytuacji. W szkole był Polakiem, a gdy przyszli Niemcy - Ukraińcem. W Jarosławiu prowadził sklep komisowy, żył jak lord, handlował złotem z Żydami. Spotkał go pech, ktoś go nakrył i trafił do Pustkowa.

- Mogę zaręczyć, że my, Ukraińcy, żadnemu więźniowi nie zrobiliśmy krzywdy - stwierdza Jan Hałuszka. Szczerą prawdę chce Hałuszka przekazać synom: Andrzejowi i Bohdanowi. To jego prawo i prawda: - Niejeden więzień otrzymał pomoc. Kilku Ukraińców trafiło za to do więzienia albo na front. Ukraińscy szucmani odbierali listy od więźniów, wysyłali je do rodzin, przemycali niewielkie paczki za jakiś podarunek czy pieniądze. Nawet umawiali więźniów na spotkania z żoną czy rodzicami.

Minął rok służby w "szucmanszafcie". Przyzwyczał się. Z porucznikiem Danylukiem wszedł w układ - drób w zamian za przepustki do domu. Kontakty z więźniami i ich rodzinami przynosiły ekwiwalenty: tytoń, wódkę, papierosnice, zapalniczki. Handlował na całego. Tytoń, broń przywoził do Łazów, od chłopów brał świniaki, cielaki, nawet jałówki. Kolczyki zwierząt przepinał z dużych sztuk na małe, a z małych na duże, by duże sztuki ubić jako małe. W ten sposób kiwał rejestry weterynaryjne. Wyszachrowane mięso ładował do walizek, wiózł do Krakowa nawet i sprzedawał za obuwie czy ubrania. Rozzuchwalił się do tego stopnia, że w Łazach kupował jałówkę i bił ją w biały dzień. Mięso wiózł na targ do Radymna, mimo iż na Sanie stała straż niemiecka. Wykupywał pistolety od kolegów - szucmanów, aby zaszpanować na urlopie.

Spodobał się mu więzień Mikołaj Cypryla z Łazów, ten przynoszący metrykę. Cypryla zdobył poważanie u szucmanów z racji wykształcenia i został funkcyjnym. Dzięki temu odżył. Zaczął namawiać do opanowania obozu i ucieczki za San do znanych mu oddziałów Armii Krajowej. Obiecywał, że AK przekaże Ukraińców do UPA, jeśli wyrażą takie życzenie. Łagru pilnowało przecież tylko dziesięciu esesmanów. Tajne spotkanie odbyło się w ziemnym bunkrze. Przyszło piętnastu szucmanów. Jan przewodził. Czuł się najodważniejszy dzięki handlarskiemu procederowi. Nastroje sprzyjały. Wydawało się, że w UPA będzie lepiej niż u Niemców.

Nic z tego nie wyszło, bo skierowano go do strzeżenia więźniów, pracujących przy budowie strzelnicy w lesie. Warował, a w chlebaku trzymał list do przemycenia i paczuszkę od jakiejś pani z Zamościa, z którą zetknął się w Pustkowie. Kazał przywołać adresata. Dla niepoznaki więźniowie zamienili się stanowiskami pracy. W chwili przerzucania paczki przez ogrodzenie wyszedł z lasu esesman. - Halt! - Wszystko widział, zaarrestował Jana. O właścicielu paczki mówiono później, że wywieziono go do Auschwitz.

Areszt mieścił się w baraku, wkopanym w ziemię. Takich baraków - więzień było w lesie wiele. Osadzano tam szucmanów za kontakty z więźniami. Esesmani robili im kocowę, bili pasami za brak lojalności.

Śledztwo prowadziła prokuratura wojskowa. Miał powody, aby się bać - po jego aresztowaniu zarządzono rewizję, znaleziono amunicję w salach i wokół baraków. Po dwóch tygodniach zebrał się sąd wojskowy: trzech esesmanów i porucznik Danyluk jako tłumacz. Nie znając niemieckiego, poprosił o Danyluka, choć wiedział, że funkcję tłumacza pełnił ktoś inny. Groziła mu wysyłka na front albo dwa lata "Montelupy", czyli więzienia na Montelupich w Krakowie. Ale porucznik bronił go dobrze, mocno i pewnie, mając na uwadze własną skórę. Wyrok brzmiał: siedem tygodni ścisłego aresztu za niedozwolone kontakty z więźniami. Nie wyszło na jaw, że handlował bronią. O dziwo, przepadła też gdzieś notka, że pełnił wartę przy magazynach amunicji.

Barak aresztancki, usytuowany trzy kilometry od batalionu, składał się z pięćdziesięciu dwóch cel po obu stronach długiego korytarza. Na zewnątrz wystawały jedynie małe piwniczne okienka z kratami. Do ogrodzenia z siatki - dwa metry. Wartownik chodził poza ogrodzeniem. W małych celach: prycza z desek, składana do ściany, i taboret. Jego cela numer dwadzieścia cztery wydała mu się niezła, gdyż rozłożona prycza blokowała drzwi. Esesmani nie mogli więc wtargnąć w nocy z kocem. W tym czasie siedziało w baraku kilka osób z krzyżykami na drzwiach, czyli z karą śmierci. W czwartym tygodniu aresztu nie mógł chodzić.

### Kula w brzuch

Po odbyciu kary chorował, długo wracał do zdrowia. Nie dano mu urlopu ani przepustki, pozbawiono wart przy więźniach. Zauważył ogromne zmiany. Zdrowych i hardych esesmanów, którzy go "ćwiczyli", wysłano w bój. Ich miejsce zajęli żołnierze ranni na froncie. Wielu więźniów wywieziono do innych łagrów, między innymi Mikołaja Cypryłę. "Hałyćku Dywizju" przegrupowano. Wieść o biciu Niemców na łeb i szyję nasilała się z każdym dniem. Przybywający z frontu nie ukrywali, że "Hitler kaputt". Armia niemiecka upadała na duchu, a tym bardziej oni - zbierani żołnierze: Ukraińcy, Czesi, Francuzi, nawet Litwini. Dochodziło do starć na tle narodowościowym. Więzień - Polak zabił szucmana - Ukraińca jego bagnietem. Uciekającego zastrzelił inny Ukrainiec... Do tego nasiliła działalność polska partyzantka. Zdarzały się coraz częściej udane sabotaże z jej strony.

Wywieziono go z kompanią gdzieś w las, daleko od Pustkowa, w celu zasadzenia się na partyzantów od strony jakiejś wioski. "Leśni" rozpoznali te zamiary, gdyż wpierw wycofali się, a potem zaatakowali niespodziewanie podczas powrotu kompanii do koszar. Kule świszczwały. Jedna z polskich kul raniła go ciężko w brzuch.

Przytomność odzyskał w szpitalu wojskowym w Krakowie po trudnej, dwuipółgodzinnej operacji. Okazało się, jaki świat mały. Na korytarzu dostrzegł kolegów z Łazów, którzy wymigując się od SS, zaciągnęli się do służby banszuckiej na stacji towarowej w Krakowie. Napisał list, aby odwiedzić go w szpitalu, ale nie przyszli, bo wyjechali już do domów.

Duże bóle, sztywniejące nogi, strach, że nie będzie chodzić, ścisła dieta. Szpital przepełniony rannymi, żołnierze bez rąk, nóg, oczu. Znienawidził wojnę. Ranny żołnierz dostawał legitymację i odznakę. Wręczano też hełmy: za pierwszą ranę - hełm czarny, za drugą - srebrny, ranny trzy razy otrzymywał hełm złoty. Lekarz w stopniu kapitana, Włoch z pochodzenia, ten, który go operował - poza tym lekarze ukraińscy ze Lwowa - wszyscy oni potwierdzili pogłoski, że Niemcy przegrywają wojnę. Że uciekają, a Ruscy nie oszczędzają ani jednego Ukraińca. Ukraińców rozstrzelują jako zdrajców.

Załadowano go do pociągu i wywieziono na dalsze leczenie do Breslau. We Wrocławiu brakowało łóżek, więc dotarł do miejscowości Ludwigsdorf (dziś Łodygowice), do jakiejś szkoły, przemienionej w szpital rehabilitacyjny z pięćdziesięcioma łózkami i jednym lekarzem. Jeszcze w Krakowie pewien ciężko ranny oficer policji podarował mu nowy mundur, czapkę, a także pas z kordzikiem - ponadto przy wypełnianiu dokumentów wyjazdowych podał, że jest starszym sierżantem - występował więc w Ludwigsdorfie jako elegancko ubrany starszy sierżant z czarnym hełmem. Z uwagi na ból nogi chodził z laską. W młodzieńczej wyobraźni dodawała mu ona godności i bohaterstwa.

To był raj w porównaniu do tego, co przeżył. Miał dwadzieścia lat, oglądał się za dziewczynami. Niemek unikał; wiedział, że za romans z Niemką czeka go kula w łeb. Poznał kilka osób, pochodzących ze wschodniej Ukrainy, także kilka Polek. Znajomi ci odnaleźli dziewczęta z jego wsi, które pracowały przymusowo w fabryce amunicji w Ludwigsdorfie. Nie do uwierzenia. Radość. Jedna z dziewcząt nazywała się Maria Koziak, jej koleżanka -

Kasia. Powiedziały, że w Łazach rozeszła się wieść o jego śmierci. Ktoś widział nawet, gdzie i kiedy zginął. Pomyślał o matce i o tym, jak straszna to dla niej wiadomość.

Nie zamierzał wracać do Pustkowa, do Batalionu 204, chciał do domu. Panował chaos i bałagan, nie prowadzono ewidencji, mógł decydować o swoim losie. Zwlekał z decyzją, no bo czuł się świetnie z chorobą. Nie strzelano, bomby nie spadały, miał co jeść. Aż się przeliczył. Rozkazem komendantury załadowano go i innych rekonwalescentów do pociągu i wywieziono do Tyrolu. Szedł górami z pięknymi widokami. Zachował w pamięci mundur przewodników - leśników: zielony kapelusz z piórami, zielony uniform, długie skarpety, sznurowane buty, do tego strzelba i róg. Na końcu marszu znajdował się ośrodek leczniczy, zapelniony po brzegi chorymi. Wróciła tęsknota za domem, za matką.

#### Na rozdrożu

Dobrał mundur, buty, czapkę. Wojacy oddawali wszystko, co mieli wojskowego, i to za darmo, skoro Hitler rozbity. Wystrojony, w stopniu starszego sierżanta, z odznaką na piersi, poprosił o wypisanie z tyrolskiego ośrodka. Nie napotkał trudności. Przy szerzącej się panice, nerwowości, brakujących miejscach w szpitalach dla rannych Niemców uciekano na zachód, on tymczasem wracał na wschód, pod linię frontu, bliżej domu. Myślał nieskomplikowanie, że wróci do domu, przebierze się po cywilnemu i będzie żył. To wszystko.

W cichym i spokojnym Krakowie, do którego dojechał, czuło się wzmożoną aktywność polskiej partyzantki. Zamiar wyprawy na wschód upadł, bo Armia Czerwona przesunęła się daleko za Bug i zajęła Łazy. Poszedł do komendy niemieckiej, gdzie dano mu adres Schützenbatalionu 205 i 206. Jeden mieścił się niedaleko Krakowa - w Płaszowie, drugi - w Nowym Sączu. W Batalionie 205 zastał błoto wokół baraków, brud, kompletny rozkład. W sztabie pozostało kilku oficerów ukraińskich. Trafiał na lejtanta Danyluka. Także na doktora Rajcę - lekarza z Pustkowa. Ucieszył się. Ale oficerowie ci nie wyglądali na radosnych.

- Pójdę do lasu - powiedział Danyluk.

- Do Polaków?

- No, a do kogo?

- A jak wejdą Ruskie?

- Polacy zaświadczą, że zaopatrywałem ich w broń.

- To wystarczy?

- No. A co? Ty też chodź ze mną. Nic ci się nie stanie. Polacy wiedzą, że Niemcy tworzyli szucbataliony nie tylko z Ukraińców, ale i z Polaków, Litwinów, Białorusinów.

Danyluk ofiarował zgrabny pistolet, pas, odzież oficerską. Strach czaił się jednak w jego oczach. I Jan nie uwierzył - przekłety Niemiec wzniecił nienawiść między narodami, nawet między samymi Polakami, a co dopiero między Polakami a Ukraińcami.

- To ja jadę do Nowego Sącza - orzekł doktor Rajca.

- Do Batalionu 206? To ja też!

W pociągu - ranni żołnierze, rozmawiający po polsku, po czesku. Może poprzebierani polscy partyzanci? Mało Niemców. Z doktorem Rajcą otworzyli konserwę, przegryźli sucharem. - Znajdź mądrego, który wie, co nas czeka.

Wyrwał ich z drzemki głos na peronie: "Nowy Sącz!". Wyszli. Doktor Rajca rozejrzał się i powiedział nagle: - To cześć, trzymaj się! Mam inne plany. Żegnaj! - I poszedł.

Oniemiał. Został na peronie sam. Nie był w stanie wymyślić nic innego, jak zgłosić się do sztabu batalionu.

W sztabie - policja niemiecka w niebieskich mundurach. Ani krzykliwych i zarozumiałych esesmanów, ani gestapo. Znośnie. Bez chodzenia defiladowym krokiem i

salutowania jak w Batalionie 204 w Pustkowie. Tam to esesmani zarządzali śpiewanie "Heili-heila" przy obiedzie, a gdy szucmani ociągali się, tłukli ich, aż zaśpiewali.

W "206" ani jednego Ukraińca w sztabie. Dwie sekretarki tylko znały dobrze język ukraiński i polski. Dowódca - major - nazywał się Maślanka. Szczupły, wysoki, elegancko ubrany, frontowy - należało sądzić po odznaczeniach. Wykształcony i inteligentny. Przydzielił go do pierwszej kompanii "szucmanszaftu" z siedzibą w gmachu Starostwa Nowego Sącza. Stopień starszego sierżanta nie wzbudził podejrzeń przy wpisie do ewidencji. Pierwsza kompania, mająca za zadanie chronić miasto i walczyć z partyzantką, liczyła ze sto osób i składała się w większości z mieszkańców Podlasia, powiatu lubaczowskiego.

### Igły w kręgosłupie

Na dzień dobry wycięto mu wyrostek robaczkowy, a po szpitalu major Maślanka wziął go na swego ordynansa. Mieszkanie majora znajdowało się w centrum miasta, w gmachu Starostwa, na pierwszym piętrze, składało z czterech pokoi i kuchni. Trafił nieźle. Dostał pokój obok pokoju majora. Maślanka żył z sekretarką, podobnie jak jego zastępca, porucznik Wenta, mający za ordynansa szucmana Wasyla Czajkę. Nie tylko sprzątał pokój po majorze i jego pani, czyścił buty, ale stawiał się na każde zawołanie. Ścielił łóżka, prasował, gotował to, co życzyła sobie gospodyni. Obiady jedli wszyscy w stołówce. Major okazywał mu sympatię, wysłał nawet na kurs gotowania i pieczenia.

Pewnego dnia spotkał kolegę - szucmana z Batalionu 204, z tego samego plutonu. Nazywał się Krynicki i pochodził z Krynicy. Podczas ewakuacji z Pustkowa uciekł do domu, ale długo tam nie namieszkał. Wolał wrócić do służby, gdyż w okolicy Krynicy działała silna partyzantka polska. - Ty i starszy sierżant? Muszę to zgłosić. No, chyba że zapłacisz - Krynicki zaszantażował. Nie uległ. Czuł się pewnie jako ordynans majora, dyscyplina upadała, sądził, że nikomu nie zechce się dochodzić prawdy. Pomylił się jednak, bo wezwano go do raportu. Szef sztabu Wetz zerwał mu pagony i wydał rozkaz wcielenia do kompanii w stopniu szeregowca. Pomógł major Maślanka i rozkaz zmieniono. Przestał być co prawda ordynansem, lecz pozostał w pierwszej kompanii... jako starszy sierżant, dowódca drugiego plutonu.

Front zbliżał się coraz bardziej. Nikt nie dezercerował, no bo gdzie pójść? Szucmanów zabijano w mieście także na służbie wartowniczej. Do Nowego Sącza przybywali przeróżni uciekinierzy z terenów wschodnich, ukraińscy policjanci - starzy znajomi z Laszek, którzy kiedyś częstowali go nahajami za urzędowanie za Ruskich. Widział nawet własowców, uzbrojonych w ruską broń, w ruskich mundurach, czekających na przerzut. W mieście stała cerkiew greko - katolicka. Zwrócił się do sztabu z pomysłem na podniesienie stanu ducha. Odtąd w każdą niedzielę wiódł ze śpiewem pluton, a nawet całą kompanię, ubraną jak na paradę, do cerkwi na nabożeństwo.

Pewnej niedzieli, gdy z kolegą szykował się do wyjścia z pokoju, uchylły się drzwi, a po podłodze potoczył się granat. Zdrętwieli z przerażenia. Kolega nie stracił zimnej krwi, chwycił granat i wyrzucił na korytarz. Wybuch wstrząsnął ścianami, na korytarzu ranny został komendant warty z ochrony Starostwa. Śledztwo wykazało, że to on wrzucił granat. Komendant i cała straż, gdzieś z dwunastu ludzi, mówili po polsku, twierdzili, że są Polakami, nie utrzymywali żadnych kontaktów z szucmanami. Chodzili w porządnym mundurach, na wyposażeniu posiadali broń krótką i karabinki belgijskie. Dlaczego komendant chciał ich zabić? Co się stało z nim potem? - Jan nie dowiedział się. Szczerą prawdę podaje synom: Andrzejowi i Bohdanowi.

Na początku 1945 roku kolumna samochodów wraz z obstawą wyruszyła z Nowego Sącza do Krakowa po zaopatrzenie odzieżowe i prowiantowe. Poprosił o zezwolenie na ten wyjazd, by wypatrzyć dobre ubranie dla siebie. W Krakowie skombinował ładny kożuszek,



ciepłe rękawice i buty. W drodze powrotnej, gdzieś czterdzieści kilometrów przed Nowym Sączem, spotkali zwiad, jadący im naprzeciw. Dowiedzieli się, że ich batalion został w całości skierowany na front. Oni więc - z prowiantem i mundurami - też na front!

Niebawem ujrzeli swój batalion w szyku: przyczółki, uzbrojenie, hełmy, maski, wozy sanitarne. Poczuli igły w kręgosłupie. Linia frontu biegła wzdłuż Dunajca. Wyznaczono dla nich odcinek długości około trzech kilometrów. Wcześniej wycofali się stamtąd Niemcy. Z dowódcą batalionu, majorem Maślanką, i sztabem, ulokowanym z dala, poza linią frontu, utrzymywali łączność jedynie telefoniczną. Ostra zima - śnieg i mróz przeszywał. Strach ogromny. Każdy z nich chętnie rzuciłby broń, by przeżyć. Ale Ruscy nie dawali życia. "Izmiennik rodziny" i kula w łeb!

Batalion składał się z około stu osiemdziesięciu żołnierzy. Zajęli dobrze zbudowane okopy: na zachodnim brzegu Dunajca, z osłoną leśną i możliwością cofnięcia się w chaszczę. Chodzili na zwiad przez zamrożony Dunajec. Dzień w dzień dostarczano im suchy prowiant, do tego ćwiartkę wódki. I tak przez sześć tygodni bez zmiany. Nie wiedzieli, o co walczą. Przestrzelali broń maszynową. Wystawiali silne straże nocne. Podejrzane i ruchome cele ostrzeliwali z ciężkich karabinów maszynowych. Podobnie robili Ruscy po drugiej stronie rzeki. W tej walce pozycyjnej kilku szucmanów zostało zabitych i rannych.

Ruska armia nie omieszkiwała demonstrować siły - mogli dojrzeć, że za Dunajcem stoi wielka masa wojsk, trwa przegrupowywanie. A Niemcy czekali. Nie reagowali. Co jakiś czas ktoś wpadał w panikę w kompanii i alarmował sztab. Rozkazy brzmiały zawsze jednako: ani metra w tył, przyjąć walkę. Zamieszanie kończyło się wtedy na mniejszej czy większej strzelaninie.

Nie pamięta dokładnej daty styczniowej, ale stało się to rankiem, o godzinie czwartej. Ogromny ruch. Trzask łamanych drzew i zgrzyt czołgów. Przez telefon krzyczano o szybkiej podmianie, wsparciu artyleryjskim i lotniczym. Rozkaz: utrzymać pozycje, strzelać! Śmieszne. Wsparcia lotniczego nie zauważył na linii frontu. Stali z rzadka, co kilka metrów żołnierz od żołnierza. Natarcie okazało się natomiast tak wielkie, że na każdym metrze atakowało dziesięciu Ruskich i dodatkowo kilka czołgów. To była ta ofensywa, która ruszyła ich z miejsca, a Niemców cofnęła aż do Berlina.

### Aby dalej

Ziemia trzęsła się od katusz i artylerii. Maskowali się w śniegu przed ruskimi samolotami, ubrani w białe mundury z kapturem. Aż wzięli nogi za pas. Uciekali, uciekali cały dzień na północ. W trzydziestu dotarli do jakiejś wiejskiej kolonii. Weszli do sieni domu, oświetlonego lampą naftową. Samotna staruszka, nic do jedzenia. Złapali świniaka we wsi. Mięso upiekli, w części ugotowali. Front pozostał daleko za nimi.

Skoro świt ruszyli. Szosa na Bochnię ugięła się pod kolumnami wojsk niemieckich. Pojazdy blokowały się wzajemnie, zgiełk, jęki rannych. Odbili w bok i zaczęli przedzierać się w kierunku południowo-zachodnim. Ścigali ich nie tylko Ruscy samolotami na niebie, lecz także z południa, od szosy - polscy partyzanci. Utrwalił mu się w pamięci atak grupy partyzanckiej, dowodzonej przez kobietę. Tak? Dali radę, bo pomogli Niemcy, którzy skierowali broń maszynową z samochodów w kierunku lasu. Strzelał, celnie? Na wojnie to Pan Bóg kule nosi.

Trzymał się blisko dowódcy grupy, Austriaka Ufnala. Zobaczył na szosie żandarmerię polową, zatrzymującą rozbitków i formującą z nich jednostki na front. Razem z dowódcą odłączył od grupy i ukrył się na kilka dobrych godzin. Tylko że po południu Armia Czerwona przecięła linię frontu po przekątnej, zamykając niedobitków w trójkącie, sama zaś poszła dalej. Ufnal poległ, a on - osaczony w klinie - czekał na śmierć.

Na górcie stał ładny, duży kościół z czerwonej cegły. Podszedł bliżej, w białym mundurze, z bronią ręczną. Na podwórzu pojawił się ksiądz. - Niech będzie pochwalony... Uciekłem, muszę się przebrać... - Ksiądz wprowadził go na plebanię. Pozwolił zdjąć buty, wymoczyć odparzone nogi, ogolić się, umyć głowę. Nie miał tylko ubrań cywilnych. - Bóg zapłać! - O zmroku ruszył dalej, na południe, w kierunku wsi. Podszedł do pojedynczego domu, z prawej strony drogi, zapukał: - Jestem Polakiem, uciekłem od szucmanów, muszę się przebrać. - Nie przebiorę, iść dalej! - zza drzwi odezwał się starszy mężczyzna. - Widzisz oborę niedaleko, tę murowaną? - wychylił głowę. - Tam mieszka agronom. On cię przebierze.

Agronom był starszym, szczupłym mężczyzną o czarnym zarostcie. Bez wahania otworzył komodę, podał spodnie, marynarkę. Butów nie znalazł. Potem podniósł klapę w podłodze, prowadzącą do piwnicy. - Schodź, szybko! - nakazał. W piwnicy ciemno. Przy ścianach siedziało mnóstwo ludzi. Wszyscy milczeli. Kobiety modliły się.

Po pół godzinie rozpoczęła się strzelanina. Szło ruskie wojsko. Słyszał wyraźnie jak co rusz kolejni żołdaci wchodzili do sieni i pytali gospodarza: "Paliak, Germańców niet?". Ten odpowiadał ze spokojem: "Panowie, nie ma".

Zasnął ze zmęczenia. Obudził go gospodarz i kazał wyjść. Rozejrzał się - został w piwnicy sam. Okazało się, że spał całą noc i cały dzień.

- Jak masz na imię?

- Jan.

- No to, Janku, wzuj trzewiki. Bosego to cię nie pokażę rodzinie.

Weszli do domu. Tam żona, trzy córki. Przywitał się. - No, gospodyni, podaj coś na stół. - Podjedli. A córki: czarnule, dwie dorosłe, ładne panny, a trzecia malutka, łypały na niego oczami.

- Będę ci mówił "Janek", a ty mnie "tatuś" jak do ojca. Rozumiesz? Mój syn w lesie, więc tak najlepiej.

Rozparł się wygodnie na ławie. Cieszył się, że dopisało mu szczęście.

- Wiesz, Janku, pojutrze przyjdą partyzanci, narzeczeni córek. To wezmą ciebie do lasu.

Wstrzymał oddech. Balon szczęścia pękł. Uciekać, ale gdzie? Więc nie drgnął i został.

### Poprosił o broń

Wieczorem usłyszeli krzyki i strzelaninę na podwórku. To Ruscy przyszli na kwaterę. Prowadzili ze sobą bryczkę, pewnie z jakiegoś majątku, dwa konie i jedną krowę. Dowodzący major - Rosjanin, lejtnant - Białorusin, młodszy lejtnant - Ukrainiec. Pozostali czterej żołnierze pasowali na Ukraińców z okolic Zaleszczyk, ponieważ proponując sprzedaż koni i krowy, targowali się tamtejszym zaśpiewem. A krowa duża, ładna - Jan wiedział, że tanio jej nie oddadzą. Przejął inicjatywę. Za trzy litry wódki wykupił krowę i jednego konia. Potem poradził domownikom wyprowadzić go daleko. Znał postępowanie żołdatów, szczególnie wtedy, kiedy wypijają. - Uciekajcie z domu! - polecił wszystkim kobietom.

Ciężko upływała ta noc. Podpici żołnierze szukali kobiet. Nie znaleźli. Zaczęli szarpać się między sobą, ktoś wystrzelił, Białorus trafił Ukraińca w rękę - dopiero po tym uspokoił się. Zaopiekował się rannym. Kiedy rano wróciła gospodyni, wspólnie ugotowali coś do jedzenia. Raptem - wpadł do nich sąsiad z Kolonii. Przerażony, słowa więzły mu w gardle. Wykrztusił, że w jego stodole Niemcy. Grupa Niemców, uzbrojonych po zęby, z karabinem maszynowym, ukrywa się, przetrzymując rodzinę: żonę i małe dzieci.

Żołdaci ocknęli się. Podumali. Po naradzie postanowili wycofać się do ruskiego sztabu i większą siłą uderzyć na wroga. Jan - wstrzymując ich na chwilę - poprosił o broń i granaty. Dali! Pepeszę, dwa granaty. I poszli. Rannego druha zostawili.

Włożył czapkę gospodarza, płaszcz, pod połą schował automat. - Prowadź - powiedział do sąsiada z Kolonii. Ruszyli. Gdy doszli pod dom, zajrzeli przez okno. Żona trzymała dziecko na rękach, jedenastu mężczyzn: zmarzniętych, ponurych, przestraszonych podjejmowało buty, aby ogrzać nogi i onuce. Broń leżała na stole.

Sąsiad wywołał rodzinę na zewnątrz. Wtedy Jan gwałtownie otworzył drzwi do izby i puścił serię z automatu nad głowami Niemców. Z piorunującym skutkiem. Zanim krzyknął: "Hände hoch!", hitlerowcy trzymali ręce w górze. - Ja Czeskosłowak, ja komunist! - wołał jeden. - Ja Francuz! - drugi. Nie słuchał. - Broń na podwórze! - wydał komendę gospodarzowi. A Niemcom: - Anziehen! Buty wzuwać. Ja też byłem "dojczce soldat", a teraz jestem "partyzant"!

Później okazało się, że dwóch Niemców mu uciekło. Lecz dziewięciu rozbroił! Strzały zwabiły rosyjskich żołnierzy. Widzieli, jak wyprowadzał Germańców, a gospodarz zabezpieczał broń. Podbiegli, by ściągnąć z nich kożuszki i rękawice. Nie pozwolił. Chcieli Niemców rozstrzelać, tak jak wszystkie inne mniejsze grupy. Nie dał! Zabronił szperać w kieszeniach i kraść. Młodszy lejtnant, ten Ukrainiec - czerwonoarmista, ranny w rękę w nocy, poparł go. Razem ustawili jeńców w rzędzie i pod pepesami poprowadzili do sztabu. Od razu nazbierało się wokół wielu ludzi. Poprosił ich o jedzenie dla zatrzymanych. Przyniesiono kilka bochenków chleba.

Sztab mieścił się w majątku, położonym trzy kilometry dalej. Z wiekowego dworku wyszedł oficer - pułkownik, by przyrzeć się aresztowanemu. - Do stodoły z nimi! - zdecydował. W stodole, w wielkiej ciasnocie i smrodzie, siedziało kilkuset Niemców.

Jan oddał broń. Czuł, że los mu sprzyja, że wykaraska się z matni. Nadzieje przeszły oczekiwania - przyjęto go jak bohatera. Rosyjski pułkownik nakarmił, poczęstował nalewką, wyszukał dobre buty i odzienie. Potem zapytał: - Szto ty budiesz dziełać w nastajaszczyj moment? - I zaraz: - Nu, a ty, kto ty jest?

- Uciekłem z robót u Niemców. U agronoma pracowałem na gospodarstwie.

Opowiedział to, co wymyślił podczas prowadzenia jeńców. Potem wyjawiał w rozmowie, że pochodzi z Łazów, jest synem Dymitra i Eufrozyny z domu Doskocz - wszystko po to, by wydano mu prawdziwe dokumenty, by mógł bezpiecznie wrócić do domu.

- Nu, wot gieroj! Bij Germańca wmiestie z nami!

- Do matki muszę.

Pułkownik osobiście wypisał atramentem wszystkie dane. Podał, że Jan to bohater, który wyeliminował z walki dziewięciu uzbrojonych hitlerowców. Wystawiony dokument dawał prawo powrotu do domu bez zatrzymywania i do pomocy wojskowej oraz cywilnej w drodze w sprawie wyżywienia czy noclegów. Na dużej kartce widniały dwie pieczęcie: jedna duża - okrągła, druga - podłużna, oraz dwa rzędy druku.

Wracając z frontu łudził się jeszcze, że będzie jak dawniej między Ruskimi, Ukraińcami z jego wsi, Białorusinami, Polakami. Czyli gościnnie i serdecznie. Na głównej szosie między Bochnią a Dębicą zatrzymał ciężarówkę wojskową. Żołnierz z opaską na rękę zażądał dokumentów. W Dębicy nocleg. Różni ludzie szli w różne strony, jechali wozami. Różnie mówili. Rozmawiał z Polakami, uciekającymi zza Sanu - z sympatią, mową śpiewną, z której przebijała wschodnia szczerłość. Dowiedział się wtedy, że z Armią Czerwoną idzie na zachód polska armia, a granicę wykreślono znów na Sanie. Natknął się na dziewczynę, która pracowała w stołowce Batalionu 204 w Pustkowie. Zadrzał, ale nie poznała go. Spał z kimś, kto jechał z Przemyśla i był dwa razy rozbierany w poszukiwaniu tatuaży. Włosy stanęły dęba - miał przecież "0" pod lewą pachą. Przysty złudzenia.

### Jedyne wyjście - UPA

Po czterech czy pięciu dniach dotarł do Jarosławia. Niewygodne buty, silny mróz - odparzone na froncie nogi odmawiały posłuszeństwa. Głód. Poszedł na rynek, kupił tytoń, zapalki. Słabł ze zmęczenia.

Dostrzegł szyld sklepu: "Pszczółka". Sklep ten założył przed wojną Stefan Charysz, syn jego matki chrzestnej. Charysz przeniósł metrykę z cerkwi do kościoła, więc sklep był teraz polski. Charyszowie w "kooperatywie" handlowali w Łazach wszystkim, a Jana traktowali jak członka rodziny. Wstępował do nich na przepustkach z "szucmansaftu".

- Jan? - ledwie słyszalnie wyszeptał Charysz na jego widok. - Szybko, wejdź na zaplecze.

- To ja... - nie wiedział, jak się zachować po takim powitaniu.

- Siedź, czekaj i pod żadnym pozorem nie wychodź - Charysz wycofał się pośpiesznie za ladę.

Po paru minutach weszła Charyszowa. Przywitała się serdecznie. - Przyniosłam ci ubranie, płaszcz, kapelusz, świeżą bieliznę. Przebierz się, a potem weź worek na plecy, rozumiesz?, dla niepoznaki, i idź za mną.

W domu wyjaśniła: - Ruski łapie Ukraińca i rozstrzeliwuje, że nie poszedł do jego wojska. Młodzi uciekają do lasu. Nie ma wyjścia. Są polskie bandy "Wołyniaka" i "Bruchnała", napadają na wsie, rabują i mordują, trzeba się bronić. Z jednej strony bandy, z drugiej ruskie wojsko. Człowiek niepewny każdego dnia. Nie wiem, co poczniesz.

Też tego nie wiedział. Był przestraszony i zmęczony, położył się i zasnął. Obudził się następnego dnia po południu.

Decyzję podjęli za niego Charyszowie. Stefan Charysz przeprowadził się co prawda z rodziną z Łazów do Jarosławia, jego brat Wasyl i matka mieszkała w podmiejskich Misztalach, ale cała rodzina Charyszowej - nadal w Łazach. Charyszowa złapała okazję i pojechała do Łazów. Zawiadomiła jego matkę, która - po cudownej wieści - mdlała, chciała iść do niego, do Jarosławia, na piechotę. On siedział tymczasem i słuchał, co opowiadał Charysz: - Pełno tu band rabunkowych. Napadają na powracających z Niemiec Ukraińców. Mordują rodziny, które jadą furmankami. Jedyne wyjście dla ciebie to partyzantka, Ukraińska Powstańcza Armia!

Weszła matka. Płacz, radość. Potem - Charyszowa z ciotką Workunką. One obie ułożyły plan działania. Ukryto go na wozie obok konającej rzekomo matki. Przykryto pierzyną, kocem, tobołami, spod których widać było jedynie głowę chorej. I ruszono w drogę do Łazów. Na każdym zakręcie drżeli. Mniej bali się wojska i milicji niż rabusiów.

Do mostu na Sanie dotarli przed zmierzchem. Za rzeką ruch zmalął. Konie przyspieszyły, czując bliskość domu. Przed Moszczanami, ogrodzonymi wysokim murem ze szpikulcami i drutem kolczastym, oświetlono ich raptem. - Stój! Złazł! - chmara ruskich żołdaków obstała wóz. - Konie, pawozki bieriem. - Szczęściem jakimś dołączył do grupy żołnierz starszy stopniem. - Puść, pajedom! - przepuścił, dając wiarę pojękiwaniom matki.

W domu - stojącym blisko głównej szosy z Laszek do Radymna, w pobliżu mostu na rzece Szkło - ukryto go w stodole. Pod podłogą znajdował się półtorametrowy wykop, mogący pomieścić ze trzy osoby. Wieko w klepsku maskowano słomą. Dołączył do ukrywającego się tu przed Sowietami wujecznego brata - kuzyna, pracującego w Łazach jako nauczyciel. Kuzyn - odcytany, z autorytetem też i w okolicznych wioskach - jako dobry muzyk prowadził chór w "Proświcie". Słabo widział, był krótkowidzem. Od gimnazjum w Przemyślu należał do ukraińskich organizacji niepodległościowych oraz mocno politykował. Posiadał broń: automat MP i nowy pistolet - "dziewiątkę", którą Jan przywiózł mu kiedyś z "szucmansaftu" w darze.

Milicja z Laszek, która patrolowała Łazy, nie zachodziła do domu. Tylko jeden milicjant Franciszek Zazulka nie dawał za wygraną. Wstępował i zagadywał. Dawniej dobry kolega: u Jana spał, jadł, na zabawy chodził, kiedy ten przyjeżdżał jako szucman. Nie miał ojca, więc "znajdą" go nazywali, a matka biedna, Polka, tłumaczyła, że ojciec Franka był Ukraińcem. Jan wyratował go nawet przed robotami w Niemczech, płacąc komu trzeba. Po co Zazulka zachodził, zagadywał, skoro Jan uchodził za zmarłego, nie żył według nawet dalszej rodziny? W każdym razie kryjówki nie wywahał.

### Na Tryzuba

Na przełomie stycznia i lutego 1945 roku kuzyn - krótkowidz objaśnił sytuację: AK walczy z komunistami, ruska partyzantka działa na tyłach frontu niemieckiego, a jej część bije się z UPA i AK. UPA wyzwala Ukrainę spod zaboru. UPA walczy z Niemcem, bo Niemiec zdradził niezależną Ukrainę, którą głosił Bandera. UPA walczy z Ruskim, bo Ruski okupuje Ukrainę. Walczy z Polakiem, bo Polak zabiera część ukraińskiej ziemi. Głowa pękała mu od tej walki, którą wpajał mu codziennie kuzyn.

W kryjówce siedzieli kilka godzin w ciągu dnia. W nocy spali w domu. Zresztą kuzyn nie ukrywał się przed wszystkimi jak on. Wieczorami wychodził i w stajni spotykał się z ludźmi. Wypełniał rolę okręgowego politruka. Słano do niego "sztafety" z broszurami i pismami organizacyjnymi.

Na wiosnę Jan zaszył się w gospodarstwie szwagra. W marcu 1945 roku właśnie tam zorganizowano zebranie dowódców UPA z rejonu. Zjechali "komandyrzy" różnych działów: od propagandy, gospodarki czy bezpieczeństwa. Złożył przysięgę na Boga, na świętą Trójcę, na Tryzuba: *"Я дух від вічної пам'яті/ що беріг тебе від татарського потопу/ поставив на межі двох світів/ творити нове життя/ я здобуду Українську Оренду/ або я загину в боротьбі за нею - Ja duch wid wiecznej pamiaty/ szto bierig tiebie wid tatarskowa potopu/ postawiw na miezi dwoch switiw/ tworiti nowie zittia/ ja zdobudu Ukrainsku Oriendu/ або ja zaginu w borotbi za nieju"* ("Ja duch od wiecznej pamięci/ co chronił cię od tatarskiego potopu/ postawił na granicy dwóch światów/ tworzyć nowe życie/ zdobędę Ukrainską Dzierżawę/ albo zginę w walce za nią"). Otrzymał pseudonim "Dowbórz".

Przyjęto go w szeregi UPA chętnie. Posiadał odpowiednie przeszkolenie wojskowe i policyjne z "Hałyćku Dywizju SS", szmuglował broń. Dostał więc zadanie zorganizowania samoobrony w Łazach.

Wieś leżała na odkrytej równinie. Światła miast Jarosławia i Radymna widać było z odległości dwudziestu kilometrów. Do najbliższego lasu - też dwadzieścia kilometrów. Rzeczka Szkło, San blisko. Właśnie zza Sanu wywodziły się główne siły band polskich i mieszanych narodowościowo, które napadały na wsie. Składały się one z najczarniejszych mętów. Rabowały bezkarnie, bo wsie nie stawiały oporu. Żadne wojska nie stacjonowały jeszcze w pobliżu.

Jan - "Dowbórz" wzmocnił "czujki". Tworzyły je z reguły kobiety, które dyżurowały przy zawieszonych na drzewach lemieszach, kosach, najprzeróżniejszych blachach. Po zauważeniu obcych waliły w nie żelaznymi prętami i uciekały. Pewnego dnia przyjechało około stu rabusiów na szesnastu furmankach. Natknęli się jednak na ogień z przygotowanych stanowisk i wycofali. Radość trwała krótko. Po kilku godzinach podjechały samochodami z dwóch stron wsi ogromne siły z Radymna i Duńkowic. Przybyli, ubrani częściowo po wojskowemu, idąc w szyku bojowym, strzelali z broni maszynowej.

Przyjął bitwę otwartą. Jego atutem okazała się znajomość terenu. Część ludzi przeprowadził na tyły i kontratakował od strony rzeki. Obcy zostali wyparci. Wieś triumfowała. Przekaz o tym obiegł sztafetą najdalsze okolice. Przez dziesięć tygodni

utrzymywała się w Łazach "Samostijna Ukraina", dopóki nie wróciły z frontu wojska polskie i radzieckie.

### Ratować życie

Hitler skapitulował. W lesie milczano, nie komentowano tego faktu. Hitler zawiódł Bandere, aresztował go przecież w 1941 roku. "Prowodniki" i "komandyry" podtrzymywali się wzajemnie na duchu mówiąc, że dadzą sobie radę i wyzwolą się sami spod jarzma komunizmu. Ale posterunki sowieckie wzmocniono żołnierzami z frontu. Wojsko polskie obstawiło granicę od strony Jarosławia, Radymna i Lubaczowa. Z UPA zaczęło dezerterować coraz więcej ludzi.

Wpierw wypalił znak "0" pod lewą pachą. Razem z kolegą odłączył od oddziału w sierpniu 1946 roku. Wyjazd na zachód nie sprawił kłopotu. Jak większość "leśnych" miał fałszywą kenkartę z przybitą pieczętką, ze zdjęciem - na nazwisko Jan Gałązka. Postarał się o adresy rodzin ukraińskich, które osiedliły się w różnych zakątkach kraju. Kolega, ekstra ubrany - przy którym wyglądał jak ubogi krewny - przygotował zapas bielizny, żywności.

Pojechali do Katowic. Stamtąd do Gliwic. Jedna z rodzin ukraińskich zameldowała ich urzędowo. Postanowili znaleźć pracę w fabryce papieru w Bystrzycy. Koledze poszczęściło się - dostał posadę strażnika - jego odprawiono z kwitkiem.

Pojechał na północ. W Drawsku Pomorskim mieszkał Mikołaj Karyła, ziomek, sąsiad z Łazów. Znalazł jego dom, widział, jak zajechał w samochodzie z kierowcą, jak wysiada z auta dygnitarz. Karyła też go zauważył. Przywitał się ciepło. W Drawsku przejmował władzę od Rosjan jako starosta, znał życie, nie pytał o nic. Tylko o nowe nazwisko.

Zapisał Jana Gałązkę na kurs traktorzystów. Po czterech tygodniach - po zdaniu egzaminu w Technicznej Obsłudze Rolnictwa w Drawsku - jako nowy traktorzysta bez trudu otrzymał pracę w Państwowych Nieruchomościach Ziemskich w Giżyńcu. Radził sobie z robotą, traktorzystów brakowało, ale pewnego dnia Karyła zaweźwał go do siebie. Oznajmił złą nowinę: zginął generał Świerczewski, Ukraińców przesiedla się na Ziemię Odzyskaną w ramach akcji "Wisła", sporo z nich ma zamieszkać w powiecie drawskim. Oznacza to, że łatwo będzie o znajomą twarz i rozpoznanie.

Udał się więc do Gdańska - Wrzeszcza, gdzie mieścił się zarząd okręgu Państwowych Nieruchomości Ziemskich, do kadr, w poszukiwaniu nowej pracy. Zaproponowano mu kilka gospodarstw do wyboru. Zdecydował się na Opalino - gospodarstwo należące do Zespołu PNZ Prusiewo. Pracowali tam prawie sami Kaszubi. Zżył się z nimi, więcej niż bardzo. A nawet zakochał w Kaszubce Marii; urodziła mu ona córkę w 1948 roku. Powiedział jej wtedy, że nie może się żenić. Wyznał, że jest Ukraińcem, ukrywającym się pod polskim nazwiskiem. Maria zrozumiała. I ona przeżyła swoje, kiedy Kaszubki traktowano jak Niemki. Szczerą prawdę chce Jan przekazać synom: Andrzejowi i Bohdanowi, ale to jego prawda i pamięć.

### W tłumie

Z Opalina wysłano go do Centralnej Szkoły Administracji Rolniczej w Elblągu - jako wyróżniającego się w pracy. Szkole dyrektorował towarzysz Cichocki. Towarzysz dyrektor chodził o lasce wskutek wypadku samochodowego. Przy nim człapał pies buldog, który gryzł uczniów po nogach.

Zgubił się w tłumie. O przeszłości zapomniał. Czuł się rześko i radośnie wśród młodzieży. Wiedzę zgłębiał sumiennie. Zoologię, szczególnie hodowlę zwierząt, uwielbiał. Na koniec nauki otrzymał świadectwo z uprawnieniem do kierowania gospodarstwami rolnymi. Zdał także egzamin na głównego księgowego. Zaproponowano mu pracę w Giżycku, w Państwowym Gospodarstwie Rolnym. PNZ-ety zamieniano właśnie na PGR-y.

Przy ulicy Moniuszki w Giżycku, w poniemieckich koszarach, mieścił się Okręg PGR. Poznał dyrektora - byłego partyzanta Batalionów Chłopskich, niedawnego wojewodę kieleckiego, Eugeniusza Wiślicz - Iwańczyka. Skierowano go do zadań kadrowych, takich jak werbowanie nowych robotników do pracy. Na początek - wyposażony w odpowiednie dokumenty, pełnomocnictwa i książeczki czekowe - wybrał się do województwa kieleckiego. W Kielcach zgłosił się z delegacją do pierwszego sekretarza w Komitecie partii. Przybito mu pieczątki trójkątne, bo innych nie miano. Tak było: uzbrojony milicjant czuwał nad nim, by mu się krzywda nie stała, a on czekał wypisywał, gadając ludziom co niemiara, nie pogardzając wyzerką i wypitką. W powiatowym Jędrzejowie obstał u szewca piękne oficerki, ponadto u krawcy kazał uszyć sobie spodnie z gabardyny i marynarkę samodzielną. Gdy wrócił, nie umywał się do niego nawet sam Wiślicz - Iwańczyk, dyrektor PGR.

Przeszłość zacierała się. W Giżycku poznał dziewczynę, Annę. Miała dziewiętnaście lat. Pochodziła z Chotyńca - wioski, leżącej na terenie działania jego bojówki UPA. Nie musiał niczego ukrywać. Ślub - na prawdziwe nazwisko Hałuszka - odbył się w cerkwi Wuszczele koło Ełku w dniu 20 lutego 1950 roku. Jan z Anną poszli do spowiedzi, przyjęli komunię. Zamiast urządzać wesele, pojechali do rodziny Anny. Okazało się, że rodzina wiedziała o nim wiele z relacji ludzi. Przybrane nazwisko przyjęto obojętnie i nie interesowano się niczym więcej.

Po okolicznościowym urlopie został wezwany do dyrektora. - Janek, uważaj - ostrzegła go sekretarka. - UB zabrało twoją teczkę personalną. - Decyzję: uciekać czy nie uciekać musiał podjąć w okamgnieniu. Dyrektor chodził z pistoletem i mógł go aresztować sam, bez UB.

Wszedł do gabinetu. - Siadaj! - rozkazał Wiślicz - Iwańczyk, bohater z partyzantki. Będąc wojewodą, postawił sobie pomnik z brązu w rodzinnej wsi, za co zdjęto go z posady. - Gadać mi tu, gdzie byłeś w partyzantce? - zaczął bez ceregieli.

- W AK.

- A gdzie?

- W powiecie Lubaczów.

- Kto był twoim dowódcą? Pseudonim?

- "Kostek" - Jan znał ten teren i przypomniał sobie w porę co trzeba.

- No, tak. Muszę cię gdzieś przenieść. I to zaraz! Zaczekaj w sekretariacie.

Wyszedł i pobiegł do domu. Opowiedział żonie, co się stało. - Pakuj się natychmiast. Wyjeżdżamy! - Ale wrócił do kancelarii dyrektora. Na stole leżało już przeniesienie do Ośrodka Szkolenia Traktorzystów w Sorkwytach koło Mrągowa - i to na stanowisko kierownika - oraz angaż dla żony na stanowisko sekretarki.

W PGR Sorkwity stał pałac nad jeziorem, przekształcony w ośrodek szkoleniowy. Podobało się, spróbował. Dał radę i tam: zaprowadził dyscyplinę, założył stołówkę, przeszkolił wielu traktorzystów i kierowników gospodarstw. W maju 1950 roku, na drodze do stacji kolejowej, jego żona spotkała znajomego kierowcę z Giżycka. Złożył jej wyrazy współczucia z powodu aresztowania męża. - Kiedy? Co pan mówi? - zdenerwowała się kobieta. - Gdy wyjeżdżałem z okręgu to mówili, że Gałązkę posadzili za AK...

Gdzie uciekać? W każdej chwili spodziewał się aresztowania. Porzucił pracę w Sorkwytach i raz jeszcze zgłosił się w zarządzie okręgu w Gdańsku-Wrzeszczu. Zaoferowano PGR pod Tczewem. Po tygodniu otrzymał wiadomość z zespołu dyrekcji, że został wytypowany na kurs bibliotekarzy w Gdańsku. Zmartwił się tym mocno. On? Ani nie czytał książek, ani nie znał się w ogóle na bibliotekach. Odmówić wszak nie mógł. Żona, mimo iż w ciąży, pojechała z nim do Gdańska, aby upewnić się co do tego kursu.

Ośrodek szkolenia bibliotekarzy - okazało się - znajdował się na swoim miejscu. Zgłosił się do kancelarii. W spisie kursantów figurowało jego nazwisko. Zakwaterował się w

internacie. Uspokojony, odprowadził żonę na pociąg i pożegnał się z nią w nadziei, że zobaczą się wkrótce, za trzy dni.

Wrócił na kwatery. Zdziwił się trochę, bo został przeniesiony wraz z rzeczami do innego pokoju. W pierwszym miały zamieszkać kobiety. Wszedł pod wskazany numer. Siedziało tam dwóch mężczyzn. Przywitał się z nimi.

- Czy pan nazywa się Jan Gałązka? - zapytał jeden.

- Tak.

- Proszę o dokumenty! ...Ręce! - drugi mężczyzna wyjął pistolet.

W kajdankach wyprowadzono go na ulicę. Wepchnięto do samochodu, w którym leżały jego rzeczy. Za drzwiami Komendy Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej w Gdańsku zrewidowano go raz jeszcze. Po chwili znalazł się w pokoju ze stołem, dwoma krzesłami i maszyną do pisania. Zdjęto mu kajdanki i przysunięto jedno z krzesel. Usiadł. - Twarzą do ściany! - W życiu nie był tak przestraszony; komunistów bał się bardziej niż kogokolwiek. Kiedy poruszył się lekko, otrzymał mocne uderzenie w głowę, za uchem. Spadł z krzesła. Skopano go. Ocknął się z głową w kuble z wodą. Za plecami ktoś wchodził i wychodził bez przerwy. Dopiero po trzech, czterech godzinach kazano się odwrócić. Jeden z UB-owców podszedł do niego z wyciągniętą ręką. - Cześć, Hałuszka! - powiedział.

Nie zareagował. Tamten poklepał go po ramieniu. - Po coś się żenił w cerkwi, trzeba było w kościele, no nie? - zagadnął prawie przyjaźnie.

Było już po południu, kiedy sprowadzono go na dół, wsadzono do samochodu "Warszawa" z firankami na szybach. Przeleciało mu przez myśl, że zawiozą go do Rzeszowa. Słyszał, że to tam właśnie rozstrzelują UPA. Gdzieś po godzinie jazdy zaczęło go mdlić po kopnięciach w brzuch. Zdjął z głowy kapelusz i zwymiotował krwią. Kierowca zatrzymał się i kazał wyczyścić kapelusz trawą. Dojechali do Olsztyna, do UB.

#### Losu koniem nie objedziesz

- Zdjąć buty! - brzmiał pierwszy rozkaz.

- Zdjąć marynarkę! - drugi.

- Siadaj na krześle! - trzeci.

Dwie silne lampy oślepiły go zupełnie.

- Jak się nazywasz? - zaczęło się przesłuchanie.

- Jan Gałązka...

Dostał w twarz raz, drugi i kilka kopniaków po nogach.

- No? Nie poznajesz mnie? - śledczy przybliżył się.

- A... - poznał. Był to jego kolega z lat młodości, Józwiak, z Laszek. Do drugiego śledczego mówiono Kusiak.

- To teraz porozmawiajmy jak należy.

Pozwolono mu pójść do łazienki, włożyć buty, zjeść. Usiąść na krześle przy stole i pisać: gdzie i kiedy wstąpił do UPA, kto go tam wprowadził. Nazwiska, pseudonimy, adresy dowódców i bojówkarzy, punkty łączności. *"Oświadczam, że ja, Hałuszka Jan, zostałem wcielony do niemieckiej policji jako ochotnik. Bestialsko walczyłem przeciwko narodowi polskiemu. Zabijałem komunistów polskich i radzieckich. Do UPA poszedłem jako ochotnik. Bandycko zwalczałem ustrój socjalistyczny"* - kiedy zasypiał nad kartką papieru, oblewano go wodą. Szczerą prawdę o tym chce Hałuszka przekazać synom: Andrzejowi i Bohdanowi.

Któregoś ranka kazano mu się ogolić. W pokoju śledczym siedział kruczoczarny, gruby mężczyzna w rogatywce z ciemnogrnatową otoką, z paskiem, zapiętym pod brodą. Poczęstował papierosem. Palili milcząc, aż grubas zapytał: - Zdajesz sobie sprawę ze swego położenia?

- Tak.



Wyciągnął z teczki pismo: prokuratorski nakaz aresztowania i osadzenia w więzieniu. Potem drugie. Jan przeczytał je i odłożył.

- Damy ci szansę. Na poprawę nigdy za późno. Ale decyduj od razu.

"Co robić?" - Jan zastanawiał się w gorączce. Swego poplątanego życiorysu nie umiałby wytłumaczyć Panu Bogu. Więc zdecydował. Podpisał deklarację współpracy z UB. Mówią ludzie: losu swego koniem nie objedziesz.

Wywieziono go na jakąś zwirownię. Głuche odludzie, nigdzie żywego ducha. Niedziela. Kazano wysiąść. Pomyślał, że to koniec, że zastrzelą. Z samochodu nie wziął kapelusza. - Zabierz kapelusz - usłyszał. Wziął. - Zapamiętaj. Jeśli nie dotrzymasz słowa, to tu skończysz!

Z miejsca, w którym stał, widać było podwójną wieżę na kościele. Z okna celi UB mógł przyglądać się tej wieży również. Za każdym razem, do końca życia, miał już w Olsztynie szukać tej wieży wzrokiem, tak bardzo utrwaliła mu się ona w pamięci. Ruszył przed siebie na piechotę. Na dworcu PKP kupił bilet. Potem, idąc z Młynar do Sopotów, odległych o dwanaście kilometrów od stacji kolejowej - jako agent UB - czuł za plecami, że jest śledzony...

Wymyślił, że ukryje się przed UB. Gdzie? Niedaleko, u stryja żony. Zrobił tak. Przez pół roku nie wychodził na podwórko. UB nie żartowało, szukało go wszędzie. Zakopał się w kryjówce jeszcze głębiej. Owrzodzony, z ogromnymi czyrakami, wycieńczony, zmienił ziemiankę na szałas. W nowym miejscu, niedaleko jednej z leśniczówek, odetchnął lasem. Stawiał wnyki na zające, dostały mu się nawet dwa duże dziki. Wyleczył się z wrzodów.

Miesiąc mijał za miesiącem. Minał rok, potem drugi. Znowu zmienił kryjówkę. Pomagali mu znajomi rodziny. Lata mijały, a on wciąż ukrywał się pod ziemią w ziemiankach albo w leśnych szałasach.

W lipcu 1954 roku wpadła mu w ręce mocno zmięta gazeta, w której napisano, że w Związku Radzieckim dwóch szpiegów zgłosiło się do władz bezpieczeństwa. Ujawnili się i otrzymali wolność. Czytał ten artykuł z dziesięć razy. Albo i więcej. Czytał i myślał. Znowu czytał i analizował. Pewnego dnia podjął decyzję. Powiedział do siebie: - Ujawniam się!

Zgodnie z sugestiami znajomych zaczął pisać prośbę do Rady Państwa. Procedura pisania i przepisywania zajęła mu blisko miesiąc. Wreszcie skończył. List zawierał czternaście stron życiorysu i prośbę o ulaskawienie.

- Ile ma pan lat? - zapytał prokurator wojskowy.

- Trzydzieści.

- A ile miałeś, kiedy opuściłeś matkę?

- Osiemnaście.

- No i co zwojowałeś przez tyle lat?

Nie odpowiedział.

- Myśleliśmy, że nie żyjesz.

- Żyję.

- Przyjechałeś po wolność?

Milczał.

- Masz broń?

- Nie.

- Jesteś wolny. Ale pod jednym warunkiem. Że nie wleziesz znów w to bagno. W aktach zebrano sto podpisów na ciebie i cztery wyroki śmierci. Zapamiętaj to sobie.

Ułaskawienie leżało na stole. Prokurator odczytał je i dał mu do podpisania. Powtórzył: - Jesteś wolny. Jeśli ukrywa się ktoś jeszcze, niech wychodzi. Ogólna amnestia. Mogą skorzystać z niej wszyscy.

## Wolność

W biały dzień wrócił do Sopotów - wsi, opodal której się ukrywał. Ormowcy ścigali się do posterunku w Wilczętach, by zgłosić, że go widzieli. Nazajutrz odpowiednie podanie złożył Michał Borko, ukrywający się w okolicy. Po tygodniu był wolny. Po dwóch tygodniach zjawiała się siostra Stefana Breta o pseudonimie "Nepak". Po wysłuchaniu rad i on był wolny. Także Stefan Pytnik, pseudonim "Snihur", z sotni "Kruka", także Wasyl Zublenka o przydomku "Pomadziupcia" - uzyskali wolność, postępując wedle jego zaleceń.

W początkach wiosny 1955 roku podjął pracę w PGR Kruszc pod prawdziwym nazwiskiem. Żona urodziła mu trzech synów. I zmarła. Tyle faktów.

- Pewnego razu powiadomiono o zebraniu Ukraińców z całego powiatu - wspomina Jan Hałuszka. - Serce zabiło mocno. Wieść głosiła, że Ukraińcom zezwoli się wrócić do domu, do stron rodzinnych, do ojcowizn. A mnie do Łazów, gdzie rzeczka Szkło czysta jak łąka i pachnąca jak miód. Sala wypełniona po brzegi narodem, za stołem przydialnym kilka ważnych figur z powiatu. Okazało się, że wzięto nas na lep. Spisano wszystkich, a raczej oficjalnie zapisano do jakiegoś towarzystwa społeczno - kulturalnego. Wyszedłem stamtąd załamany i przestałem wierzyć w cokolwiek.

Do końca życia nie będę pewny dnia ani godziny. Szykowałem się kiedyś do pracy na ósmą - pracowałem jako zootechnik w PGR Węgorzewo. Otworzyły się drzwi i weszło do mieszkania dwóch milicjantów. - Jest pan aresztowany. - Za co? - Dowie się pan na posterunku. - Założono kajdanki, wsadzono do samochodu. Noc w areszcie w Węgorzewie. Żadnego pytania. Rano wsadzono mnie w kajdankach do pociągu i powieziono do Olsztyna. Ale w Olsztynie zmieniono tylko konwój i znalazłem się w więzieniu w Braniewie. Siedziałem tam dwa tygodnie. Bez nakazu. Bez śledztwa. Porobiono mi zdjęcia z boku, z przodu, z numerami. Na chodzie i siedząco. Odbito linie papilarne. Opisano znaki szczególne. Do kartoteki wpisano, że mam jakiś znak wypalony pod lewą pachą... W końcu zapytano, czy wiosną 1946 roku aresztowałem w Wysocku jakiegoś oficera ruskiego. Złożyłem oświadczenia na piśmie, że Wysock to nie był teren mojej działalności i że nikogo nie aresztowałem. Zwolniono mnie.

Minione lata jak cień odciskają swoje piętno. Potem, za przyzwoleniem SB, złożono na mnie wniosek do prokuratora. Za nadużycia gospodarcze w PGR. A przecież nie zrobiłem nic takiego, za co można by mnie oskarżyć. Sprawa toczyła się dwa lata. Po czym umorzono ją. Jeśli kogoś oblano raz wrzątkiem, to jest bez pierza do końca życia.

Przeszłość nie daje spokoju. Otrzymałem list od dawnych znajomych. Był u nich Stefan Zeniak, pseudonim "Mimia", i opowiadał, że zdradziłem go UB. Nie tylko jego zresztą. Zlekceważyłem to, lecz otrzymałem potem listy z obelgą "zdrajca". To robota pamiętliwego "bezpieczeństwa", które nie daruje nawet w Srokowie, czternaście kilometrów od Węgorzewa, gdzie zamieszkałem na koniec swych dni. Jednego nie zaniechałem, nie zdradziłem, nie wyrzekłem się na pewno sprawy narodu ukraińskiego - szczerą prawdę Hałuszka przekazuje synom: Andrzejowi i Bohdanowi. Ma święte prawo do swojej szczerzej prawdy. Do swoich wspomnień. - To tylko prawda... - Jan Hałuszka OTWORZYŁ przymknięte oczy.

## Potępienia

Szczerych prawd bywa zwykle wiele. Jedna z nich - ta o ludziach w ciemnym Srokowie, gdzie światło gaśnie i w kościele, i na ulicy, nieważne, czyś Polak, Ukrainiec, czyś niedobitek Mazura, byle z krzyżykiem świętym - dopadła go na starość.

Ożenił się z Reginą Kurstak, która przyjechała do pracy w srokowskiej szkole w latach sześćdziesiątych. Była tam pierwszą panią magister po studiach biologicznych na

Uniwersytecie Łódzkim. Przeprowadziła się z Mrągowa, gdzie osiedli jej rodzice - polscy repatrianci z Białorusi. Po nieudanym polsko-polskim małżeństwie pozostało jej dwóch synów: Krzysztof i Ryszard. Z nowego związku urodzili się bliźniacy: Andrzej i Bohdan, dwaj synowie polsko-ukraińscy.

- Dlaczego wyszłam za Ukraińca? Była mi obojętna narodowość męża - mówi. - Przyszłam na świat we wsi Odła koło Grodna. Tam myśmy wszyscy, Polacy i Białorusini, szli boso na święta katolickie do kościoła, a na święta prawosławne do cerkwi. Nie istniał problem narodowościowy. Nie zetknęłam się z nim do późna, na studiach w Łodzi wykładał Żyd i dobrze było. "Za kogo idziesz za mąż? To Ukraińiec" - ostrzegali ludzie. Potępiono mnie, przestano się kłaniać. Byli tacy, co szli za mną i pluli. Rodzina przestała przyjeżdżać. Łzy leciały ciurkiem.

Za Hałuszką pluli natomiast Ukraińcy. Ożenił się z Polką - stracił w ich oczach połowę siebie. W domu: trzech synów pierworodnych, wiernych ukraińskiej tradycji, i dzieci młodsze, chrzczone w kościele, mówiące wyłącznie po polsku. Z żoną i siedmioma synami obchodził święta rzymskie i greckie. Przyszedł ksiądz grecki, wyjął notes. - Gdzie syn Krzysztof? - Na piątym roku Wojskowej Akademii Technicznej - odpowiedział z dumą. Ksiądz zakreślił Krzysztofa czerwonym kółkiem. - A gdzie Ryszard? - W kuchni siedzi. Zawołam... Rysiek, chodź tu.

- Nie ma potrzeby takiej! - odpowiedział Ryszard, grzeczny dotąd i dobry uczeń Technikum Elektryczno - Mechanicznego w Kętrzynie. Wystarczy mu zdolności, by przejść w Radomiu egzamin kwalifikacyjny na studia elektroniczne w Kijowie.

Ryszard poskarżył się matce, że zaczepił go ksiądz rzymski. Wyjawiał też ojczymowi, czego ksiądz chciał: - Żebym mówił mu "Niech będzie pochwalony". - Nie daj się omamić - Hałuszka przypomniał, jak to kiedyś w Łazach dostał w twarz od księdza. Stwierdził, że to go ukształtowało na całe życie.

I nie odpuścił. Oto notatka urzędowa: *"Na posterunek zgłosił się Hałuszka Jan, że jego syn Ryszard został pobity na przystanku PKS przez księdza Edwarda G. (...). Zeznanie Ryszarda: Podszedł do mnie i powiedział: "Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus". Ja mu nic nie odpowiedziałem. Po chwili zapytał mnie: "Nie obowiązuje, czy nie nauczyli?". Odpowiedziałem: "Czy pan do mnie mówi?" (...). Jedną ręką trzymał mnie za odzież, a drugą ręką dwukrotnie w bardzo szybki sposób pięścią uderzył mnie w zuchwę ze strony lewej".*

Po zebraniu zeznań różnych osób prokurator oskarżył ks. Edwarda G. o to, że na lekcjach religii zmuszał dzieci do noszenia medalików przez kreślenie kredą na nosach i czołach znaków krzyża, że bił dzieci po twarzy. Dalej - że zmuszał ludzi do zawierania ślubów kościelnych, znieważając i naruszając ich nietykalność cielesną "poprzez silne ściskanie ręką szyi". Że uderzył i znieważył pasierba Hałuszki. Sąd Rejonowy w Kętrzynie skazał ks. Edwarda G. na jeden rok pozbawienia wolności z zawieszeniem na cztery lata i grzywnę. Sąd Wojewódzki w Olsztynie utrzymał wyrok w mocy w listopadzie 1985 roku.

Zeznanie ks. Edwarda G.: *"Nie jest dla mnie zrozumiałą fakt przedstawienia mi zarzutów - w całości i w poszczególnych fragmentach. Mam na myśli rozumienie faktologiczne. Jeżeli chodzi o znaczenie literalne, to treść zrozumiałem. Nie przyznaję się do popełnienia przestępstw opisanych w postanowieniu. Nie pragnę składać w tej sprawie żadnych wyjaśnień".*

Z wyjaśnieniami pośpieszyli mieszkańcy, adresując do sądu petycję: *"Sprawa krzyżyków na czole to znak, że ksiądz żądał u dziecka tarczy chrześcijanina, tak jak żąda się tarczy w szkole. Przecież mamy w naszym kraju wolność wyznania i ksiądz ma prawo nauczać, jeżeli rodzice tego żądają". ...Karcenie dzieci przez księdza było zgodne z wolą rodziców. Przyczyną uderzenia pasierba Hałuszki w obecności wielu ludzi nie był brak pozdrowienia religijnego, lecz nieokazanie szacunku dla księdza przez młokosa...*

List, odczytywany w kościołach, też i w cerkwiach grekokatolickich, prosił, by Hałuszkę "diabeł opuścił". W sądzie ksiądz z kwiatami, ludzi pełno, "Sto lat". Na spłatę kary pieniężnej, orzeczonej przez sąd, wierni zebrali datki. Bo ten Hałuszka - zdaniem dużej części społeczności, w której różnych narodowości do cholery: polskiej, ruskiej, ukraińskiej, mazurskiej, czort wie, jakiej jeszcze - wiele złego narobił i ma ciemną kartę w historii. Był w UB, UPA, SS... Do tego nie ma dla niego świętości. On nie ma prawa do niczego. Nie ma prawa, to pewne, dla takiego obywatela Polski.

W ten sposób historia Jana Hałuszki - wydawać by się mogło - zatoczyła koło: od księdza z Łazów do księdza ze Srokowa. Jan swój los "diabelski" objechał koniem dookoła. Niewielu by o tym losie usłyszało, gdyby nie rozgłos publiczny, spowodowany oskarżeniem księdza. Niewielu by z tego losu wyciągnęło jakieś nauki, gdyby Hałuszkę diabeł opuścił.



## Szardakow wyklęty!

Szardakow przymknął okno, otworzył bramkę, oddzielającą posesję konsularną od świata. I zerknął po raz ostatni na ulicę. Nikogo nie było. Żadnego hasła: "Szardakow, won!". W uchu cisza. Nie tak dawno przed tą bramką nakrzyczano mu do ucha. A i on krzyczał. Nie pozostał dłużny. Czort jeden podkusił. Diabli nadali?

Szardakow - konsul. Konsul wielkiego państwa o nazwie Rosja. A w mieście Krakowie, gdzie przyszło mu pracować, nie wiedzą, że *Rossija jawliajetsia wielikim*? Fakt, niedawno Rosja była większa. Największa. Tak ogromna, że w krakowskim konsulacie ZSRR mógł urzędować zarówno Rosjanin, jak i Ukrainiec.

- No to ja *paszoł won*, tak? - Szardakow strzepnął ramionami. - Ja, konsul. Konsul, a nie jakiś wicekonsul, jak podają w gazetach. Czy ktoś o to zapytał? Nikt. Czy ktoś zapytał mnie, jak było naprawdę? Co powiedziałem? Co? Że Piłsudski zrobił Rosjanom większy Katyń niż Rosjanie Polakom? Na tej podstawie Rada Miasta Krakowa podjęła rezolucję: uznać mnie za *persona non grata*. Jakie ze mnie "non grata"? Wyjaśniło to polskie MSZ, minister Olechowski. Że nic takiego się nie stało. Że wypowiedzi moje emocjonalne, no, własne. Poglądy wypowiedziałem. I to nie tak, jak w gazecie. Mimo to bilet w kieszeni. Wyjeżdżam.

### Grupka rewolucyjna

W ten napięty i napięty dzień 7 listopada 1994 roku Szardakow wcisnął na siebie nieco kanciasty ciemny garnitur i czarne buty. Ileż to lat od rewolucji 1917 roku, ileż to lat świętowano tego dnia Wielką Socjalistyczną Rewolucję Październikową! Dreptał nerwowo po korytarzu, wreszcie nie wytrzymał. Wyskoczył po papierosy.

Ani śladu po Rewolucji... Ucieszył się nawet. Bo ta historia skomplikowana. Jak ją rozumieć, Borysie Nikołajewiczu Jelcyn, w Moskwie świętują jedni, protestują inni. Przeciwno czemu, przeciwko historii?

Borys Szardakow nie rozumiał. W kieszeni papierosy, spojrzał, a przed bramą konsulatu kilkunastoosobowa grupka ludzi z transparentami: "Komuniści, pamiętamy o waszych zbrodniach", "Bij bolszewika, ratuj wolną myśl". Transparenty na ogrodzeniu, a na chodniku krzyż prawosławny ze zniczy. Czego ci ludzie chcą? - Czego chcecie, ludzie? - Szardakow zapytał.

Oto rzeczywista wymiana zdań, spisana z taśmy magnetofonowej jednego ze świadków wydarzenia:

Ludzie: - Upamiętnić pomordowanych przez przewrót bolszewicki.

Konsul: - A co tu ma do rzeczy Konsulat Rosji?

Ludzie: - To jest przeciwko komunizmowi, a nie przeciwko państwu rosyjskiemu, nie przeciwko narodowi rosyjskiemu. My nie atakujemy konsulatu.

Konsul: - A w Rosji co, komunizm? Takiego krzyża się nie stosuje w Polsce. Ja przecież nie biję się z wami, nie wyrzucam. Tylko ja nie rozumiem trochę... Gdzie ci bolszewicy? Kogo bić zamierzacie, panowie?

Ludzie: - My upamiętniamy również pomordowanych pana rodaków.

Konsul: - Nasze zbrodnie? My też pamiętamy wasze zbrodnie. Wy o naszych pamiętacie, my - o waszych.

Ludzie: - A jakie były nasze?

### Fakty imperialne

Konsul: - Taki sam Katyń był za Piłsudskiego. Sześćdziesiąt tysięcy zginęło w obozach Piłsudskiego. W Modlinie był obóz koncentracyjny. Zginęło tysiące ludzi i są fakty, że ich rozstrzelano elementarnie jak tarcze, nawet takie fakty były, świadkowie tak mówili.

Ludzie: - Pan się utożsamia właśnie z imperialnym Związkiem Sowieckim.

Konsul: - Ja nie utożsamiam się z niczym. Mówię, że to są sprawy historyczne, które na ulicy, na ulicy nie dyskutują.

Ludzie: - Rzuca pan wiele słów, na które nie ma żadnych dowodów. Natomiast ja powracam jeszcze raz jako wiceprzewodniczący Porozumienia Związków Kombatanckich i Niepodległościowych w Krakowie, Jerzy Bukowski moje nazwisko, do sprawy grobów i do sprawy pomnika. Pomnik upamiętnia zbrodniarzy.

Konsul: - Proszę pana, wygląda pan na człowieka inteligentnego.

Ludzie: - Jeżeli ktoś chce na przykład czcić ten pomnik, który jest pomnikiem zbrodni ludobójstwa, to wtedy czci.

Konsul: - Przecież my potępiliśmy to wszystko.

Ludzie: - I dlatego my w ten sposób postępujemy. Nie ma z naszej strony żadnych aktów agresji, nie ma tam żadnego obrażania tych ludzi, którzy tam leżą, jest tylko ciągle...

Konsul: - Jest, jest... Ja uważam, że to jest obrażanie ludzi, którzy tutaj wyzwolili Kraków i potem tutaj polegli, a wcale nie musieli w zasadzie, to jest obraza nazywać ich okupantami. Tak samo jak dzisiaj. Ta rewolucja, jaka by nie była: socjalistyczna, komunistyczna, ale ona doprowadziła do tego, że Polska stała się wolną, bo nikt inny, tylko Lenin podpisał dekret.

Ludzie: - Po pierwsze, to nie była rewolucja, tylko to był pucz, to był pucz, zamach stanu.

Konsul: - Nieważne, proszę pana... To dyskusja... Do widzenia.

I Szardakow poszedł, w kieszeni papierosy.

### *Persona non grata* tylko w Krakowie

A potem, przez następne dni, w prasie z górki: *"Na obraźliwe wypowiedzi Szardakowa, wygłoszone 7 listopada, w których przyrównał on Józefa Piłsudskiego do Stalina oraz oskarżył Polaków o mordowanie Rosjan, zareagowała krakowska Rada Miasta. Szardakow nazwał Piłsudskiego większym zbrodniarzem od Stalina i użył liczby 60 tys. rosyjskich jeńców, zamordowanych przez Polaków"*.

*"Rada Miasta Krakowa zebrana na sesji w dniu 16 listopada 1994 r. uchwala niniejszą REZOLUCJĘ. Rada Miasta Krakowa uważa że Pan Wicekonsul Federacji Rosyjskiej Borys Szardakow w dniu 7 listopada 1994 r. swą wypowiedzią dopuścił się obrazy uczuć narodowych Polaków. Rezolucja Nr 7/VII/94"*.

*"Pan dr Andrzej Olechowski, Minister Spraw Zagranicznych RP. Rada Miasta Krakowa uważa, że Pan Wicekonsul Federacji Rosyjskiej Borys Szardakow w dniu 7 listopada 1994 r. swą wypowiedzią dopuścił się obrazy uczuć narodowych Polaków."*

*Uważamy, że takie zachowanie Pana Wicekonsula zasługuje na surowe potępienie. W związku z tym zwracamy się do Pana Ministra o uznanie Pana Wicekonsula Borysa Szardakowa za osobę niepożądaną na terytorium Państwa Polskiego. Przewodniczący Rady Stanisław Handzlik".*

- Ministerstwo Spraw Zagranicznych nie znajduje podstaw do wydalenia Borysa Szardakowa - powiedział Andrzej Olechowski. Niemniej jednak: *"Polskie MSZ uznało, że Borys Szardakow utracił zdolność do wykonywania swojej funkcji w Krakowie i przekazał tę opinię do rosyjskiego MSZ"*.

- Powiedziałem "przepraszam" za moje słowa, ale czy ktoś chciał to "przepraszam" usłyszeć? - westchnął Szardakow i wyjechał z Krakowa. Rzeczy zostawił. Nie wiadomo, czy wrócił po nie osobiście, czy też zostały mu one odesłane w paczkach do Moskwy, gdzie z ramienia MSZ Federacji Rosyjskiej zajął się sprawami polskich dziennikarzy, akredytowanych w Rosji.

### Na Uralu

Na Uralu jak pyłek półtoramilionowy Perm. Stąd jeszcze sto kilometrów na zachód - Oczer - trzydziestotysięczne miasteczko rejonowe. Tam, w 1945 roku, Borys przyszedł na świat. Życie jego rodziców, dziadków, pradziadków i pra-pra... kształtował dekret cara Piotra I, który hrabiemu Dymidowowi nakazał zbudowanie fabryk uzbrojenia. W Oczer powstały manufaktury. Pracujący w nich ludzie zapewniali sobie egzystencję sami. Hrabia Dymidow dał ziemię, na której chłopci pobudowali domy, prowadzili małe gospodarstwa.

Duży drewniany, góralski dom, kawałek ziemi, ale własnej, jedna krowa, drób, ziemniaki, buraki, trochę zboża na chleb. W takim uralskim domu Borys dorastał z czworgiem rodzeństwa. Dwie starsze siostry, siostra młodsza i najmłodszy brat. Wszyscy - jak to się mówi - *wyszli na cielewiewka*. Farmaceutki na Uralu i biolog uniwersytecki, konsul i żołnierz zawodowy w służbie na Białorusi.

Powojenny głód. Uratowała ich krowa. A tak, jedli to, co urosło: kartofle, kapustę. Mięso widzieli od święta. Matka w domu, ojciec - mechanizator rolnictwa. Uczył maszyn rolniczych w szkole mechanicznej, awansował na dyrektora szkoły. Skromny, normalny człowiek. Nie wstąpił do partii. Nie interesował się tym. Ot, taki mechanizator. Czasem powiedział coś krytycznego po wysłuchaniu audycji radiowej. Tyle Borys zapamiętał o ojcu. W domu nie wisały portrety Lenina czy Stalina. Nic z tych rzeczy. Ale ikon też nie było. Prawda - dzieci chrzczone. Tylko jedna z siostr, ta druga z kolei, nieochrzczona. Akurat popa nie widziano w okolicy.

Z dziada pradziada - po mieczu - rosyjski uralski korzeń. Tylko u matki - Rosjanki - krew pomieszana. To przez tę krew matka matki, czyli babka Borysa, została zamordowana w więzieniu przez oprawców Jeżowa. Nie wiadomo dokładnie, kiedy, nie wiadomo, gdzie. Babkę zabrano z domu w 1936 roku. Gdzie grób?

Babka Szardakowów była Polką. Warszawianką. Najprawdopodobniej córką szewców i kowali ze Starówki albo kowali i szewców z Pragi. Kto to dziś ustali? W każdym razie jeden z żołnierzy armii rosyjskiej - czyli dziadek Szardakow - wracający w 1916 roku z niewoli niemieckiej na ojczysty Ural, znalazł schronienie, jadło i opiekę w domu warszawskich rzemieślników. Czym zauroczył dziewczynę? Sołdackimi wąsami, śmierdzącymi onucami. Serce nie sługa, pójdzie własną drogą. Młoda Polka pojechała z wiarusem na Syberię!

### Pretensje do Boga, cara albo losu

- I dlatego ja mam takie wielkie pretensje do przedwojennych polityków polskich i rosyjskich, że uczynili z Polski i Rosji narody wrogie. Wskutek polityki Piłsudskiego, który

był wrogiem i agresorem, moją babcię jako Polkę zamordowała jeżowszczyzna - zapalił się Szardakow szczerze, jak to on, po swojemu.

Po szkole powszechnej Borys pozostawił Oczer i dom rodzinny. Wyjechał do Permu, do technikum chemicznego. Zdążył połączyć klasykę: Tolstoja, Puszkina, Gogoła. Czytał przetłumaczonego Sienkiewicza (Trylogia), Prusa ("Lalka"), no i tę pisarkę z Grodna, jak jej tam, a, Orzeszkową ("Nad Niemnem"). Zaliczał się do najpilniejszych bywalców szkolnych bibliotek. Historię poznał taką, jaką była. Internacjonalistyczną.

Komsomoł - oczywiście, ale bardziej udzielał się w studenckich związkach. To potem. Na razie, w 1964 roku - po czteroletnim technikum w Permie - podjął pracę w Zakładzie Chemicznym w Pierwouralsku pod Świerdłowskiem. Później wojsko; trzy lata w jednostkach rakietowych na Białorusi. Wrócił na Ural, tym razem do Zakładów Chemicznych w Permie.

Nie spodobało się. Zebrał papiery: rekomendację zakładu, poparcie zakładowej organizacji KPZR i złożył je w Instytucie Języków Wschodnich Uniwersytetu im. Łomonosowa w Moskwie. Kierunek kształcenia przypadkowy. Aby tylko wyrwać się z tej chemii! Oblał egzamin wstępny z języka angielskiego. I wrócił na Ural.

### Internacjonalne karmienie

Nie poddał się, nie przegrał. Po roku udało mu się zdać egzamin w Instytucie Stosunków Międzynarodowych w Moskwie, znajdującym się pod pieczęcią rosyjskiego MSZ. Pisał wypracowanie z języka rosyjskiego, opowiadał historię ZSRR, liczoną od Rusi Kijowskiej, w geografii szukał minerałów, a w angielskim odmian czasownikowych. Dostał się w trybie pięcioletniej nauki na fakultecie prawa międzynarodowego. Wspomina: - Obowiązywała nas postawa internacjonalisty. Aż do przesady. Teraz okazuje się, ile państw i republik ZSRR rozwijało się kosztem Rosji. Na przykład Ukraina.

Na fakultecie koncentrował się na anglojęzycznym regionie świata: Kanadzie, Anglii. Jego pierwszym językiem obcym był angielski, a drugim - z nadzieją obowiązkowego - polski. Taki traf, na który nie miał wpływu. W żadnych papierach nie widniało, że miał babkę Polkę. Jego rodzice nie znali języka polskiego, tym bardziej on. Na drugim roku studiów ożenił się po raz pierwszy - i córka; w wieku dwudziestu trzech lat bizneswoman z biznesem w skórach, handlująca także z Polską. W 1990 roku - druga żona, ekonomistka z synem z pierwszego małżeństwa.

Służba w MSZ? Tylko najlepsi, najpilniejsi trafiali do niej. A technik chemik Borys Szardakow z Uralu, z silnymi dłońmi, pilny, wysportowany? Do nauki podchodził serio. Nie najzdolniejszy, ale uczył się jak prymus. Chciał osiągnąć coś w życiu. Co? Nie wrócić na Ural.

Jaką wiedzę zgłębiał? Głównie prawniczą. Ogólnopolityczną. Mniej historyczną. Dajmy przykłady. O wydarzeniach z 17 września 1939 roku pozostało mu w głowie tyle: - Nie było żadnej agresji ZSRR na Polskę. Bo 17 września Polska już nie istniała. To było zabezpieczenie ludności słowiańskiej przed Niemcami.

Drugi przykład: - To międzywojenni przywódcy Polski i innych państw kreowali tego Hitlera. Uznawali. To oni są winni II wojnie światowej. Gdyby Polska i ZSRR wystąpiły razem...

### Przyjaciele Polacy

Przydzielono go do pracy konsularnej w 1974 roku. I... wysłano do Polski. Do Szczecina. Załatwiał sprawy wizowe i bytowe, a po czterech latach, zgodnie z prawem rotacji urzędników, wrócił do Moskwy. Pracował w departamentach MSZ: organizacyjnym, kultury. W 1981 roku ponownie - tym razem w randze wicekonsula - znalazł się w Szczecinie. -



Wódkę piliśmy. Nikt nic nie wiedział. Wstaliśmy rano, a tu stan wojenny - wspomina dzień 13 grudnia 1981 roku. - "Solidarność" przerażała mnie. Ta kampania antyradziecka. Ta agresja. Dyskutowaliśmy z przyjaciółmi polskimi z różnych środowisk. Zawsze szczerze. Hm, szczerzy polscy przyjaciele...

W 1987 roku znów rotacja. Wrócił do Moskwy. Doksztalcał się w Akademii Dyplomatycznej. Awansował. W 1991 roku przybył do Krakowa jako konsul. Tylko że Polska to nie była już tamta, znana mu Polska. Zupełnie inna, zakłamana, nieszczerza? Po przyjaciółach ni śladu. No, czasem pograł z Polakami w tenisa na kortach Kopalni Soli w Wieliczce.

Przyglądał się. Próbował zrozumieć. I nic, nie potrafił odnaleźć swego miejsca. Miał za zadanie załatwiać sprawy wizowe, więc załatwiał. Polakom, Anglikom, Amerykanom, chcącym jechać do Rosji, pomagał. Polskim firmom, szukającym w Rosji rynków zbytu, pracy, kontaktów, ułatwiał życie, przecierał szlaki. Półtora tysiąca pracowników "Realbudu" podjęło walkę na froncie robót w Magnitogorsku i Tobolsku, kilkuset górali z zakopiańskiej firmy Pawlikowskiego, tej od remontu Pałacu Namiestnikowskiego prezydenta Wałęsy, chwyciło się za budowę Biznes Center w Riazaniu i remont biurowca w centrum Moskwy. Krakowskiemu "Wawelowi" udało się osłodzić moskiewskie sklepy.

Poza tym denerwował się. Ta afera z grobami żołnierzy radzieckich pod Barbakanem. W Krakowie przy każdej rocznicy, pod byle pretekstem, zawierucha. Czego ci Polacy chcieli, chcą? Ileż tych demonstracji musiał tolerować pod oknami. On - Rosjanin! To tylko Stalin mordował? Święty polski Piłsudski. A Modlin? Modlin badali uczeni z Rosyjskiej Akademii Nauk. W Strzałkowie, Tucholi, Rembertowie rozstrzeliwano jeńców rosyjskich, nie zmieniano im opatrunków, bito... Katyń był zemstą Stalina za wojnę 1920 roku. Wiosną 1994 roku dostał artykuł z marcowej gazety "*Rosyjskije Wiesti*", zatytułowany "*Zamalczowanie faktów - nie łuczysz put k dobrososiedstwu*". Właśnie, przemilczanie faktów! A w artykule: "*Rosyjscy i polscy historycy przywodzą różne liczby, wielce różniące się między sobą (od 25 do 130 tys.). Przy czym Polacy jawnie je zaniżają. Polska strona celowo zaniżyła liczbę wziętych do niewoli żołnierzy rosyjskich w 1920 roku, aby ukryć prawdziwą liczbę zmarłych w obozach. Przykładowo w obozie Puławy na 1500 ludzi umarło 540 według oficjalnych danych, według świadków - 900 (...). W rosyjsko - polskiej historii nie ma winnych tylko po jednej stronie*".

### Polska szczerłość

Szardakow przeczytał. Szardakow zapamiętał. Że każda historia może mieć dwie strony medalu. Ale nie zrozumiał, że dzieje się tak, gdy historia nie boli osobiście. Gdy historia nie służy interesom politycznym. W 1921 roku Rosja przekazać powinna Polsce czterdzieści tysięcy jeńców i pięćset tysięcy innych polskich obywateli. Przekazano ponad dwadzieścia trzy tysiące jeńców. Polska wydać powinna osiemdziesiąt tysięcy jeńców wojennych i trzydzieści tysięcy osób internowanych. Wydała w sumie niecałe sześćdziesiąt sześć tysięcy Rosjan. Osiemnaście tysięcy jeńców rosyjskich zmarło w obozach polskich na tyfus, czerwonkę i ogólne wycieńczenie organizmu. To dane Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. MCK nie donosił o przypadkach zbrodni wojennych. Oficjalnie ani Polska, ani Rosja nie podważyła tych danych.

Szardakow nie rozumiał nowej Polski, III Rzeczypospolitej. - Przez lata pracy w konsulacie w Szczecinie przyzwyczałem się do szczerości, do otwartości w głoszeniu poglądów. W rozmowach z Polakami mówiłem otwarcie, co sądzę o wielu sprawach. I czułem, miałem ufność, że mnie nie zakablują. Po trzech latach pracy w Krakowie, zgodnie z zasadą rotacji konsularnej, miałem zamiar pisać prośbę o roczną prolongatę pobytu w Polsce.

Taka możliwość istniała, ale już sam nie chciałem. Jakże to tak, nie mógłbym mówić, co prywatnie myślę? - zwierzył się Szardakow. I wyjechał. Bagaż zostawił.



## Nie jedno mam życie

Pamiętam dziadka, starszego od babci o piętnaście lat. Otyły, wąsy długie. Leżał w trumnie w ciszy. Zebrało się sporo ludzi, aby go zobaczyć. Dziadek na wszystkie uroczystości wkładał strój sokolnika: zielonkawą marynarkę z klapami, czapkę rogatywkę z sokolniczymi insygniami. Palił długą faję. Zapytałem go kiedyś, po co mu ta fajka. - To symbol spokoju - odpowiedział. Ale w trumnie spoczywał bez faji i w czarnym garniturze, ubrany jak wszyscy wokół.

Grałem w piłkę z kolegami na bosaka, więc "bosakami" nas nazywali. - Zobacz, jakie on ma nogi - narzekala babcia. Ale dziadkowi, ze sportowym zacięciem "Sokoła", podobało się to. Gdy babcia schowała szmaciankę, kupił mi piłkę skórzaną. - Coś ty, oszalałeś? - babcia krzyczała. - Nie będę jadł, ale chłopak musi mieć piłkę. - Stałem się królem ulicy. Mieszkałem w Krakowie przy Tarnowskiego 10, naprzeciwko szkoły im. Jana Matejki. Kopaliśmy na dużym trawniku na Zabłociu, koło Ziarna, albo na Krzemionkach, na tak zwanym Benedykcie.

Dziadek pracował jako magazynier na kolei, był też pośrednikiem sprzedaży nieruchomości. Żalowali go wszyscy. Moja siostra Irena, starsza ode mnie o dwa lata, pochłipywała trochę. Babcia, zmęczona na twarzy, trzymała się nieźle. Mama pilnowała domu i gości, a ojczym gdzieś się zapodział. Tylko praca u niego, karty i szachy z kolegami, a w niedziele mecze. Mama miała pretensje. Nie zajmował się dziećmi. Niższy od matki. W wojsku austriackim dosłużył się stopnia kaprała. Pracował w fabryce papierosów na Dolnych Młynach. Wzięli go do biura z racji ładnego pisma. Starał się, ale matce z niepełnym średnim wykształceniem, ponadto po nauce w szkole handlowej, nie dorównywał.

Co innego mój ojciec. Przystojny. Skończył gimnazjum, ładnie tańczył. Bardzo żywy, zaradny. Zaczął studiować chyba nawet psychologię. Pamiętam go, choć kiedy umarł, miałem trzy lata. Razem z Ircią stawiał mi bańki. Siostra płakała, a ja nie. Za odwagę dostałem karmelki.

Ojciec miał się każdej roboty, za groszem poszedł do pracy na kolei. Został dyżurnym ruchu w Starym Sączu. Czasy ciężkie, wojna światowa. Z wojskami maszerowała epidemia tyfusu plamistego. Ojciec zaraził się. W lazarecie nabawił się zapalenia płuc. Umarł w grudniu 1918 roku. Ostra zima, dość długo staliśmy na pogrzebie, siostra przymroziła sobie nogi. Od tego czasu cierpiała na stawy. Wróciliśmy do Krakowa, do dziadków, do jednego wspólnego pokoju.

Mama znalazła zatrudnienie na kolei jako urzędniczka. Codziennie jeździła tramwajem na Plac Matejki, do siedziby dyrekcji. W pracy i w życiu pomagała jej uroda: włosy i oczy czarne jak sadza. Gdy wpinała w uszy okrągłe kolczyki, znajomi nazywali ją "Cyganką". Miała dopiero dwadzieścia dwa lata, nie potrafiła jednak wykorzystać dobrze ani swej urody, ani młodości. - Pani Stanisławo, proszę... - starał się o jej rękę jakiś mecenas

Ksawery. Zażądał, by dzieci oddać do bursy. Ojczym nie postawił warunków. Zgodziła się na niego dla naszego dobra. Po jakimś czasie przyszło na świat trzech naszych przyrodnich braci.

Na pogrzebie dziadka - sokolnika mówiono, że dziadek chorował na cukrzycę. W szpitalu bonifratrów zoperowano mu karbonko na szyi, coś tam przecięto, operacja udała się, tylko... Miałem jedenaście lat. Przyjechał wtedy z Tarnopola wujek Józef Madera, syn brata babci, architekt, któremu powodziło się najlepiej z całej rodziny. Wąsy podkrecone, eleganckie ubranie. Razem z wujkiem zjawił się jego przyjaciel Daniel Kalasiński, profesor języka polskiego w gimnazjum we Lwowie. To od niego dowiedziałem się, jak mocno siedzi we mnie życie: - Toć ty urodzony przed czasem, w pociągu. Sądono, że umrzesz, ale uchwyciłeś się życia pazurami i chyba go nie popuścisz.

Opowiedział, jak było. Wojna, zbliżające się wojska rosyjskie. Austriacy zarządzili ewakuację ludności cywilnej z całego Podkarpacia. Mama w czarnym wagonie towarowym w siódmym miesiącu ciąży. Skuleni z zimna ludzie przy piecyku żelaznym. Babcia: - Ciii - uspokajała moją siostrzyczkę. - Kutna Hora, Kutna Hora! - ktoś odsunął drzwi wagonu. - Jesteśmy zagranicą. - Mama zaczęła rodzić.

Dokładnie w tym dniu, 10 lutego 1915 roku, zginął na Węgrzech w austriackim mundurze najstarszy syn dziadków Władysław Krzyżanowski. Wiadomość dotarła po naszym powrocie do domu w Starym Sączu, kiedy przygotowywano mnie do chrztu. Władysława pobrano do wojska w pierwszym rzucie. Dziadkowie wiązali z nim wielkie nadzieje, byli dumni, że po gimnazjum podjął studia na politechnice. Dostałem imię po wujku z zobowiązaniem, by dojść do czegoś w życiu. Do nazwiska JACHNIAK dołożono mi jeszcze dwa imiona: Józef i Jan, sądząc zapewne, że z takim bagażem imion: Władysław, Józef, Jan świat stanie przede mną otworem.

#### Dużo zawdzięczam

Jan Voigt, optyk, stwierdza: - Dużo zawdzięczam doktorowi Jachniakowi. - Przekonał mnie, że warto żyć, bo ja w pewnej chwili byłem zdecydowany na wysiadkę. Bez pragnienia życia jest się trupem. Powtarzał to. I że życie jest naprawdę piękne, jego szarość nie musi być ponura, a szarość życia to nie to samo, co szarość człowieka.

Kiedy Jan Voigt, rocznik 1908, uczył się zasad optyki w Jenie u "Zeissa", chłopci przymierzali okulary na jarmarkach. Handlarze szklami zapewniali: - Przywyknie, przywyknie... - Jednym z pierwszych optyków z prawdziwego zdarzenia, którego Voigt pamięta, był Żyd z Sosnowca - Manela, drugim - Jan Wyk z Katowic, Austriak. Ojciec Voigta dorobił się większych pieniędzy na wyrobach bursztynowych w latach pierwszej wojny światowej, kiedy to krakowskie uliczki przemierzali liczni Anglicy, Włosi, Francuzi. Syn nabił kiesę w latach drugiej wojny światowej. Powyrzucał ze sklepu ojca różne fajki i popielnice, a w ich miejsce wstawił okulary i aparaty fotograficzne. Niemcy uwielbiali fotografować się. Zdobył u nich dobrą markę - jego sklep na Floriańskiej wyglądał z zewnątrz jak firma niemiecka. Bronił się przed wpisaniem na listę folksdojczów. Rodzina wywodziła się z podkrakowskiej Bochni, w każdym pokoleniu nazwisko pisano inaczej, przekonał więc władze okupacyjne do rodowodu... Holendra.

Twierdzi, że przeżył mało nieszczęść mimo prowadzenia rzemiosła w różnych ustrojach. Ot, taki bezkonfliktowy charakter. Przez trzydzieści lat udzielał się w samorządzie gospodarczym jako wiceprezes Izby Rzemieślniczej w Krakowie. Córka objęła stanowisko docenta okulistyki; znał dobrze profesora okulistyki, a nie pediatrii, gdzie zamierzała studiować. Działał w jedynym w Polsce strzeleckim towarzystwie rzemieślniczym, czyli Bractwie Kurkowym o ponad siedemsetletniej tradycji. Tam poznał doktora Władysława Jachniaka, prowadzącego Klub Dyskusyjny przy Bractwie. Zaintrygował go jeden z klubowych tematów - człowieczeństwo. Zapamiętał, co doktor Jachniak mówił: "Ach, ta

*straszliwa monotonia przeciętności, to rozpaczliwe zabieganie o utrzymanie się przy życiu, ratowanie swoich złudzeń, ta walka, ambicje... Twórczy trud i pomysły mieszają się z troską o chleb i uznanie, stanowisko i pozycję, lokują się wśród dziesiątek zabiegów, czynności, działań, o których z żadnej późniejszej perspektywy nie powie się, że były wielkie. I na tym właśnie polega istota człowieczeństwa! Nadludzka wielkość jest bowiem tylko wytworem historii. Przeczytajcie, co o Napoleonie napisał jego lokaj".*

### Świat otworem

Świat stawał przede mną otworem. W Krakowie skończyłem szkołę średnią, a potem Wyższą Szkołę Handlową. Ale zanim przed nazwiskiem "Jachniak" wpisałem stopień naukowy "doktor nauk organizacji i zarządzania", minęło trochę lat...

We wrześniu 1939 roku broniłem Brześcia w stopniu podporucznika. Dotarłem do Tarnopola z rozbitymi oddziałami. Gdy miasto zajęła Armia Czerwona, przedostałem się do Krakowa. W listopadzie 1939 roku wstąpiłem do ZWZ. Pełniłem funkcję kwatermistrza IV Odcinka w prawobrzeżnej części Krakowa, łącznie z gettem i obozem koncentracyjnym w Płaszowie. Z polecenia Komendy Krakowskiej Obszaru ZWZ, a potem AK, na bazie i pod szyldem rozdzielni żywności, której byłem prokurentem, zdobywałem w magazynach niemieckich znaczne ilości żywności, materiały sanitarne, leki dla więzionych, chorych i ukrywających się żołnierzy polskich. Od 1943 roku na polecenie Inspektoratu AK w Krakowie organizowałem dostawy żywności, lekarstw, broni również dla oddziałów partyzanckich, operujących w Beskidach i na Podhalu. Od jesieni 1944 roku pomagałem ludności powstańczej Warszawy, osiedlającej się w Krakowie. W 1945 roku w stopniu majora, z Brązowym i Srebrnym Krzyżem Zasługi z Mieczami, z Orderem Virtuti Militari V klasy, ujawniłem nowym władzom swoją działalność w szeregach AK.

Wyjechałem na Wybrzeże, by tam rozpocząć pracę zgodnie z kwalifikacjami finansisty, ze specjalizacją w handlu zagranicznym. Zostałem współpracownikiem Delegata Rządu na Wybrzeże, ministra Eugeniusza Kwiatkowskiego. Pełniłem kolejno funkcje: członka Grupy Operacyjnej nad Morzem Komitetu Ekonomicznego Rządu pod przewodnictwem ministra Kwiatkowskiego, kierownika Przemysłu Spożywczego w Gdańsku, radcy Izby Przemysłowo-Handlowej w Gdyni, sekretarza i wiceprezesa Zrzeszenia Importerów i Eksporterów na całe Wybrzeże w Gdańsku, dyrektora finansowego firm handlu zagranicznego "Harpun" i "Unia". Tak się stało, bo podjąłem wezwanie Bolesława Bieruta: *"Niech zapal twórczy, inicjatywa oraz śmiałe pomysły wypełniają nasze życie pracą i nauką - niech zapal porwie wszystkich, niech nikogo nie zabraknie w szeregach ludzi pracy przy odbudowie Ojczyzny i życia gospodarczego kraju"*.

Moje pomysły przydały się gospodarce narodowej. Byłem projektodawcą prac nad aktywizacją importu i eksportu, umów i traktatów handlowych. Między innymi opracowałem osobiście projekt organizacji importu marynarskiego, avoirowego, pionierskiego, mówiąc krótko: by siła narodów morskich leżała nie w masie, lecz w ruchu!

Nie wykonałem polecenia dyrektora Izby Skarbowej w Gdańsku, towarzysza Grześkowiaka, i naczelnika Izby, towarzysza Ligodzińskiego. Kazano mi okpić marynarzy statków M/S: "Batory", "Sobieski", "Pułaski" i zabrać im całe mienie osobiste, przywiezione do Polski zgodnie z prawem. Interweniowałem w Związku Zawodowym Marynarzy, a także w urzędach. Wycofano to polecenie. Stałem się jednak z tego powodu wrogiem publicznym numer jeden dyrektora Grześkowiaka oraz jego przyjaciół w aparacie władzy.

Nęcano mnie przez pół roku nieustającymi rewizjami w firmie i w mieszkaniu. Uznano, że ja, jako dyrektor finansowy Firmy Handlu Zagranicznego "Unia", jestem osobiście winien Skarbowi Państwa sześćdziesiąt milionów złotych. Kwotę tę wyznaczono "z kapelusza". Zabrzmiała ona jak dzwon ostrzegawczy dla prawdziwych dorobkiewiczów.

Rozpoczęły się liczne ucieczki kutrów do Szwecji, wyjazdy sypialnych pociągów do Włoch z tysiącami dolarów, z walizkami pełnymi brylantów oraz z setkami "przyrządów do pracy", czyli ze złotymi lub platynowymi łopatami, kilofami, maszynami do szycia, patelniami. Prawdziwi milionerzy, przykładowo dyrektor Departamentu Ministerstwa Przemysłu Maszynowego, towarzysz Sipow, wicedyrektor Departamentu Ministerstwa Handlu Zagranicznego, towarzysz Roniewicz, dowódca WOP, major Cheider, wywozili skarby spokojnie, z legalnymi papierami. W tym czasie różne komisje rozpracowywały mnie, domniemanego Forda Polski.

Straciłem wszystko. Nawet pantofle nocne zajęły władze skarbowe. Odwołałem się. W lipcu 1949 roku Sąd Rejonowy w Gdyni uniewinnił mnie. Naczelnik Izby Skarbowej Ligodziński wciąż jednak rozdmuchiwał sprawę. W grudniu 1949 roku Sąd Apelacyjny w Gdańsku podtrzymał wyrok Sądu Rejonowego. W maju 1950 roku podobne stanowisko zajęła Komisja Społeczna - taki ludowy trybunał. Czułem się wyczerpany fizycznie i psychicznie. Podjąłem pracę w Państwowym Przedsiębiorstwie Kontroli Ładunków i Rzeczoznawców "Polcarga" w charakterze szeregowego kontrolera. Po trzech miesiącach zostałem stamtąd usunięty bez podania powodów.

#### Na ksero

Aleksander Adamski, piekarz krakowski, odpowiada zaczepnie: - Czy mógłbym nie znać wykładów doktora Jachniaka, skoro to ja powielałem je na ksero?

Adamski, najmłodszy i z racji wieku najaktywniejszy członek Bractwa Kurkowego w Krakowie, zastanawia się, cóż tam takiego było w tych wykładach. O mądrości: *"Dla jednych mądrym jest ten, kto umie zawsze wyciągnąć korzyści dla siebie z każdej sytuacji. Dla innych mądrość jest sztuką wyboru. Wyboru minimalnych środków dla osiągnięcia maksymalnych zysków. Bywają różne rodzaje mądrości w Polsce: mądrość życiowa chłopca czy uczonego, mądrość przedsiębiorcy albo polityka. Każdy gatunek mądrości jest determinowany logiką systemu, w którym funkcjonuje, jest przez chłopski, robotniczy czy przedsiębiorczy system rzeźbiony. Człowiek prawdziwie mądry: robotnik, urzędnik, polityk potrafi przeniknąć reguły swego specyficznego systemu i ujrzeć jasno poprzez zasłony błahych wydarzeń, gestów, słów, co i jak wygrywać"*.

Adamski rozmyśla nad światem, pływając żaglówką "Mak 606" po Jeziorze Rożnowskim. Sześćset sześć centymetrów długości pokładu to niby niewiele na wodzie, ale sześć osób wejdzie do kabiny. Adamski chwycił wiatr w żagle, kiedy wygrał warszawę za późnego Gomułki i kiedy za wczesnego Gierka jego siostra wyjechała do USA na wycieczkę. Nie wróciła, osiadła w Instytucie Rockefellera. Miał wtedy dwadzieścia dwa lata. Teraz ma trzydzieści siedem i odbył właśnie wraz z ojcem, też piekarzem, trzytygodniową podróż do Nowego Jorku. Pokazuje zdjęcia, zafascynowany siostrą i sklepami na Manhattanie. To jest życie! Zwiedzał też piekarnie. - Do partii komunistycznej należysz? - zapytano go tam na wstępie. Przemilczał zaczepkę.

Pieczę chleb nasz swojski. Narodowe bułeczki. Był radnym Dzielnicowej Rady Narodowej Kraków-Śródmieście z rekomendacji Stronnictwa Demokratycznego. Kpi: - Radny - bezradny! - Bierze udział w rajdach samochodowych, regatach żeglarskich, łowach Koła Strzeleckiego "Szarak". Intensywności życia sprzyja konto bankowe. Pięć razy dziennie dojeżdża z domu do piekarni, paręnaście kilometrów. Dlaczego tak często? Dowozi dzieci do szkoły, by nie przepracowywać żony. Na dachu swej willi na górze w Borku Fałęckim w Krakowie postawił wysoką antenę radiotelegraficzną, by pytać, co kupić na kolację. Dzieci wychowuje na wideokasetach i zaoceanicznych wizjach. No i zna wykłady Klubu Dyskusyjnego przy Bractwie Kurkowym, powielał je na ksero przecież. - Nie wydumasz

mądrości bez pieniędzy - przekonuje. - Życie jest naprawdę piękne, szarość nie musi być ponura - twierdzi to samo, co doktor Jachniak.

### Aresztowany

Jako wróg publiczny... 16 maja 1950 roku zostałem aresztowany przez Zarząd Główny Informacji Wojska Polskiego. Szef Informacji, płk Antoni Skulbaszewski, oświadczył mi ironicznie: - Skarb Państwa nie wykończył cię, ale teraz jesteś w naszych rękach.

Włączono mnie do procesu Sztabu Armii Krajowej, czyli grupy oficerów z gen. Stanisławem Tatarem na czele. Ponieważ w czasie pracy zawodowej kontaktowałem się z byłymi oficerami WP, też z gen. Tatarem, i z różnymi byłymi członkami AK, księżmi, naukowcami, działaczami gospodarczymi, oskarżono mnie o usiłowanie usunięcia przemocą organów Władzy Zwierzchniej Narodu, o usiłowanie zmiany przemocą ustroju Państwa Polskiego, o faszyzację, o szpiegostwo.

Przeżyłem gehennę. Wielogodzinne przesłuchania. Pluto mi w twarz, oblewano wodą na mrozie, głodzono, torturowano psychicznie. Przez cztery i pół miesiąca stałem na nogach prawie bez przerwy. Miałem oskarżyć ministra Kwiatkowskiego, generała Tatara oraz parudziesięciu naukowców polskich o zdradę narodu, szpiegostwo i ludobójstwo klasy robotniczej. Kpt. Marian Popiołek, oficer śledczy, i płk Władysław Kochan, kierownik wydziału w Informacji, namawiali: - Podpisz to, co żądamy. Twój znajomi podpisali. Chodzą na spacer, normalnie śpią. Dostają paczki, książki. - Zauważali, że moje ubranie zmieniło się w zgniłe strzępki, zrobiła mi się ogromna przepuklina od "stójek", broczę krwią. Schudłem o pięćdziesiąt cztery kilogramy ze stu szesnastu, przy stu osiemdziesięciu siedmiu centymetrach wzrostu.

W marcu lub kwietniu 1951 roku, kiedy stan mojego zdrowia wyraźnie się pogorszył, przyszedł do mnie płk Kochan. Oświadczył, że wybiła dla mnie ostatnia godzina: - Proces zakończony, wszyscy podpisali zeznania. Tylko ty się opierasz. Ale możesz jeszcze podpisać. - Poprosiłem, by mnie dobił. Nie zamierzałem oskarżyć niewinnych ludzi. Płk Kochan zwrócił się do kpt. Popiołka: - Nie baw się z nim dłużej. Kończyć! - Nadszedł wtedy płk Skulbaszewski. - Rozbij nam proces - Skulbaszewski i Kochan powtarzali te słowa wielokrotnie między sobą - więc lepiej dać mu w łeb.

Kpt. Popiołek poinformował mnie wkrótce, że zostałem skazany na karę śmierci - i to czterokrotnie - i że wyrok może być wykonany każdego dnia. Nie ustąpiłem.

Wywieziono mnie na Cytadelę i umieszczono w tak zwanej celi śmierci. Spotkałem tam moich dowódców z 82. pułku piechoty z Brześcia: płk. Stanisława Wilocha i Romualda Sidorskiego, wielu innych, gen. Eugeniusza Luśniaka, kontradmirała Adama Mochuczego. Przebywałem ponad rok bez książki, bez gazety, bez wiadomości od bliskich, bez powietrza, w głodzie, zimnie i wilgoci, wśród zdesperowanych, załamanych ludzi. W czerwcu 1952 roku przewieziono mnie z powrotem do Zarządu Informacji. Płk Kochan rozmawiał ze mną ponad dwie godziny. Oświadczył: - Pozostałeś ostatni z procesu Tatara. Nic ci nie pomoże, czeka cię taki sam los jak tamtych. - Zrozumiałem, że wszyscy zostali straceni. Później jakiś oficer śledczy tłumaczył mi, że wbrew swemu przekonaniu musi jednak sporządzić akt oskarżenia. - I tak nie macie, obywatelu, żadnych szans na łaskę przy czterech karach śmierci - wyjaśnił dobrotliwie.

1 września 1952 roku odbył się w końcu proces: bez obrony, bez świadków, bez dowodów, przy zamkniętych drzwiach. Skazano mnie na piętnaście lat więzienia za rzekome szpiegostwo. Po blisko sześciu latach męki, 25 kwietnia 1956 roku, zostałem wypuszczony na wolność. W grudniu 1956 roku otrzymałem pismo: *"Naczelną Prokuraturę Wojskową postępowanie karne w sprawie ob. Jachniaka z braku dowodów winy umorzyła. Oznacza to całkowitą rehabilitację"*.

### Zapamiętałem słowa

Antoni Oremus pracuje w rodzinnym zakładzie rzemieślniczym, założonym w 1907 roku. Zakład ten spełnia też funkcję pracowni dla studentów architektury wewnątrz Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie.

- Ze spotkań z doktorem Jachniakiem zapamiętałem słowa, wypowiedziane do więziennych oprawców: *"O, dotąd możecie mnie amputować, byleby mi głowa została"*. W stanie bliskim załamania wykorzystałbym może zasłyszane doświadczenia i rady - mówi Oremus, o ćwierć wieku młodszy od Jachniaka, ślusarz - artysta i wykładowca metaloplastyki. Z jego pracowni wyszły między innymi tabernakula do kaplicy dolnej kościoła w Bieńczycach w Nowej Hucie i do kościoła w Prokocimiu Nowym w Krakowie, też do katedry w Białymstoku. Mistrz wykonał urnę do Pomnika Grunwaldzkiego w Krakowie, ołtarze do kościołów Matki Boskiej Zwycięskiej i Pana Jezusa Dobrego Pasterza w Krakowie, kute drzwi do kościoła oo. redemptorystów w Krakowie, wiele artystycznych krat, lamp, żyrandoli. W Bractwie Kurkowym pełni funkcję wiceprezesa Zarządu Towarzystwa.

Tworzy kolejne stacje drogi krzyżowej, kolejny ołtarz, kolejne tabernakula - po nowohuckiej "Arce" - dla kościołów w Jodłowniku i Wadowicach. Przyznaje, że w dzieło z metalu wtapia treści doktora Jachniaka: *"Nadzieja pozwala przetrwać kłęski, angażować się tam, gdzie racjonalna kalkulacja każe zrezygnować. Wiele czynów wielkich zrodziło się z nadziei, wiele też szlachetnych szaleństw, zmieniających losy narodów. Bez nadziei nie ma życia, bez soków nadziei zostaje tylko droga do śmierci. O spełnieniu nadziei decyduje sam los i czasami się zdarza, że w wielkim młynie bytu, w wielkiej gmatwaninie zdarzeń rzeczywiście padnie oczekiwana wygrana. Można by więc powiedzieć, że mam zaufanie do nadziei, gdyż w tym totalitarnym maglu, jakim jest świat, zawsze ktoś wygrywa"*.

### Zatrudniono mnie

Po więzieniu nie mogłem znaleźć pracy. Wreszcie zostałem zastępcą magazyniera w hurtowni Wojewódzkiego Związku Spółdzielczości Pracy w Warszawie. Przez przypadek odnalazł mnie tam wiceprezes Spółdzielczości Pracy, były pracownik "Polcarga" w Gdyni, i pomógł mi objąć w hurtowni stanowisko inspektora. Dużo później zatrudniono mnie jako ekonomistę, między innymi w Departamencie Planowania i Analiz w Komitecie Drobnej Wytwarzalności. Zainteresowałem się rzemiosłem od strony ekonomicznej. Prowadziłem prace badawcze w Instytucie Przemysłu Drobno- i Rzemiosła w Warszawie.

Dźwigam bagaż doświadczeń, które spadły na mnie w latach powojennych, a także ciężar pewnej misji. To ona wypełnia mi życie. W więziennej "kibłówce" we Wronkach gen. Tatar powiedział mi: - Jesteś z nas najmłodszy, najsilniejszy. Z pewnością przeżyjesz. Po mojej śmierci ujawnisz to, co ci powiem.

Co takiego przekazał mi w spadku gen. Tatar? ...Otóż w kwietniu 1936 roku został utworzony Fundusz Obrony Narodowej na rozbudowę przemysłu zbrojeniowego. Udział społeczeństwa w składaniu darów na FON miał charakter manifestacji patriotycznej. Biedni i bogaci, chłopci i inteligencja, wszyscy obywatele nieśli w darze przedmioty złote i srebrne, papiery wartościowe i wszelkie kosztowności. Dary w metalach szlachetnych zdeponowano w magazynach Ministerstwa Spraw Wojskowych. Nie zdążono skorzystać z nich w pełni. Do 1940 roku FON przetransportowano do Londynu przez Bukareszt i Paryż. Skarb składał się z dwóch części: złotej i srebrnej. Srebrny FON wrócił do kraju w 1976 roku w blasku jupiterów, a Złoty FON?

W 1942 roku opiekę nad Złotym FON-em przejął w Londynie minister obrony narodowej, gen. Marian Kukiel. Trzysta pięćdziesiąt kilogramów złotych przedmiotów



przechowywano w jedenastu skrzyniach artyleryjskich w podziemiach londyńskiego Hotelu Rubensa. U schyłku 1944 roku "Komitet Trzech", z gen. Tatarem i płk.: Stanisławem Nowickim i Marianem Utnikiem, przeniósł i ukrył kosztowności. Działając wbrew polityce rządu londyńskiego, gen. Tatar porozumiał się z rządem w Polsce. Zaproponował przekazanie zabezpieczonego złota do Ojczyzny z przeznaczeniem na odbudowę kraju. W Londynie zmarł gen. Lucjan Żeligowski, którego ostatnim życzeniem było pochowanie go w Polsce. W lipcu 1947 roku - przy okazji transportu samolotem zwłok generała - przewieziono do Warszawy złoto FON-u.

Akcją odbioru ładunku dowodził gen. Piotr Jaroszewicz. Gen. Tatar otrzymał Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski z rąk premiera Józefa Cyrankiewicza i... został aresztowany przez Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego. Złoto przypadło, historię Złotego FON-u przykryła mgła tajemnicy i cenzura.

Gen. Tatar przeżył więzienie. Próbował bezskutecznie odsłonić prawdę o Złotym FON-ie. W 1979 roku złożył na ten temat relację przed gronem historyków w Kurii Biskupiej w Lublinie. Kiedy umarł w 1980 roku, miałem zaszczyt przemawiać nad jego grobem. Złożyłem ślubowanie, że sprawę Złotego FON-u doprowadzę do końca, żeby dowiedzieli się o nim ludzie.

W 1982 roku na podstawie dwóch tysięcy stron dowodów i dokumentów oskarżyłem Józefa Cyrankiewicza, Piotra Jaroszewicza i innych przedstawicieli władz PRL o kradzież trzystu pięćdziesięciu kilogramów biżuterii złotej, w tym osiemnastu kilogramów brylantów i ponad trzydziestu sześciu kilogramów monet numizmatycznych, pochodzących z FON. Komisja Odpowiedzialności Konstytucyjnej przy Sejmie PRL przekazała moje pismo Prokuratorowi Generalnemu PRL. Zainteresowałem sprawą kilkadziesiąt instytucji państwa. Wsadziłem kij w mrowisko. Jeśli uda mi się doprowadzić do ujawnienia i wyjaśnienia choć w części tajemniczej historii zaginięcia Złotego FON-u, spełnię swoją życiową misję. Za to ujawnienie czuję się odpowiedzialny moralnie wobec nie żyjących świadków historii.

### Złagodzić cierpienie

Tadeusz Solarski, stary zagorzalec polskości, zapytał doktora Jachniaka wprost, czy on chce złagodzić jego cierpienie. Jako dwudziestodwuletni młodzieniec, wychowany w patriotycznym domu, 21 maja 1939 roku zgłosił się do starostwa powiatowego w Rypinie na kamikadze. Chciał skakać na obiekty wojskowe wroga, obładowany dynamitem. Był jednym z tysiąca trzystu polskich kamikadze, których poświęcenia - bezsensownego - nie wykorzystano na szczęście. W czasie okupacji musiał uciekać do Generalnej Guberni jako poszukiwany przez Niemców fanatyk.

Po wojnie wyjechał do Karlina na Ziemię Odzyskane. Zajął tam duży dom i marzył o krawiectwie na wielką skalę. W 1948 roku pijani żołnierze radzieccy najechali na niego ciężkim samochodem. Przeszedł kilka operacji jamy brzusznej i głowy. Nie otrzymał odszkodowania. Na leczenie wydał pół miliona złotych, sprzedając wszystko, co posiadał.

Powrócił do rodzinnego Rypina. Zraził się, nie chciał być krawcem w żadnej spółdzielni. Dwieście pięćdziesiąt złotych życzył sobie wtedy za uszycie garnitur. Na jego jednoosobowy zakładnik krawiecki spadł domiar w wysokości stu tysięcy złotych. Dzięki życzliwemu sekwestratorowi dotrwał do 1956 roku. Szył garnitury, spodnie, lekkie płaszcze przez trzydzieści kilka lat. Nie dorobił się niczego. Czegoś mu zabrakło: zapala, perspektywy? Emeryturę - po podwyżkach - odbiera śmiesznie niską.

Na wczasach w Zakopanem poznał samotną lekarzkę okulistkę. Rzucił Rypin. Wprowadził się do jej jednego pokoju z kuchnią w Krakowie. Zainteresował się Bractwem Kurkowym i wykładami doktora Jachniaka o cierpieniu: *"Cierpienie jest koniecznością rozwoju. Bez cierpienia nie ma korekty dążeń ludzkich i nie ma dążenia do doskonałości. Nie*

*ma refleksji nad własnym postępowaniem. Cierpienie jest motorem poznania. Cierpienie odkrywa prawdę i fałsz, drogę właściwą i niewłaściwą. Tworzy ono człowieka. Rozgoryczenie i ból osiąga wszystkich jednakowo: i królów, i żebraków, i mędrców, i głupców. Cierpienie jest bowiem tym wymiarem, który przenosi człowieka ponad sferę działania intelektu, przewidywania, mądrości życiowej, wiedzy naukowej i sprawdza siłę charakteru, zdolność do wydobycia z siebie sił nadludzkich. Cierpienie sprawdza więc wartość człowieka".*

- Chce pan złagodzić moje cierpienie? Nie złagodzi go pan niczym mimo starań. Co mi po wykładach o człowieczeństwie, mądrości, nadziei, Złotym FON-ie? Nie interesuje mnie, co ma pan do powiedzenia. Życie jest jedno, a ja zbyt odczuwam ból: ten ustrój pokrzyżował moje plany! - stwierdził w dyskusji w Bractwie.

Uważa, że dał się zaskoczyć w 1945 roku. Pewien Niemiec, doktor filozofii, którego poznał w Karlinie, szepnął: - Panie SolarSKI, pan musi jechać ze mną do Wiednia. Taki człowiek jak pan nie może pozostać w komunistycznej Polsce.

SolarSKI - fanatyk polskości - żałuje, że nie posłuchał Niemca, że nie zbił majątku i że nie bywa w Polsce tylko po to, by wydawać emeryturę. Cierpi, że nic nie przyniosła zaoferowana Polsce energia drobnego wytwórcy garniturów.

### Utrafiłem w sedno

Zamieszkałem u rodziny w Krakowie. Zawodowo zainteresowany problematyką rzemiosła, zostałem członkiem Bractwa Kurkowego. Strój brata kurkowego dorównuje w końcu strojowi sokolnika, noszonemu przez mego dziadka... W 1985 roku zaproponowałem temu towarzystwu rzemieślników utworzenie Klubu Dyskusyjnego, który zgodnie ze Statutem Bractwa "kształtowałby świadomość obywatelską". Okazało się, że utrafiłem w samo sedno niepokojów ludzi, zadających sobie pytanie: jak żyć, co robić, by nie tracić ludzkiej energii i wrażliwości. Jako świadek dramatów politycznych i społecznych, które zabrały mi najpiękniejsze lata, pragnę pozostawić po sobie nie tylko spojrzenie wstecz, lecz przede wszystkim zapowiedzieć dzień jutrzejszy XXI wieku. Młodemu pokoleniu proponuję refleksję nad pełnią i pięknem życia, nad cierpieniem, samotnością i wiarą, obojętnością i nadzieją, człowieczeństwem, godnością i losem prostego człowieka. Klub powstał i bracia kurkowi wynoszą z niego tezę, że należy z szacunkiem i odkrytą głową wchodzić do świątyń pamięci narodowej, oddawać cześć ofiarom, wysiłkom, dziełom odchodzących pokoleń. Oraz że historia nie może przeszkadzać w tworzeniu przyszłości. Opowiadam o tym, kontynuując życiową walkę.

W Uniwersytecie Warszawskim uzyskałem doktorat z nauk o organizacji i zarządzaniu w wieku sześćdziesięciu pięciu lat przecież, stałem się analitykiem i prognostykiem w siedmiu dziedzinach gospodarczych. Ukończyłem kilka specjalistycznych kursów. Do czasu przejścia na emeryturę w 1978 roku pracowałem jako główny specjalista do spraw postępu ekonomicznego w Instytucie Ekonomiki Przemysłu Chemicznego, potem jako wykładowca w Ośrodku Szkolenia Kadr Kierowniczych Przemysłu Chemicznego w Warszawie. Mimo emerytury i inwalidztwa - wskutek przejść więziennych - prowadzę wykłady między innymi z ekonomiki turystyki w Szkole Głównej Planowania i Statystyki w Warszawie. Przygotowuję pracę habilitacyjną.

Walczę, gdyż czuję się u siebie, w swojej Ojczyźnie. "*Oto jest sumienie narodowe!*" - że powtórzę słowa kardynała Stefana Wyszyńskiego. Gospodarujemy olbrzymimi dobrami, chcemy, aby procentowały one na naszej ziemi. Prowadzę w Klubie dyskusje pod hasłem: "Konfrontacje poglądów na życie", aby udowodnić, że człowiek nie jest zwolniony z walki z sobą i z walki o siebie do ostatnich swych dni i że życie jest naprawdę piękne, a jego szarość nie musi być ponura. Ja, Władysław Jachniak, oddałem swoją skromną osobę, wraz z długoletnimi doświadczeniami i kwalifikacjami, tej sprawie.

(W nawiązaniu, z "Wikipedii": *"Po przywiezieniu do Polski złoto FON zostało zdeponowane w Oddziale II Sztabu Generalnego WP. Dopiero w 1948 r. kruszec i precjoza przekazano do NBP. W latach 50. depozyt stopniowo likwidowano. Część biżuterii rozkradziono, część rozdano jako podarki dla dygnitarzy, a część trafiła do Desy. Pod koniec 1989 r. śledztwo w sprawie FON wszczęła prokuratura i działająca na zlecenie Sejmu NIK. Śledztwo umorzono, bo ślady defraudacji zostały przez wywiad wojskowy starannie zatarte").*



## Czyny i ...ucieczka z obozu śmierci

Rozmowy (jako zaczyn):

*...On jeszcze był biskupem pomocniczym w Krakowie, partia chciała zabrać gmach seminarium na Wolskiej. I Wojtyła w cywilu, tylko w koloratce, poszedł do sekretarza partii Motyki prosić, żeby tego nie robić, że to jest zabytkowy gmach, że tam zawsze było seminarium. Był to pierwszy wypadek, że biskup poszedł do sekretarza partii. Motyka zadzwonił do Warszawy. (Stefan Kisielewski)*

*...Kościół przedstawiał wówczas kandydatury trzech biskupów na objęcie metropolii. To władza wskazywała, który z kandydatów jest odpowiedni. Kiedy zmarł arcybiskup Eugeniusz Baziak, Lucjan Motyka, z którym Wojtyła był w bliskich - jeśli można tak powiedzieć - stosunkach, wskazał go jako kandydata. Gdyby PZPR nie zezwoliło na objęcie przez Karola Wojtyłę metropolii krakowskiej, to jego historia mogłaby się potoczyć inaczej. (Wojciech Jaruzelski)*

*...Który skrzywdziłeś człowieka prostego... Spisane będą czyny i rozmowy... (Czesław Miłosz)*

Spod piwnicznego, kapiącego wilgocią sufitu zwisała bryła ciała. Złamane żebra, utracone stawy, krew. Podkute buty zdeptały mięsień sercowy, a głusząca krzyki maska gazowa z zakręconym pochłaniaczem uszkodziła drogi oddechowe. - Dobrej zabawy! - wykrzykiwał esesman Friedrich. - Viel Vergnügen! - I bił, aż podłoga, brunatna i lepka, barwiła się świeżą czerwienią.

Lucjan z wygiętymi do tyłu rękami wisiał na kracie okna. Pod wieczór, na koniec trzeciego dnia tortur, przecięto więzy. Spadł jak worek kartofli. Otrzeźwiał w chłodzie posadzki, cuchnącej zakrzepłą krwią. Był sam w piwnicy z numerem "7", nazywanej całą śmierci.

Odepchnął się od ściany i rozejrzał. Przez zakratowane okno, sięgające poziomu ziemi, wdzierał się księżyc. Za oknem chodził strażnik, raz na dwadzieścia minut jego buty waliły obok kraty.

Zebrał myśli. Co będzie, jeśli nie wytrzyma bicia i wyda? Sporo wiedział. Nie ma szans, aby wrócić z piekła na ziemię. Spojrzał na hak do blokowania okna, tkwiący głęboko w ścianie, a potem na pasek, który pozostawiono mu przy spodniach. Poczul się szczęśliwy, och, jak szczęśliwy. Nie będzie już bity! Zagwizdał radośnie. Wyrwał, nie zdradził.

Był gotów, odprężony, pogodny. Pożegnał się ze sobą. Czekał na śmierć jak na zbawienie, wyzwolenie od bólu. Zanucił: *pamiętasz tę noc księżycową...* - zwrotkę tanga księżycowego. Wyciągnął pasek ze spodni, gwoździem od paska wydrapał na ścianie słowa:

LUCJAN MOTYKA ZMARŁ W TEJ CELI. Stał z wysiłkiem na półmetrowym występie pod oknem. Rzemień paska przeciągnął przez metalową sprzączkę, a jego koniec zawiązał na haku przyokiennym, sterczącym na wyciągnięcie ręki. Pomyślał jeszcze o życiu, że dobre było, i że nie wydał! - No, to cześć!... - Zaciął pętlę na szyi. Zeskoczył w otchłań...

### Dom

Pomalowany na żółto dom. Podwórze w jaskrawym słońcu. Kury, kaczki i pies, ujadający na widok mężczyzny w strojnym mundurze austro-węgierskiego cesarstwa.

- Lutek, nie ruszaj ławy - zawołała matka. Korpulentna, przysadzista, siwiejąca. Okrągłe ramiona zaplatała w trójkątny, wełniany pled, którego kraty i pasy mieniły się barwami wedle pór roku. Głowę otulała chustami w tureckie wzory z kwiatami, zsuwającymi się na dobroduszne, błękitne oczy.

Żołnierz wyszedł przed dom z czarnym chlebem i menażką gorącej kawy. Usiadł ciężko na ławie, a ona - o składanych nogach, zaczepianych haczykiem od spodu - runęła pod jego ciężarem na drewnianą werandę.

Chłopiec roześmiał się cicho. Po chwili uciekał co sił w nogach przed zdenerwowanym wojakiem. - Proszę pani, a pani... - zawołał na wchodzącą do domu szczupłą kobietę. - Głowę wcisnął w płaszcz pani, w długie, ciemnoblond warkocze, wydostające się spod szerokiego kapelusza. - Pani...

- Dzień dobry, synku. Musisz przeprosić ojca.

- Tak, proszę pani...

Szepnął "przepraszam" i przestał uciekać. Dostrzegł łzy pod warkoczami, więc rzekł cicho: - Niech nie płacze... za "pani".

- Dobrze ci u pani Lipowiczowej?

- Tak.

Do rodzonej matki mówił "pani", a do Lipowiczowej "mamo". Czemu? Nie rozumiał. Dochodził prawdy z wysiłkiem. Jego matka miała kochane nogi jak konewki, a pani była chuda, ubrana po miejsku, odległa.

- Podobnyś, Lutek, do matki, podobnyś - mruzczała śpiewnie przy kuchni Lipowiczowa - gęby macie szerokie, a nosy zadarte jak haczyki u ławy.

Rodzona matka pracowała jako szwaczka. Jej pierwszy syn Józef, oddany ciotce na wychowanie, rozchorował się z głodu. W szpitalu św. Łazarza w Krakowie wyciągnął ręce i zawołał "tato" do spotkanego tam Lipowicza z Wieliczki. Wojna, bieda, choroby. - Weź go na wychowanie - poprosiła. Bezdzielni, wychowujący garstkę cudzych dzieci Lipowiczowie wzięli Józka, a potem Lutka, kiedy miał pół roku.

Ojciec rodzony, stolarz, zginął na froncie. Pozostał w pamięci w cesarsko - królewskim mundurze, oblanym kawą na wywróconej ławie. Lipowicz pracował w magistracie w Wieliczce jako dozorca. Na emeryturze dorabiał, rąbiąc drwa. Rosły, silny, z kompletem zdrowych zębów i bez siwego włosa. Umiał się ledwo podpisać. Lubiany przez ludzi, uwielbiany przez dzieci, które chwyciły jego twarde ręce, chichocząc z zabawy.

Zapisał Lutka do szkoły ludowej, myląc datę urodzenia i imię. Sądził, że Lutek to Ludwik, a nie Lucjan, i że chłopak ma siedem, a nie sześć lat. Pomyłkowe dane przetrwały aż do gimnazjum, gdy wyciąg metrykalny z imieniem i datą urodzenia: 4 maja 1915 roku, konieczny przy przyjęciu, naprawił pomyłkę. Czesne do gimnazjum im. Jana Matejki w Wieliczce podarował dobroczynnie doktor Baraniecki, opiekujący się rodziną. Dostrzegł u Lutka zdolności artystyczne. Na ścianach domu Lipowiczów wisiały rysunki chłopca, wykonane kredką na tanim papierze pakunkowym, przedstawiające przygody z książek Karola Maya.

Przez pierwsze cztery klasy biegał do gimnazjum boso. Nie był jedyny taki bez butów. Garnek kawy zbożowej oraz chleb ze smalcem starczał na cały boży dzień. Kiedy zamożny kolega z ławy szkolnej, pochodzący z rodziny kupieckiej, zaprosił go do swego domu na obiad, nie wiedział, jak posługiwać się sztućcami. Po lekcjach rąbał drewno razem z Lipowiczem, zarabiał grosze i buntował się przeciwko niesprawiedliwemu światu.

Chwytał i pożerał książki. Czytał łatwo, szybko i dużo. Często w nocy, pod kocem, przyświecając latarką, ponieważ u Lipowiczów wszyscy spali w jednym pokoju. Oczywiście London, Walter Scott, Dumas, Sienkiewicz. Kupował książeczki wydawnictwa "Rój" po dziewięćdziesiąt pięć groszy za sztukę, popularnonaukową "Boczną antenę" z krzykliwymi tytułami. Dzięki lekturom wyróżniał się zasobem słów, poprawnym wysławianiem na lekcjach języka polskiego.

Lipowiczowie pilnowali, by dzieci nie zaniedbywały nauki religii. Wieszali święte obrazy, ale sami nie chodzili do kościoła. - Modli się pod figurą, a diabła ma za skórą - mówiła Lipowiczowa. Za to Lipowicz wyznawał filozofię, przeciwko której Lutek się buntował: - Biednemu wiatr w oczy wieje i zawsze to biedny jest bity. Pokorne ciele dwie matki ssie, więc i księdza w rękę pocałuj!

- Matka Boska wniebowstąpiła żywcem? - zapytał księdza.

- Z ciebie to urośnie taki, co nie będzie wierzył - usłyszał w odpowiedzi.

Matkę rodzoną miał wielce pobożną. Przez pewien czas była ona gospodynią u księdza na plebanii. Jako szwaczka i gospodyni kontaktowała się z ludźmi wykształconymi, potrafiła więc i przemówić kulturalnie, i zachować się jak trzeba. Wykazywała zdolności organizacyjne, przewodnicząc w Krakowie Katolickiemu Stowarzyszeniu Służby Domowej. Pomagała Lipowiczom finansowo. Datki nie pokrywały potrzeb dzieci. Kupowała odzież i co tylko mogła, dopóki nie podupadła na zdrowiu. Pod jej wpływem Lutek długo jeszcze odruchowo ściągał czapkę, przechodząc koło kościoła.

Uczył się dobrze. Profesorowie plastyki wysoko oceniali jego pastelowe ujęcia martwej natury. Działał w samorządzie szkolnym jako wójt klasowy. Od kolegów pożyczał podręczniki, przepisywał je. Bazował na dobrej pamięci. Sądził, że w szóstej klasie otrzyma darmowy komplet podręczników z pomocy uczniowskiej. Obowiązkowe w szóstej klasie książki dostał jednak inny biedny gimnazjalista. Kazano mu wyjść z klasy, ponieważ nie miał z czego czytać na lekcji języka niemieckiego. Dziewięć metrów, dzielących go od drzwi, odmierzył dokładnie piętnastoma krokami. Śniły mu się one później przez rok. Nie wrócił do szkoły, choć podręczniki przyznano mu po dwóch miesiącach w drodze wyjątku. Zawziął się. Postanowił zgłębiać wiedzę sam.

Zaczął pracować. Wsiąkł w środowisko robotników, którzy zawierzali coraz mocniej ideom socjalistycznym.

## Śmierć

Poczuł krew w ustach. Otworzył oczy. Z przyokiennego haka zwisał rzemień paska z pękniętą sprzączką. Ogarnął go żal, bolesny zawód, a głównie strach. Skąd wziąć znów siłę, by wytrwać?

Samochody, załadowane ludźmi, zajeżdżały na dziedziniec przy ulicy Montelupich. Usłyszał zgrzyt klucza w drzwiach i strzały przed więzieniem. Jeden, drugi, potem seria..., tam gdzie piętrzyły się zwaly węgla. Drzwi otworzył młody Ukrainiec ze wsi spod Złoczowa, niewysoki, z zadartym nosem. Wiedzano o nim tyle, że nienawidzi Żydów. Wprowadził więźnia jak papier, bez kropli krwi na twarzy. Podczas łapanki nieszczęśnik ów nie potrafił ukryć swych żydowskich rysów.

Lucjan zetknął się z esesmanem spod Złoczowa kilka dni temu, w szesnastoosobowej celi. Akurat na odpadkach papieru rysował ołówkiem karty do brydza. Ukrainiec wypatrzył go przez wizjer. - Szto ty? - zawarczał i zaczął bić kluczem wielkim jak u świętego Piotra.

- Narysuję pana... - krzyknął Lucjan. Zaciekawiał. Po chwili portret z zadartym nosem był gotowy. - Ale rysuje, skurwiel! - esesman zapiał z zachwytu. Kiedy nazajutrz roznoszono zupę, zawołał: - Temu tam malarzowi od dna!

Wprowadzony Żyd upadł. Esesman stanął na gardle więźnia. Chwila... Śmierć. W ciszy. - A ty w inszomu misci! - sapnął i poprowadził Lucjana do pojedynki z czterema osobami.

Przez tydzień nie był wywoływany na przesłuchania. Opuchnięty, z martwicą pleców po biciu, doszedł do siebie dzięki wazelinie, wytrzaśniętej skądś przez współwięźniów. - Ktoś tu jest malarz? - esesman - morderca stanął w drzwiach. Mrugnął. - Ja! - zawołał więc.

Trafił do Arbeiterzelle, czyli do celi dla robotników. Miał luksus: łóżka trzypiętrowe, spacer do pracy po korytarzach, po podwórzu. Wdychał świeże powietrze i oglądał słońce. Praca polegała na bieleniu ścian wapnem żrącym i siarczkiem. Nie robił tego wcześniej, ale nauczył się. Malował dwie, trzy cele dziennie, gniótł pluskwy i zapomniał zupełnie o grożącej śmierci.

Któregoś popołudnia, kiedy niósł dziarsko wiadro z wapnem, wyrosła przed nim sylwetka młodego Niemca, studenta Politechniki Lwowskiej, pełniącego funkcję tłumacza przy przesłuchaniach. - Halt! Ty żyjesz? - oczy Niemca zaokrągliły się ze zdziwienia. - Bandit! - rzekł i śpiesznie odszedł.

Lucjan zrozumiał wszystko. - Tamtego Żyda wzięto za mnie... - W celi znaleziono zwłoki. Uznano, że to więzień Motyka nie żyje... Podjeżdżające samochody, krzyki aresztowanych w łapance, wystrzały, ogólny rozgardiasz i bałagan. A akta? A zdeponowane rzeczy? Wiedział, że łapanka stanowiła odwet za nieudany zamach żołnierzy "Kedywu" na życie wyższego dowódcy SS i policji Krügera 20 kwietnia 1943 roku. Aresztowano tak wielu ludzi, że ewidencjonowano ich do rana.

- Za co tu jesteś? - rozpoczęło się przesłuchanie w kancelarii więziennej.

- Czytałem gazetkę.

Gruby funkcjonariusz ledwie słuchał, ponieważ szeptał do młodego tłumacza, studenta ze Lwowa: - Znasz najlepszy wic? Ausch-witz! - Obaj wybuchi śmiechem.

- Co, za gazetkę. Jaką?

- Taką o sprawiedliwości społecznej.

- To ty taki...

Lucjan zorientował się w mig, że akta przepadły w masie.

- Podpisz protokół, Motyka.

Zerknął w plik papierów, próbując wypatrzeć swój los.

### Ze sztandarami

W dorosłość poprowadził go trzynastcie lat starszy Stanisław Maciejasz, bratanek Lipowiczów, górnik soli w Wieliczce, socjalista, skarbnik koła Polskiej Partii Socjalistycznej, działacz związku zawodowego górników. Żyłasty, z orlim nosem. To Maciejasz kupił mu pierwsze buty. To z nim zachodził do związanego z PPS Domu Robotniczego przy ulicy Szpunara w Wieliczce - siedziby Towarzystwa Uniwersytetów Robotniczych, związków zawodowych, redakcji biuletynu robotniczego. W Domu robotnicy słuchali odczytów, czytali gazety, grali w szachy. Myli podłogi, a w zimie palili w piecu.

Czuł się tam coraz lepiej. Zgrabnie rysował i kaligrafował. Został sekretarzem Organizacji Młodzieży TUR w wieku szesnastu lat. - Wyrosłem na postać numer jeden w TUR, numer jeden od mycia podłogi - żartuje Lucjan Motyka. - Korzystałem z

przekazywanych nauk, szczególnie ekonomicznych i filozoficznych. Nauczyłem się wystukiwać na maszynie formułki prawne, pomocne PPS w walce politycznej.

Rozpoczął pracę w firmie żydowskiej Woksa w Podgórzu, wytwarzającej latarki z blachy, później w firmie Muranigo na Grzegórkach, produkującej parkiety i skrzynki drewniane. Zarabiał dwa złote czterdzieści groszy dziennie, dokładając się znacznie do domowego budżetu.

Co jakiś czas trafiał na bezrobocie. Był robotnikiem budowlanym i wypatrywał lepszego zajęcia. Kopał rowy, by nabierać prawa do zasiłku dla bezrobotnych. Rowy, zasiłek, znów rowy... i tak w kółko. Gdy po raz kolejny został bez pracy, wstąpił ochotniczo do wojska. Wybrał 2 Batalion Czołgów i Samochodów Pancernych w Żurawicy. Skończył z pierwszą lokatą przybatalionową szkołę podoficerską. Pisał piosenki żołnierskie, a nawet satyryczne skecze do teatrzyków, podróżujących po pułkach. Z racji przekonań nie odpowiadała mu jednak kariera w sanacyjnym wojsku. Wrócił do cywila w 1935 roku jako dojrzały mężczyzna: wysportowany, szczupły, ze sto siedemdziesięcioma dziewięcioma centymetrami wzrostu, z wesołą twarzą, wytrzymały i silny, tak że nawet dwie dziewczyny brał na ręce. Czytał dalej. Po Dickensie oraz nowelach z życia rewolucjonistów polskich Struga dojrzał do dzieł znacznych. Z polskiego dorobku nie opuścił niczego ważnego, w światowej klasycy służyły mu za przewodnika tak zwane biblioteki Boya i Boyé. Tadeusz Boy - Żeleński, pisarz, tłumacz literatury francuskiej, polecał książki niedrogie, podobnie jak i Edward Boyé, który przetłumaczył z hiszpańskiego choćby "Don Kichota".

Ze zdobytym w wojsku zawodem kierowcy rozpoczął działalność w Związku Zawodowym Transportowców, zrzeszającym obok kierowców też pracowników żeglugi śródlądowej, tragarzy, flisaków, furmanów, bagażowych. W TUR poznał Józefa Cyrankiewicza, czołowego działacza PPS w Krakowie. Opowiedział się za ideami radykalnymi i współpracą z komunistami w związku. Popadł w konflikt z niektórymi socjalistami, przykładowo z Adamem Ciołkoszem. Został wykreślony z PPS. Skontaktował się wtedy z Wandą Wasilewską, po czym wstąpił do Komunistycznej Partii Polski. Wrócił do PPS po rozwiązaniu KPP przez Komintern - III Międzynarodówkę Komunistyczną. Zarabiał co miesiąc trzydzieści złotych jako sekretarz związku zawodowego. Bilet miesięczny z Krakowa do Wieliczki kosztował dziewięć złotych, porządny obiad - siedemdziesiąt groszy. Chodził "na widelec" za trzydzieści pięć groszy na ulicę Sienną. Na śniadanie wydawał dwanaście groszy: szklanka mleka - osiem groszy i bułka - cztery grosze. Nie głodował.

Przez Małopolskę przechodziła fala krwawych starć chłopów i robotników z policją. 23 marca 1936 roku z inicjatywy komunistów i socjalistów Krakowska Rada Związków Zawodowych proklamowała strajk powszechny. Pod hasłami: o chleb, o pracę, o wolność i pokój stanęły prawie wszystkie fabryki Krakowa. Razem z Cyrankiewiczem szedł na przedzie dwudziestotysięcznego pochodu ze sztandarami. Koło Barbakanu drogę zagroził podwójny kordon policji. Padły strzały. Poległo ośmiu robotników, ponad dwudziestu przewieziono do szpitali, wielu rannych nie ujawniło się w obawie przed szykanami. Po pogrzebie ofiar sformowała się stutysięczna manifestacja. Poprowadził na nią grupę pieszą z Wieliczki.

Aresztowano go razem z kilkuset działaczami lewicowymi. Osadzono z dwudziestoma sześcioma na dwa i pół tygodnia w więzieniu "u Michała", czyli w klasztorze św. Michała przy ulicy Senatorskiej w Krakowie. Uwięzieni uczyli jedni drugich, czytali książki przemycane do celi, aranżowali zażarte dyskusje społeczno - filozoficzne.

Kilka pierwszych miesięcy 1937 roku spędził w Berezie Kartuskiej na mocy orzeczenia: *"Pan Wojewoda Krakowski postanawia umieścić Pana w obozie odosobnienia jako niebezpiecznego dla bezpieczeństwa publicznego"*. Udręki, tortury psychiczne, znęcanie się fizyczne. Warunkiem opuszczenia Berezy było podpisanie deklaracji o zaprzestaniu działalności politycznej. Tych, co podpisywali, więźniowie osądzali surowo, nazywając "deklarantami". Wyszedł na wolność dzięki interwencji Józefa Cyrankiewicza. Cyrankiewicz



dotarł z oficjalną skargą do Jana Kwapińskiego, socjalisty, członka Organizacji Bojowej PPS sprzed 1918 roku, przewodniczącego Komisji Centralnej Związków Zawodowych, do którego czuł przyjacielski sentyment dowódca OB PPS, marszałek Józef Piłsudski.

Kontynuował pracę związkową aż do wybuchu wojny. Nie otrzymał karty mobilizacyjnej z powodu "anty państwowej postawy". Uciekał na wschód z tabunami ludzi. Przeszedł San i zawędrował do Lwowa, którym zarządzała już administracja radziecka. Spotkał tam sporo znajomych, wśród nich Adama Polewkę, działacza KPP i TUR. Zatrudnił się jako szofer. Na wiosnę wrócił do Krakowa wraz z Polewką oraz innymi komunistami i socjalistami. Wszedł w skład Gwardii Ludowej PPS. Utrzymywał kontakt z lewicowym podziemiem w Rzeszowie, Dębicy, Tarnowie, współdziałał z bojówkami PPS w okolicach Proszowic i Miechowa. Przewoził gazetki, materiały do dywersji. Przykładowo dostarczył środki, powodujące korozję, do fabryki Junkersów w Rzeszowie. Na co dzień pracował jako robotnik w wytwórni wody sodowej albo w garbarni, należącej do znajomego towarzysza partyjnego.

W ramach wydzielonej komórki PPS fałszował przepustki i metryki osób, głównie pochodzenia żydowskiego. Dokumenty preparował ręcznie, bez zaplecza technicznego. Wykorzystywał spryt na poły ze zdolnościami rysunkowymi: w starym sklepiku kupił poźółkłe blankiety wyciągów metrykalnych i przy pomocy kalki technicznej oraz żelazka odbijał na nich pieczęcie herbowe. Pieczęcie znalazł w książce "Spis parafii z okolic Przemyśla". Głowy patronów wychodziły we fiolecie, za to litery stawiał w zarchaizowanym kroju. Z czasem zaczął fałszować z powodzeniem również same kennkarty oraz różne arbeitsscheiny i ausweisy. Współpracując z Komitetem Pomocy Więźniom Obozów Koncentracyjnych, podrabiał identyfikatory robotników cywilnych w Konzentrationslager Auschwitz, umożliwiające wielokrotne przekraczanie bramy obozu i poruszanie się w strefie przyobozowej. Wykonał taki dokument między innymi dla osadzonego w KL Auschwitz, planującego ucieczkę Józefa Cyrankiewicza. Sam sobie wystawił legitymację kolejarską. Jeździł od tej pory za darmo, przewożąc materiały dywersyjne w teczce z podwójnym dnem. Przy łapanekach na dworcach wychodził bocznymi furtkami jako kolejarz, a często wracał po godzinie policyjnej.

Wpadł głupio w Wieliczce. Niemcy zorganizowali obławę na kolejarzy. Wiózł przypadkowo, na prośbę znajomego, trzy lampy radiowe. Na posterunku ochrony kolei okazało się, że w zakamarkach teczki zapodział się mu również kawałek lontu, używanego do sabotażu. Wzięto pod lupę jego legitymację kolejarską.

Trafił na gestapo przy ulicy Pomorskiej w Krakowie, potem do celi śmierci w więzieniu przy Montelupich. - Masz szczęście, że zaginęły papiery z zatrzymania - powiedział młody tłumacz, obecny przy przesłuchaniach. - W depozycie nie ma też twoich rzeczy. Ale pamiętam, nie laliby tak... Sprawdziliśmy, gagatek z ciebie, byłeś w Berezie Kartuskiej. Pojedziesz do KL Auschwitz, do obozu pracy, z wyrokiem śmierci. Może przeżyjesz...

136678

Igłą punktową nakłuto mu na przedramieniu: 136678. Cyfra po cyfrze. W KL Auschwitz numer zastąpił nazwisko. W letni wieczór 1943 roku wciągnął powietrze w płuca. W obozie śmierci oddychał rześko, mógł też chodzić, a nie gnić jak w lochach gestapo.

Drgnął, bo usłyszał szept za plecami. - Spokojnie, Lutek.

- Jó... To ty?

- No co, nie mogłeś doczekać się na mnie na wolności?

Twardo, bez roztkliwiania, "numer 136678" przywitał się z wytatuowanym rok wcześniej "numerem 62933", czyli Józefem Cyrankiewiczem.

O życiu decydowała moc psychiczna, umiejętność adaptacji, determinacja, nie końskie zdrowie czy siła mięśni. - Ja muszę wytrzymać! - Pracował przy przerzucaniu piasku przez tydzień, dwa... - Czy ktoś umie ładnie malować? - zapytał kapo. - Ja! - Malował klejowymi farbami na ścianie I piętra bloku VIII obrazki dworców, wodospadów, lasów.

Przy następnej okazji zgłosił się do komanda malarzy, do pomalowania drzwi. - Kłamiesz, żeś malarz - poznał kapo, komunista niemiecki. - Pędzel nie powinien zostawiać śladów.

Szło mu coraz sprawniej. Trafił jako malarz do rzeźni, stanowiącej wraz z piekarnią zaplecze obozowego zakładu żywienia. Kradł dla siebie i wynosił dla innych co się dało. Ryzykował tylko trochę. Przecież każdego dnia mógł być wykonany na nim wyrok śmierci, każdy dzień mógł być ostatnim bez powodu.

Działający w obozowym ruchu oporu Cyrankiewicz wciągnął go do walki, beznadziejnej na pozór. Polegała ona na organizowaniu lekarstw, żywności, odzieży dla więźniów szczególnych: lekarzy, naukowców, pisarzy, działaczy politycznych. I ratowaniu ich w miarę możliwości przed eksterminacją. Ponadto na zbieraniu informacji o sytuacji w obozie i planowaniu ucieczek. Dla "numerów" najcenniejsze były kontakty z "cywilami", czyli pracownikami cywilnymi w obozie, którzy przekraczali rano kolczaste ogrodzenie, a wieczorem wracali do domów. Podejmowali się oni czasem zadań i jako łącznicy kursowali między Brzeszczami, Chrzanowem, Krakowem, przewożąc pocztę albo leki. Więźniom - przedwojennym działaczom socjalistycznym najbardziej pomagał ośrodek konspiracyjny w domu rodziny Hałoniów w Brzeszczach. Ojciec rodu Piotr Hałoń, stary socjalista, cieszył się zaufaniem PPS; jego starszy syn Kazimierz trafił do KL Auschwitz. Udało mu się stamtąd uciec 20 lutego 1943 roku, drogą przetrzutu przygotowaną dla Józefa Cyrankiewicza. O tym, że uciekł Hałoń, zdecydował przypadek. Kilka dni przed datą planowanej ucieczki Cyrankiewicz otrzymał zakaz wychodzenia do pracy poza bramę obozu.

W trudnych początkach trwania w obozie Lucjana uratował zastrzyk przeciwtyfusowy. Co prawda wbita w klozecie tępą igłą spowodowała infekcję, wysoką gorączkę, lecz przezwyciężył ją. Zastrzyk świadczył o zaufaniu sztabu ruchu oporu w wartość jego życia. Nikłe ilości szczepionek, przemycane zza drutów, starczały dla nielicznych, lekarstw nie otrzymywali nawet wszyscy pomagający przy ich organizacji.

Działał by żyć, by przetrwać, by ocaleć. - Ruch oporu przeciwdziałał terrorowi, likwidował konfidentów, szpicli gestapo - wspomina Lucjan Motyka. - Chodziło też o zdobycie jak największej ilości funkcji obozowych. Usunęliśmy z nich wielu pospolitych kryminalistów i sadystów, pastwiących się nad współwięźniami.

Należał do międzynarodowej organizacji oporu - Grupy Bojowej Oświęcim - z między innymi Józefem Cyrankiewiczem, Tadeuszem Hołujem, Ernstem Bürgerem, Hermannem Langbeinem. Zebrania odbywały się w Stammlagrze, pod schodami w bloku numer 4, w którym Bürger był pisarzem, oraz w szpitalu dla więźniów, w którym pracował Cyrankiewicz. W połowie 1944 roku wszedł z ramienia GBO do utworzonej wtedy Rady Wojskowej Obozu. Do RWO przystąpiły polskie grupy wojskowe, trzymające się dotąd osobno. Jednym z zadań RWO było przygotowanie więźniów do zbrojnego przeciwstawienia się SS w razie likwidacji obozu.

Zagrożeniem dla PPS w Krakowie i kontaktów "cywili" z obozem okazała się śmierć w walce sekretarza PPS Adama Rysiewicza 24 czerwca 1944 roku. Aby PPS mogła prowadzić dalej walkę w konspiracji, konieczne stało się przejęcie przez kogoś zadań Rysiewicza, wznowienie współpracy z Komitetem Pomocy Więźniom Obozów Koncentracyjnych, wsparcie Gwardii Ludowej PPS. Wybór Cyrankiewicza padł na Lucjana. Otrzymał on od niego polecenie przygotowania się do ucieczki z obozu. Znał ludzi po obu stronach drutów. I GBO, i RWO uznała, że właśnie Lucjan Motyka najlepiej wypełni zadanie

wzmocnienia łączności obozowego ruchu oporu ze światem za drutami. Za punkt docelowy ucieczki obrano Kraków.

### Kopniak

Rankiem 19 lipca 1944 roku, w środę: - Schneller! - Szybko opuścił legowisko. Siennik zasłał kocem na wzór wojskowy. Najmniejsza niezręczność mogła kosztować życie. Parter jednopiętrowego bloku mieścił ustęp z dwudziestoma dwoma sedesami, pisuary oraz umywalnię z czterdziestoma dwoma kranami. Kilkuset więźniów przepychało się do wody. Przemył twarz. Pomacał głowę - dał włosom dziesięć dni, aby podrosły od zupełnej nulki. Staął pierwszy w kolejce do kotła. Drżał.

Więzień funkcyjny nalał mu półlitrowy kubek płynu, ugotowanego ze zmielonych kości zwierzęcych. Napój był gorzki, ale lepszy od herbaty, sporządzanej z wywaru ziół. Z kieszeni drelichu wyjął kawałek chleba. Ten chleb trzymał całą noc, gdyż wydawano go tylko wieczorem na kolację i na śniadanie.

Apel poranny. - Raus! Antreten! - Policzone wszystkich więźniów, stojących w równych rzędach po dziesięciu.

Zameldował się w komandzie malarzy, pracującej w obozowej rzeźni. Podeszedł do Józefa Cyrankiewicza. - Idę!

- Masz... - "numer 62933" podał mu zwinięty w rulonik papierek, nawoskowany świecą. - Cyjanek. Jak rozgryziesz, działa od razu.

Pożegnał się i odwrócił. Poczł serdeczne kopnięcie w pośladek. - W drogę! - usłyszał wesoły głos.

- Ja ci to muszę oddać...

Ustawił się do wymarszu. Przy dźwiękach "Salve Imperator" przeszedł po raz ostatni przez bramę główną obozu. Budynek rzeźni znajdował się poza Stammlagrem, lecz w obrębie Sperrgebietu, czyli obszaru zamkniętego, strzeżonego przez pas posterunków tak zwanej dużej postenketty, przy szosie biegnącej do dworca kolejowego.

Gdy znalazł się na miejscu, serce waliło mu młotem. W ten upalny poranek maczał szeroki pędzel w wiadrze z farbą i ciągnął nim po ścianie jak najrówniej. Starał się nie zwracać niczyjej uwagi. Od czasu do czasu spoglądał w stronę esesmana Janika, szefa wartowni budynku rzeźni. Janik przechadzał się opodal, obojętnie palił papierosa. A przecież mógł coś dostrzec, choćby jego ferszalung malarski, oznaczony czerwonymi pasami na plecach i na nogawkach spodni. Pasy wymalowane były nie farbą olejną jak u innych więźniów w komandzie, lecz dającą się wykruszyć farbą ścienną. "Numer" z pasami olejnymi nie mógł ich usunąć, potem udać "cywila" i uciec.

Punktualnie o trzynastej podeszedł sprężyć się do esesmana Janika. - W kantine odłamał się kawałek farby. Proszę o pozwolenie odejścia tam do pracy - zameldował.

Myśli esesmana zaprzętały chyba inne sprawy, bo dopiero po chwili odpowiedział: - Wynoś się!

Rzeźnię od kantyny dla rodzin esesmańskich dzieliło kilkadziesiąt metrów. Pokonał je. Po drodze wyminął więźnia - donosiciela. "Numery", wysługujące się hitlerowcom, znane były ruchowi oporu. - Gdzie idziesz? - zaciekawiał się tamten przyjacielsko. - Do warsztatów! - Lucjan zmylił trop spodziewanego pościgu. Warsztaty sąsiadowały z kantyną.

Wkroczył między budynki. Zamiast iść prosto, skręcił w prawo, na południe, do esesmańskiej kuchni - w samą "paszczę lwa". W czas obiadu z komina kuchni wydobywał się dym. Setki esesmanów omijało malarza, pośpieszając na posiłek. Do drewnianego baraku kuchni i stołówki, wydającej cztery tysiące obiadów dziennie, wchodził wejściem głównym, on wślizgnął się tam od zaplecza. Błyskawicznie wskoczył na stół, krzesło, podciągnął się na belce i położył na jednej z płyt, podwieszonych pod dachem. Płyty były z dykty i pełniły

rolę sufitu. Sprzęty stołowe pozostawił podczas sprzątnięcia członek ruchu oporu Piotr Piąty, pracujący tu jako kucharz.

Zamarł w bezruchu. Minuty wyprzedziły trzynastą o kwadrans. Wsłuchiwał się w gwar stołowy. - Kiedy Janik zacznie mnie szukać?

Po dwóch godzinach usłyszał syreny, które postawiły na nogi cały obóz.

### Kąpiel

Przywarł do długiej deski, podtrzymującej płyty z dykty. Deska ta, przybita do ustawionych w trójkąty belek stropowych, służyła za oparcie monterom i elektrykom, instalującym oświetlenie. Zmagał się z czasem. Miał przy sobie buty, wciśnięte za pasek, czapkę, składany nóż, zegarek, który ktoś ukradł z "Kanady", czyli z magazynu rzeczy osób pomordowanych, ponadto sto marek od Cyrankiewicza, fiolkę kodeiny na wypadek kaszlu i porcję cyjanku potasu do połknięcia w ostateczności. Wodę i kęs pożywienia zobowiązał się podrzucić Piotr Piąty. Plan zakładał, że pozostanie w bezruchu aż do odwołania stanu ostrego pogotowia, trwającego po uciezkach z reguły trzy doby. W tym czasie SS przeszukiwało wszystkie zakamarki, kanały, magazyny, w teren wyruszały specjalne sztafety pościgowe, złożone z gestapo, policji, załogi obozu. Dopiero, gdy Niemcy uznawali pościg za beznadziejny i likwidowali dodatkowe posterunki w ciągu wież strażniczych dużej postenketty, jawiła się szansa na opuszczenie okolic obozu. Założono, że dotrze wtedy do mostu na rzece Soła w Łękach, a stamtąd - przy pomocy brzeszczańskiej bojówki PPS - zostanie przetransportowany do Krakowa.

Noc mijała wolno. Wata szklana, poprządkana między belkami i zalegająca na dykcie, wdierała się pod ubranie. Drażniła, raniła skórę. Każda zmiana położenia ciała mogła spowodować hałas, zaalarmować obsługę stołowy, która pracowała okrągłą dobę. Nie zmrużył oka. Ból, nerwy. Odczuwał pragnienie i chłód mimo pełni lata.

O świcie usłyszał odgłosy mycia podłóg, trzaski rozładowywanych towarów i stukot garnków. W świetle poranka przymknął powieki... Po godzinie obudził się. Znów czuł. Drgnął na dźwięk radia, włączonego na pełny regulator. Spiker informował dramatycznym głosem, że dokonano zamachu na życie Führera oraz że ujęto bandycką grupę zdegenerowanych zamachowców. - Niech wyrzną się między sobą - pomyślał. - Sfuszerowali robotę.

Zamach na Adolfa Hitlera przesłonił ucieczkę więźnia. Dano za wygraną po dobie: nie utrzymywano dłużej dodatkowych posterunków w pasie dużej postenketty, nie zmobilizowano specjalnych sił pościgowych. Komendatura KL Auschwitz przyjęła za dobrą monetę, umówione wcześniej, zeznanie Alojzego Katończewicza o wślizgnięciu się "numeru 136678" do transportu mebli, wywożonych z obozu. Gdyby ruch oporu to wiedział, znał wszelkie okoliczności... Ale nie znał, więc Lucjan trzymał się planu. Leżał w kłującej wacie drugą dobę i czekał na kroplę wody czy kęs jedzenia.

- Lutek, Lutek. To ja, Piotr! - usłyszał pod belkami szept Piotra Piątego.

- Co jest?

- Źle. Nie sposób podrzucić żywności.

- Spróbuj!

- Może być wsypa. Czekaj na wiadomości.

- Co?

Rozmowa spotęgowała poczucie zagrożenia. - Trzeba wytrwać! - czuł i zasypiał kolejno.

Trzeciego dnia wieczorem usłyszał pod sobą szmer. Po chwili trzymał w ręku nie kromkę chleba, lecz gryps od Cyrankiewicza: "*W obozie wszystko w porządku. Represji nie było. Uważaj, bo Soła wylała. Przyjemnej kąpieli. Do widzenia. Chuj ci w dupę!*".

Słowa mobilizowały, podtrzymywały na duchu. 22 lipca 1944 roku, po trzech i pół dniach na poddaszu - czwartej nocy około godziny dwudziestej trzeciej - chwycił się z całej siły belki stropowej i opuścił na rękach na podłogę. Narobił hałasu, który wydał mu się wielki. Opodał wisiała kotara. Skoczył ku niej i ukrył się w jej fałdach. Cisza. Nie wzbudził podejrzeń. Po przeciwnej stronie budynku esesman, pilnujący zapasów mięsa, stał spokojnie na warcie.

Przewycięzając obawy, wyłonił się zza kotary. Emocje sprawiały, że czuł się silny i rześki. Chyłkiem, z butami w ręku, wychynął z baraku. Noc była jasna, parna, bezchmurna, a księżyc w pełni. Wokół obozu paliło się jeszcze gdzieś elektryczne światło. Baraki rzucały na ziemię ciemne cienie w kształcie zębów piły. Chciał ruszyć przed siebie, pozostając w ich zasięgu.

Wciągnął buty. Usłyszał szelest od strony drogi szutrowej, biegnącej kilkadziesiąt metrów od baraku. Przywarł do ściany. Wstrzymał oddech. Drogą przebiegał wilczur z nosem przy ziemi. Cisza nocna potęgowała sapanie zwierzęcia. Pies podążał tropem mięsa, które przewożono tędy zwykle. Po chwili zniknął. Nie wyczuł obcego. Ba, w przeciwnym razie nie byłoby dokąd uciekać. Za psem pojawiło się też dwóch esesmanów. Oświetlali drogę latarką, ale nie zauważyli go.

Do strefy posterunków wiodła kilkusetmetrowa przestrzeń. Musiał przebyć teren podmokły, grząski od wylewających wód Soły, zachwaszczony drzewami i wikliną, przedzielony płytkim, całkiem zarośniętym rowem, wytyczającym dużą postenkettę. Niedaleko biegła droga publiczna z Oświęcimia do Brzeszcz z mostem nad Sołą, pilnowanym solidnie przez Niemców. Z powodu szczelnego kordonu wart nie brano tego mostu pod uwagę w planach ucieczki.

Jednym susem dotarł do rowu. Za nim leżały betonowe kręgi studzienne o średnicy prawie jednego metra. Wślizgnął się tam i zaczął nasłuchiwać. W górę sterczały wieżyczki strażnicze.

Chmura zacięła księżycową poświatę. Nie widział, czy ktoś stróżuje w wieżyczce. Nie mógł czekać. Wyłonił się z betonowej skorupy. Od rzeki odgradzały go krzaki, porośnięty stromy brzeg i płot z wiklinowych balasek, powbijanych na krzyż. Przez płot przeciągnięto luźno drut kolczasty, aby odgradzał pasące się tu bydło od wartkiej wody. Pochylony nisko, zbliżył się ku niemu. Rzeka przykryła płot razem z drutem. Wspiął się, by pokonać przeszkodę. Rękę oparł o jakiś patyk. Trzask łamanej wikliny rozszedł się ponad wodą niczym wystrzał. Przestraszony zamarł, potem pognął z powrotem do betonowego kręgu. Ale nic się nie stało, w wieżyczce strażniczej nie było wartownika.

Gdy ochłonął po kilku minutach, zaczęły docierać do niego szmery. Coraz wyraźniejsze warczenia. To grały motory. Rumor zbliżył się. Rów omiotły smugi światła. Trwało to jakiś czas, zanim zapanowała znów cisza i ciemność. Wyrzał z kręgu. Patrol na motocyklach, który z drogi do Brzeszcz, przylegającej do obozu, światłami dymonów sprawdzał rutynowo teren graniczny, odjechał. Pomyślał, że los czuwa, bo gdyby nie złamany patyk, gdyby nie ukrycie się w kręgu, wypatrzone by go na oświetlonym płocie i zastrzelono.

Podczołgał się. Z mozołem pokonał płot z drutem. Brodził teraz po pas w wodzie. Kilkaset metrów za nim horyzont jaśniał poświatą Stammlagru. Soła niosła wodę powodziową w kolorze kawy, szumiącą i prychającą na porwanych gałęziach. Brnął pod prąd przy lewym brzegu, by oddalić się jak najdalej od strzeżonego mostu. Z drogi dochodziły jazgoty niemieckich maszyn. Po dwóch, trzech kwadransach zdecydował się przepłynąć rzekę wpływ na drugi brzeg. Silny prąd znosił go. Wreszcie z wysiłkiem wyczołgał się w krzaczaste zarośla na prawym brzegu Soły.

## Krwia na korze

Chłód przeszył ciało. Rozebrał się. Wylał wodę z butów, wykręcił ubranie. Farba, która znaczyła pasami kombinezon malarski, spierała się bez kłopotu. Śpieszył się. Tej nocy - na hasło gwizdanej melodii "Hej góral, ja co góral..." - miała przejąć go przy moście w Łękach bojówka PPS.

Ruszył przez przybrzeżne, zatopione w wodzie łąki. Uszedł niedaleko. Na widok pasącego się stadka koni stanął jak wryty. Pilnował je nieruchomy jeździec, najpewniej bauer z bronią. Nie mógł przejść koło jeźdźca bezpiecznie. Cofnął się. Wszedł do wody. Poddał się prądowi, a ten poniósł z powrotem na lewy brzeg.

Świt wstał we mgle. Białe opary ukryły wszelkie cienie, również jego sylwetkę, przemykającą poboczem drogi publicznej Oświęcim - Brzeszcze na południe, ku Brzeszczom. Pozostawiał za wodą konie i ich bauera. Nad słuchiwał uważnie. Wypatrywał. W końcu stracił orientację. Skręcił ku wschodzącemu słońcu. Po jakimś czasie zamajaczył mu za krzakami most w Łękach.

Przepłynął Sołę po raz kolejny. Przy moście nikogo nie było. Nikt na niego nie czekał. Westchnął, usiadł na trawie. Od początku ucieczki nic nie jadł, zmarznięty, czuł się coraz słabszy. Postanowił jednak poczekać na bojowców PPS. Rozłożył ubranie na słońcu. Aby osuszyć tykający wciąż zegarek, odkręcił scyzorykiem kopertę chronometru. Nie czuł głodu, tylko słabe ssanie zasuszonego żołądka. Co jakiś czas zapadał w drzemkę i omdlewał. Komary wgrzyzały się w poranione ciało.

Zapadła noc. Po świecącej tarczy niezawodnego czasomierza przesuwwały się nafosforowane wskazówki. Ogarnęły go wątpliwości. Pomylił się? Czy drewniany most, który widział po raz pierwszy w życiu, to most w Łękach? To przy nim umówił się na ratunek? Kompletnie załamane zastało go wilgotne i chłodne świtanie.

Rankiem szóstego dnia ucieczki poderwał się do ostatecznej walki: wstał, skłonił się, zrobił przysiad... Omdlał. Drgnął, kiedy usłyszał śmiechy. Na wpół przytomny wyjrzał zza krzaków. Dróżką między trawami szła dwójka dzieci. Wyglądały jak z obrazka: włosy niby len, okrągłe zasmarkane buzie, fartuszki poplamione jak to w gospodarstwie. - A jeśli szwabskie? - wzdrygnął się. - Co wtedy? - Dwunastoletnia gdzieś dziewczynka ciągnęła za rękę młodszego braciszka.

Stanął przy pniu młodej brzozy. - Dzień dobry, dzieci.

- Dzień... dobry, panu.

Ucieszył się, że dzieci mówiły po polsku.

- Czy to jest most w Łękach?

- Tak.

- Bo jestem nauczycielem z Bud. Znacie pana Pytlika?

- Mama nosi do pani Pytlikowej mleko rano - odpowiedziała dziewczynka rezolutnie. Wzrokiem obszukała go dokładnie. Próbował mówić coś ze swadą o szkole w Budach, że koło Brzeszcz... Wyglądał jak kościotrup, nie ogolony, brudny. - Zapomniałem dokumentów, a jak złapie mnie policja... Możecie pójść i powiedzieć to panu Pytlikowi?

Dziewczynka mrugnęła lekko, że rozumie, że wie, kogo ma przed sobą. - Dobrze. Niech pan napisze, to zaniosę.

- Ale jak? ...Zaczekaj! - scyzorykiem odłupał kawałek kory z młodej brzozy, przeciął palec nożem i - ciągnąc ostrze z krwią po korze - napisał słowa: "*Kochany Birkut. Czekam w umówionym miejscu. Przyjaciół Józka Rota*".

Władysław Pytlik z brzeszczańskiej komórki PPS nosił pseudonim "Birkut", zaś Józef Cyrankiewicz - "Rot".

- Zaniesiesz? Masz tu sto marek, przyda się mamie.

- Nie chcę pieniędzy - dziewczynka wzięła tylko korę i pociągnęła za sobą milczącego chłopczyka.

Przyczał się. Godziny mijały. Po południu dziewczynka wróciła. Prowadziła rower z manierką mleka i koszykiem z żywnością. Czarny chleb, smażona ryba, alkohol. Łyknął bimber, ale przepił zaraz mlekiem. A potem kropla po kropli, okruszek tylko po okruszku. Spróbował wszystkiego.

24 lipca 1944 roku, po siedemnastej, nadszedł kolega "Birkuta", Emil Golczyk. Miał na sobie kaszkiet jak każdy górnik w okolicy, w jednej ręce trzymał solidny kij do podpierania się, a w drugiej rozepchaną skórzaną teczkę - nataszkę. Nosił w niej wszystko: i kanapki, i węgiel. - "Jantar" - przedstawił się.

- "Lutek" - Lucjan podał swój pseudonim z podziemia PPS i obozu.

- "Birkuta" teraz nie ma. Szukaliśmy po drugiej stronie rzeki, mgła jak cholera. Po tobie ani śladu. Teraz będzie ze trzy kilometry do Brzeszcz. Przejdziemy drogę, potem w las.

Ścieżka wiodła pośród rdzawych pól. Znaleźli się na otwartej przestrzeni, z której dawno zżęto żyto. Nie było stąd odwrotu. Golczyk maszerował raźnie w samej koszulce palcówce. Kaszkiet oraz łagę oddał towarzyszowi. Lucjan zaczepił na końcu kija manierkę z resztką mleka. Podrzucił go zgrabnie i ułożył sobie na ramieniu. Wyglądał jak pątnik, a nie górnik, śpieszący do kopalni na nocną szychtę. Oddychał radośnie. Znowu wolny!

Weszli na drogę. Zza pleców nadjechał motocykl wojskowy. - To z "flaków" - szepnął Golczyk. "Flakami" nazywano żołnierzy obrony przeciwlotniczej, wyposażonej we "flaki" - balony wojenne.

Motocykl wyprzedził ich o pięćdziesiąt metrów i zatrzymał się. Nie były to "flaki", lecz uzbrojeni w krótkie pistolety maszynowe, znani Lucjanowi, gestapowcy z obozowego Politische Abteilung. - Gadamy dowcipy. W razie czego ja pierwszemu w oko, ty drugiemu... - zadysponował były "numer 136678". Nic innego nie wchodziło w rachubę.

Nieśpiesznie zbliżyli się do motocykla. Pomacali palcami noże. - Żyd kupił synowi nowe buty - Lucjan opowiadał głośno, donośnie. - Każe mu, by oszczędzał buty. Syn pyta, ale jak? Rób większe kroki!

- Cha-cha.

Przeszli. Nie padła komenda: "Halt!". Po chwili jednak hitlerowcy uruchomili znowu motory, przejechali obok i stanęli parędziesiąt metrów dalej. Najwyraźniej postanowili zaczekać. - To koniec!

Zza zakrętu wyszła akurat grupka kilkunastu górników, którzy zawsze o tej porze, przed osiemnastą, podążali do pracy w kopalni w Brzeszczach i w Jawiszowicach. Szli w marynarkach i kaszkietach, nieśli tobołki i teczki. Wyglądali tak samo... Niemcy popatrzyli, burknęli coś pod nosem, wsiedli na motocykl i odjechali.

Sporo czasu minęło nim Lucjan złapał regularny oddech. Pot lał mu się po plecach. - Znikajmy! Za dużo mi tego. - Zboczyli w las. Słońce grzało jeszcze, kiedy przekraczali próg górniczego domu Hałoniów w Brzeszczach.

### Polska, ale jaka?

Z wolna wracał do sił. Łącznikom podziemia przekazał aktualne informacje z KL Auschwitz. Nawiązał kontakt ze znajomymi w organizacji Pomoc Więźniom Obozów Koncentracyjnych. Przygotował się do ostatecznej przeprawy z Brzeszcz do Krakowa, znajdującego się po drugiej stronie granicy, w Generalnej Guberni.

Pożegnał ciepło gospodarzy. Od łączników PPS i Batalionów Chłopskich dowiedział się, że "zieloną granicę" przekroczy w grupie. Przewodnik Ignacy Sękowski, "Śláz", krakowianin, znający wybornie okoliczne ścieżki i przesmyki, przedstawił mu innych zbiegłych więźniów z KL Auschwitz: polskiego Żyda Szymona Zajdowa-Wojnara i

austriackiego Żyda Josefa Meisela - komunistów, członków hiszpańskich Brygad Międzynarodowych.

Trasa wiodła z Brzeszcz przez Spytkowice i Chrzanów. Nocą poszli na Zator. W ciągu dnia spali pod słomą u przypadkowego chłopa. Po sześćdziesięciokilometrowej drodze stanęli nad rzeką Skawa. Przebyli ją. Brama Krakowska stała otworem. Ostatniej nocy lipca 1944 roku dotarli do rogatek Krakowa. Prześlizgnęli się przez wąskie uliczki na krakowskim Kazimierzu. W mieszkaniu Marii i Józefa Wiśniewskich czekał przytulny kąpiel.

Włączył się w działalność podziemnej PPS. Koordynował zadania, prowadził wykłady dla bojówek. Przebywał stale w Krakowie, ale wyjeżdżał często w powiat proszowicki. W lasach Makowa i Zawoi współdziałał z lewicową partyzantką. "Polska, ale jaka?" - pytanie to stanowiło zasadniczy temat rozmów i prelekcji. Oddychał wolnością, lecz koszmary obozowe z trudem wymazywał z pamięci. Wojna odcisnęła na nim piętno trwale. Stwardniał, uodpornił się na przeciwności losu.

Z mroźnym początkiem 1945 roku wojska radzieckie wkroczyły do Krakowa. Dla Lucjana Motyki nadeszły lata sprawowania władzy.

Pełnił wiele funkcji i stanowisk, między innymi pierwszego sekretarza PZPR w Krakowie oraz ministra kultury i sztuki głównie w rządzie Józefa Cyrankiewicza. To mu zapamiętano. Mówi: - W 1980 roku odznaczono mnie najwyższym odznaczeniem PRL, bo Orderem Budowniczego Polski Ludowej. Tym, panie redaktorze, można zakończyć.

Smykałki do malowania nie pogrzebał. W wolnych chwilach zmagił się amatorsko z pędzlem i ołówkiem. Zapamiętano mu to, że na każdym plenum partyjnym czy zebraniu rysował na skrawkach papieru wesołe karykatury swoich towarzyszy.

PS (internetowy). Reportaż powstał na podstawie m.in. moich osobistych rozmów z bohaterem tekstu w 1983 roku. W 2013 roku dotarła do mnie wieść, że "w Łękach uciekiniera nie przejęli bojowcy PPS, ale żołnierze AK z oddziału "Sosienki"". Czyżby Motyka chronił poświadczoną kombatanczką bojowców PPS..., a może to niektóre środowiska polityczne przypisują sobie przeróżne zasługi...?





## Łowy w kraince słów

- Proszę pytać, ja będę mówił - nie ma nic przeciwko rozmowie z reporterem właściciel warsztatu blacharki samochodowej w Bronowicach.

- Zna pan tych dwóch na saniach?

- Nie, nie znam. Tylko to, co słyszałem, mogę powiedzieć. Majewski rozrabia, taki nieszczerzy kłamczuch. Naprawdę to on nie pilnował nigdy łowisk. Nic nie robił. I na walnym zebraniu zawiesiliśmy go w polowaniu.

- Podpisze się pan pod swoimi słowami?

- Nie, nazwisko sobie cenię...

*"Nie ludźcie się więc wy, rycerze spod znaku św. Huberta, którzy społecznym groszem opłacacie mszę świętą na intencję tego patrona w parafialnym kościele w Jerzmanowicach i modlicie się przed jego ołtarzem, przystępujecie do konfesjonatu po rozgrzeszenie, a także i wy, krakowskie wykształcone czarne kruki spod znaku ateizmu, że historia was rozgrzeszy - mylicie się wielce. Wy wszyscy wyczłowieczeni, półchłopki i komunistyczni arystokraci, ludzie, jak was poznałem, o instynktach krwio- i padlinożernych, typu hien i szakali - nie pożrecie mnie w tak haniebny sposób, a waszą ograniczoną, naiwną, rozhuśtaną wyobraźnią nie zmienicie biegu historii (...). Stefan Majewski".*

### Niepotrzebna broń nabita

Inżynier Janusz Szkatuła, kierownik budowy Szpitala "B" w Nowej Hucie: - Tak, to ja jestem.

- Pan posłucha, pieniądze, kontakty... Przecież pan wie, czyje sanie gonił Majewski. Majewski zgłosił fakt kłusownictwa, a wy w kole łowieckim zachowaliście się jak gdyby nigdy nic. Zarzuciliście mu, że roztrąbił sprawę. Przystąpiliście do kontrataku, zamiast ścigać kłusowników.

- Nie interesowałem się tym. Dla mnie polowanie to cały ceremoniał. Chodzę po lesie i oddycham. Kocham przyrodę. Relaksuję się, gdy się z nią stykam. Mnie do łowów niepotrzebna broń nabita, często swój sztucer z lunetą zostawiam w domu. Biorę lornetkę. Obserwuję życie i się cieszę. Wie pan. Koło nasze ma swoją specyfikę inteligencko-chłopską. Członkowie, głównie ci z Krakowa, do działalności myśliwskiej podchodzą rozluźnieni jak ja. Inni, no, chłopci z Jerzmanowic i okolic, polują na cokolwiek z koślawych dubeltówek. Aby coś z tego upichcić, skórę obciągnąć i sprzedać. Majewski, słyszałem, przeszłość łowiecką ma złą. Ponoć dawniej, w innym kole, sądzono go za kłusownictwo. Tak, no i co z tego, że uniewinniono?

- Ci panowie na saniach jeździli do Gorenica, by zjednywać fałszywych świadków. Potem napisali protokół, że owego dnia kłusował... Majewski.

- A nie on?

- Kiedy Majewski przebywał w szpitalu, leczył się, zawiesiliście go w prawach myśliwego. Nie mógł bronić się na walnym zebraniu. Potem napisał list, domagając się swoich praw.

- List agresywny...

- Obraziliście się za słowa jak panienki. W końcu zabrał głos na kolejnym zebraniu. Usiłował dowieść swych racji. Krzyknęto, by nie pier... Opuścił salę.

- No, możliwe.

- Skreśliliście go z listy członków Koła. Musiał oddać broń myśliwską, co przeżył najbardziej.

- Jako sekretarza Koła Łowieckiego "Szarak" nie interesują mnie osobiste kłótnie między myśliwymi, spory na słowa - jak to między chłopami - o byle co. Nie wnikam, a tylko patrzę, czy Koło funkcjonuje zgodnie ze statutem. Majewski nie po raz pierwszy ma kłopoty. Jest nerwowy, wybuchowy, nie zrównoważony. Wiem, bo przyszedł do mego mieszkania...

### Ostrzeżenie dla kłusownika

Majewski z ostrzeżeniem dla kłusownika: *"Ostrzegam cię szubieniczniku! Jesteśmy na twoim tropie! Jeśli nie zaniechasz tych haniebnych i przestępczych praktyk, źle skończysz, zestrzelam ci dupę albo cię powieszę, jak ty wieszasz bażanty, sarny i zające, a w najgorszym wypadku schwytamy cię i oddamy pod sąd. Zastanów więc się barbarzyńco! Masz dwie drogi: uczciwe życie lub hańbę i wieczne potępienie, wybieraj więc albo drogę uczciwego człowieka, albo zbrodniarza! Tropiciel Majewski".*

Mając szesnaście lat wyjechał z rodzinnych Radwanowic do Kłodzka, do Fabryki Maszyn i Odlewni Żeliwa. Natknął się na porucznika Golonkę, agitatora, który przekonał go do wojska. Wciągnął kamasze ochotniczo. Odbył roczny kurs oficerów polityczno - wychowawczych w Legnicy, po którym wiedział wszystko. - Wyrznięli mi Boga z mózgu - wspomina - obrazu świętego pan u mnie nie zobaczy.

Chodził do kościołów i słuchał. Potem pisał głupstwa w raportach. Jako chorąży otrzymał przydział do Samodzielnego Batalionu Wartowniczego w Korpusie Bezpieczeństwa Wewnętrznego w Warszawie. Sześć lat współdziałał ze strażą przemysłową. "Żerań" się budował. Tarchomin się budował. "Wedel", radiostacja w Raszynie. Pałac Kultury i Nauki, Marszałkowska Dzielnica Mieszkaniowa, Dom Słowa Polskiego... Warszawa. Dzień, noc, dzień, noc strzegł budów przed dywersją. Mimo ostrzeżeń: - Pójdiesz kamienie tuc! - ożenił się z kobietą, której brat mieszkał w USA. Odpowiedział: - Wszystko jedno. Kochają dziewczyny przystojnego żołnierza, no nie?

Znalazł później pracę w Lidze Obrony Kraju, a po pięciu latach osiadł na stałe w Krzeszowicach. Był zaopatrzeniowcem, magazynierem w fabryce maszyn budowlanych "Fablok", w końcu komendantem straży przemysłowej w kopalni "Siersza". Emerytury doczekał jako kierowca Stacji Hodowli Roślin Ogrodniczych w Krzeszowicach.

### O kaście zlokalizowanej i zaklimatyzowanej

"Sierszę" lat sześćdziesiątych wspomina szczególnie: *"Z uwagi na wtajemniczenie i częściowe zaangażowanie uważam za celowe poinformować o kaście zlokalizowanej i dobrze zaklimatyzowanej przy kopalni "Siersza" w Sierszy. Kasta współdziałała zawodowo z elementem przestępczym, posiada swych przedstawicieli w organizacjach o charakterze polityczno - społecznym, poszczególnych komórkach organów administracyjno - państwowych, współdziałała również z duchowieństwem katolickim, reprezentowanym przez Kościół Parafialny Sierszy. Dla realizacji swych ideałów nie przebiera w środkach, stąd też wśród jej zwolenników na porządku dziennym obserwować można korupcję, bałwochwalstwo,*

*wtórny analfabetyzm, ignorancje przepisów prawa (...). Na tle blisko sześćotysięcznej załogi wyrosła pasożytnicza grupa ludzi, która jak rak toczy życie ludzkie, toczy i paraliżuje. Kasta ta rekrutuje się z ludzi pobliskiej wsi Myślachowice oraz ich satelitów i marionetek. Ludzie zwą wieś Myślachowice nie bez racji Ministerstwem. A oto prowizoryczny schemat układu sił i stosunków tego środowiska: I sekretarz PZPR (...), komendant ORMÓ (...), komendant SB (...). W oparciu o ośmioletni staż pracy w kopalni dopatrują się wielomilionowych nadużyć na skutek grabieży mienia bądź innych strat gospodarczych. Stefan Majewski".*

Zwolniono go z pracy. Więc się bronił: "Byłem wielokrotnie nagradzany i wyróżniany. Udekorowano mnie honorową odznaką "Tysiąclecia Państwa Polskiego". (...) Pewna skorumpowana kasta ludzi nieuczciwych pozbyła się z zakładu człowieka bardzo niebezpiecznego i niewygodnego, umiającego troskliwie, okiem prawdziwego gospodarza patrzeć i chronić mienie społeczne".

### Obserwował ślady

Do Polskiego Związku Łowieckiego wstąpił wcześniej, bo dwa lata po śmierci Stalina. Jako dwudziestosześcioletek nie od razu otrzymał broń. Wpierw naganiał, obserwował. Przyjął funkcję dozorca łowieckiego w Kole św. Huberta w Krakowie. Do jego obowiązków należało dokarmianie zwierzyny, odstrzał szkodnictwa, budowanie pańników, ambon, karmników, zwalczanie kłusownictwa i wnykarstwa. Bardziej niż dom interesowała go śrutowa dubeltówka na kaczki, kuropatwy, lisy lub sztucer na dzika. Rozwiódł się, za Gierka kupił samochód "Warszawa" za pięćdziesiąt dwa tysiące złotych. Jeździł nim w Bieszczady, do willi generała Berlinga. - Zimą, panie, konik, sanki...

Chodził w bór. Obserwował ślady. Tropił. Gdy słyszał strzały, poszukiwał. Krył się za skałką w krzakach. Brzegi nad Rudawą, jary porośnięte żarnowcem. W zimie zające biegają tu jedynie śladami. Za śladami wypatrywał butów. Wychodził zza drzewa do kłusowników jak do zwierzyny przed żerowaniem.

W Wigilię wcisnął się między pnie. Wiedział, kto z Brzezinki będzie chrzcic córkę. Spojrzał - nie pomylił się. Niełatwo podejść kłusownika, tak by zniewolić go głosem i bronią. Wdrapał się pod jeden z garbów kopca. A masz... - Ty, skur..., mam cię! Najmniejsza próba ucieczki i strzelam! - wrzasnął. - Ręce na szyję! - nie żartował. - Na szyję! - zastraszył. - Marsz!

A w Krzeszowicach, cha, cha, widowisko. Majewski prowadził kłusownika pod strzelbą. Potem dostał za to pięćset złotych nagrody. Kłusownik załatwił sobie niebawem specjalizację na świnię i milionowe kredyty.

Polował w styczniu. Burza śnieżna zawiewała ślady. - Chodź - rzekł Majewski do Edka, kolegi - może liska strzelimy.

Poszli. - Zaczekaj tu, ja pójde półkolem, a ty przejdiesz z psem przez jar. Przepędzisz strachy, a nuż lisek, nuż dzik wyskoczy... - Staął. Może na dziesięć minut stanął. Tyle akurat miał czasu, by wypalić papierosa. Gdy pies się poderwał. Gdy z jaru wyszła nie lisia kita, nie tabakiera dzika, a bestia człowieka.

Za nią następne. Pomyślał w pierwszej chwili, że spotkał wojsko na ćwiczeniach. Wszyscy w białych kombinezonach. Tyle że fuzje mieli, lufy odcinały się od śniegu. Chwylił psa za kołnierz, by nie szczeakał. Na chwilę, bo potem: - Stać, ch..., bo strzelam! - puścił psa. Tamci rozbiegli się. Ot, tacy inteligenci. Jeden wpadł wprost na Edka - łowczego. Ha!, wystraszyli się. Sądził, że to obława na kłusowników. Jak pierzchli w Dolinę Będkowską, tak przepadli. Wystarczył wszak jeden, by dojść do pozostałych. Chciał tę nić aż do kłębka podać władzy w komisariacie, ale Edek - łowczy sprawę opił i uduśił.

Coś się wtedy w nim naderwało. Przestał pić z Jerzmanowicami, wspólnie podchodzić zwierza. Podjeżdżał na polowania, na zebrania samochodem, indywidualnie. Począł sam

dmuchać w kaszę. Pewnego dnia wybrał się na dokarmianie bażantów i kuropatw. Samochód zostawił w Gorenicach. Obszedł lasek śródpolny, taki na dwa hektary wśród pól w trójkącie Gorenice - Raclawice - Zawada. Jeden punkt, drugi punkt z karmnikami... Gdy padł strzał. Zima. Śnieg skrzypiał. Ślad wyraźny. Na wysokości lasu zauważył sanie z dwoma mężczyznami. Pędzili na saniach za zającem, którego nie trafili.

Schował się przezornie w sosnowym młodniku. Czekał. Miał pod górkę. - Stój, stój!, będę strzelał! - ryknął niespodziewanie, kiedy wyłonili się zza zasy. A oni nic, podcięli konia tylko, postawili kołnierze.

### Rafinowani tłumiciele krytyki

- Wy, ch... - Majewski rozpoznał kłusowników. Nie zdążył uczepić się sań. Uszli, psiakrwie! Stał bezradny. Śmigał jednak następny zaprzęg z saniami, powożony przez znajomego myśliwego. - Do córki jadę, do Zawady - rzekł myśliwy z zaprzęgu. Majewski uwierzył. Po chwili zwątpił. - Do córki, w szczerym polu? Wyprzęgaj konia! - rozkazał, chcąc wsiąść na oklep i gnać, i gnać...

- A odpier...

Ostatecznie przysiadł się na sanie i dojechał do Zawady. Potem musiał wracać pieszo sam do Gorenice. Myśliwi, u których zostawił samochód, byli już w domu... - Gdzie telefon? - zawołał.

- W leśniczówce, na końcu wsi.

Podjechał samochodem. - Hallo! Mówi Majewski. Zaprzęg konny strzelał do zająca, kurwa.

- Skąd pan dzwoni, aha, zaraz będziemy.

Gorenice od Olkusza, skąd - po piętnastu minutach - przybyło trzech milicjantów po cywilnemu i jeden w mundurze, dzieliło osiem kilometrów przez las. - Kto to mógł być? - zapytali funkcjonariusze władzy, pijąc herbatę.

Majewski zaciął się. Nie powiedział. Do dziś nie wie, co przyniosło dochodzenie. Ludzie z Kongresówki stanęli za sobą solidarnie. A on - z Galicji. Kłusownicy zaprzysięgli zemstę. Wpierw zmienili mu łowisko, tak że nie mógł polować. Potem zawiesili za niepłacenie składek, które płacił. No to napisał to, co napisał. Oburzono się. Wyrzucono go z grona myśliwych za ostre słowa w listach.

*"Padłem ofiarą perfidnej i wyrachowanej działalności pewnej grupy ludzi wielce i niebezpiecznie szkodliwej. Wywodzą się oni z pseudodziałaczy, leniuchów i nierobów, jakże miernych moralnie. Są też oni rafinowanymi tłumicielami krytyki, popierającymi się wzajemnie. (...) Tylko wyjątkowa mierność, prostota, brak doświadczenia i wyobraźni, poza tym żądza wyżycia się, tupet, wpływy i pieniądze pchają na oślep do tak plugawych czynów. Marna to i zbyt prymitywna reżyserka cudzej psychodramy, prowokacja jakże grubymi nićmi szyta. Przeżywam to naprawdę ciężko, bo zbliża mi się 55 lat życia, w tym 36 lat pracy i blisko 30 lat niczym nie skalanego stażu w PZŁ, a w tym blisko 17 lat w "Szaraku". (...) Niechże też wreszcie zapamiętają ci uzurpatorzy władzy, że jestem oficerem rezerwy, umiejącym równie dobrze władać bronią, co i piórem, i że taki żołnierz z placu boju nie ustępuje, zwycięża lub ginie. Jeżeli więc dotąd, durni, nie nauczyła was niczego historia, wiedźcie, że moja walka jest obronna i sprawiedliwa - dlatego musi być zwycięska! Stefan Majewski".*

### W aureoli unicestwionego

Andrzej Szymański, Łowczy Wojewódzki, urzędujący członek Zarządu Wojewódzkiego PZŁ w Krakowie: - Myśliwy musi być zrównoważony. Broń w jego rękach...

Groził, że umie władać bronią... Ludzie nie byli pewni, czy on sobie na polowaniu w głowę jeszcze nie strzeli.

- Wyrzuciliście go za słowa!

- Przecież to polowanie... A pan widzi Majewskiego w aureoli świętego...

*"Przejawiam oburzenie przeciw chuligaństwu (...). Grupa ludzi w sposób bezceremonialny, wprost brutalny, posługując się fałszem i paszkwilem, zmierza w ponurym uporze do unicestwienia człowieka (...). Bez potknięć i upadków wytrwałem w PZŁ, a teraz chce się mnie pozbawić pukawek myśliwskich i jedynej mojego życia pasji i przyjemności uprawiania myślistwa. Zdaję sobie też doskonale sprawę, przeciw komu stawiam czoła i przy okazji tej błagalnie proszę kol. kol. Inżyniera, Profesora i Łowczego Wojewódzkiego: nie amputujcie mi, koledzy, mózgu na przedprożu do krainy wiecznych łowów. Darz Bór! Stefan Majewski".*

Zdaniem kol. kol. kol. Inżyniera, Łowczego Wojewódzkiego i kilku innych osób zabrano pukawki Majewskiemu na przedprożu, bo uczynił coś, czego ani on, ani nikt inny zrobić nie powinien. Bezwiednie poszerzył myśliwskie terytorium. Zamiast strzelać w krainie łowów, polował jak kłusownik w kraince słów.



## List sołtysa do Sądu Najwyższego w sprawie Magdonia i Lipieńki

Od Autora: Choć "List sołtysa" upubliczniono przed orzeczeniem SN w Warszawie (IVCR.202.83), korzystnym dla Lipieńki, trudno zgadnąć, czy i komu on pomógł.

Sądzie Najwyższy! Wieś nasza posiada ze dwustu chłopów, kobit tyż się narodziło ze dwie setki, dzieci nie wliczajonc. Z chłopów najsłynniejszym Magdoń, z kobit Lipieńka. Gadoć by tu można i gadoć czemuż oni tacy sławni, żem jo, sołtys, aż się wmieszoc musioł. W gminie powiadajo, żeb samolotami latoł, na problem z wysokości patrzol, tom zobacze, gdzie zło posiano i z której strony rodzi. Jam i bez samolotów patrzeć potrafię, choć one zła nie czynio, tylko ludzie, a latajo i latajo nad głowo - mojo głowo, głowo Magdonia latajo i głowo Lipieńki latajo na równi. Jo o samolotach nie bez przyczyny przypomniał Sądowi Najwyższemu, któremu do Warszawy te uwagi pisze, bo gmina niesprawiedliwa, samolotami się wykpi, a Sąd Najwyższy rozstrzygnoc sprawiedliwie musi, skoro aż tam Magdoń i Lipieńka zaszli. Dodam jeszcze, że te samoloty to nie iluzja jakaś, ale prawda, bo one latajo nad miedzo mojo, miedzo Magdonia i Lipieńki, nad sporno miedzo latajo nisko, krowy płoszo, do Balic latajo i siadajo, ale do rzeczy nic nie majo.

Zanim powiem wszystko po porzondku o Magdoniu i Lipieńce, przecie nie o sobie, choć tyż mógłbym, bo mówio o mnie: tyn dobrym gospodarzem jest, napomkne może, jakim to gospodarzem jest Magdoń i jakim Lipieńka. Magdoń, prosze Sądu Najwyższego, jest gospodarzem na cało gmine, a Lipieńka to bida. Magdoń mo ziemi bedzie tera ze siedemdziesiąt ha, a może wiecej, siedemdziesiąt dwa ha, on sam nie wie, ile mo ziemi, taki gospodarz. A Lipieńka mo 0,4767 ha. Zaszedł jo roz do Magdonia, patrze, a tu kumbajn "Bizon" stoi przy płocie, i pytom w sprawie zgody z Lipieńko i wsio, a oczy same kumbajn obmacujo, a on mi rzecze, że z dziadówkami gadoł nie bedzie, taki pan. U ty, złodzieju, myślę, jeszcze my cie do zgody doprowadzimy, zmogniem cie, nawet siło. Cóż z tego, że ty specjalista od chlewni, sześćset warchlaków na rok sprzedajesz, ale zgody z wsio nie trzymosz i jej krzywdujesz. Pytom wtedy Magdonia, niby podbierajonc, oddałbyś za sto milionów to, co mosz? On chichnoł jeno na to, że co mu po złotówkach. Sto milionów posiadosz, licze, w tym: "Bizon", któren oczami obmacuje, trzy domy dwupientrowe,

ciongnik "Białoruś" dwonapendowy, dwa mniejsze ciongniki i insze, tego co w gospodarstwie i ziemi nie liczone, a z Lipieńko, z cało wsio sie zresz. On nic, a jużci. Trza było igłę w dupe wsadzić, to by odreagował.

A tera po porzondku. W noszej wsi momy Spółkę Pastwiskową, która od wieków wypasała krowy na Wzgórzach Krzemionki. Każden wypasoł, kto miał krowy i płacił Spółce. Dawniej paśli wynajenci pasterze: Rzewuska Maria, Bazgier Walenty, Marona Anna, Marona Władysław, Pogan Józef. Płaciło im sie roz na rok. Rano wyganiali krowy na Kobielki albo na Radwański Dół, albo na Place, albo na Zawietrznik, zawsze w insze miejsce Wzgórz Krzemionki, by trawę nie zmarnować. Ludzie korzyść czerpali. Pamientom człowieka, co chodził i zbierał za spaśne, oddawał wójtowi, potem sołtysowi, a tyn płacił podatki. Za spaśne korzyści tyż byli, bo szkole wengła sie kupiło, świetlice wystroiło, przed wojno nauczyciela zatrudniło. Wzgórza były we władaniu wsi, bo cała wieś do Spółki należała, co było zapisane w gminnej Księdze Wieczystej na karcie B. I nic by sie nie działo, gdyby nie to, że Wzgórza Krzemionki, własność Spółki Pastwiskowej, Urząd Gminy w Zabierzowie sprzedał jak swoje Magdoniowi w 1980 roku.

Wyjaśnienie sie tu należy takie: my byli i so wsio królewsko, lokowano jeszcze w trzynastym albo czternastym wieku. Nie poddańsko, ale królewsko, jak nos uczył nauczyciel Drelinkiewicz. Wsio osadniczo, bo u nos nie było dworu. Najechnali osadnicy, by kopać pnioki - takie Tatary, których król po wojnie z Tatarami w niewoli zachował. Tak słyszoł jo od Marony Józefa, przewodniczonego Spółki, osiemdziesiąt siedem arów, ale Lipieńka rzecze, że to nie Tatary, a Turki, którzy sie tu spod Wiednia wzięli. W kaźden roz zrobili, co zrobili, las wykarczowali, i co dalej, nie wiem. Dalej były zabory. Austriacy tradycji nie ruszali. Potem był socjalizm i tyż spokój. Wzgórza ostały jako wspólnota gruntowa we władaniu Spółki. Sprawa w tym, że tradycje ruszył Magdoń i władza gminy. Nie zabroła nom Austria, nie zabroł Hitler darowizny królewskiej, a zabroł nom Magdoń. Zapyto mnie Sąd Najwyższy tak: powiedzcie sołtysie, albo kim wy tam jesteście, jak sie to złodziejstwo mogło stać? A jo powiem na to: albo z głupoty, albo z czego inszego, albo ze złości wzajemnej.

Głupoty to ludziom nigdy nie brakło. I tu refleksje podom niewielko: im kto wyżej kształcony, tym wienkszo głupoto rozporzondza. Sprawdził to jo, sołtys, jeśli nawet jo to dawny sołtys. Nie roz, a pare razy jo sprawdził w gminie. Wielakroć stukom do drzwi gminy musowo, a tom kaźden wodo z gemby pluje, kurz z dyplomu magistra łokciami obciera i kaźden ważny jak baba przed porodem. Tum się spostrzegł, że Sąd Najwyższy tyż kształcony, wienc dodajem, że najwienksza głupota w gminie, a co wyżej, nie mnie sondować. Gmina sprzedała Magdoniowi dwadzieścia osiem ha sześćdziesiąt siedem arów pastwisk naszych Wzgórz dlatego, że wyczytała w Księdze Wieczystej naszo gmine jako właściciela i zrozumiała, że to o niej - i że to jej - Urzędu Gminy.

Łoj, naiwności ludzka, przecie my tyn teren z dziada pradziada użytkowali na pastwisko. Nie dociekom akurat tera, czemu Urząd sprzedał myślonc, że to mienie jego, powiem jeno, czegom sie w prawnej materii dowiedziol dla rozmaitości. Tyn wpis w Księdze Wieczystej o własności noszej gminy mocowała ustawa galicyjska z 1874 roku. Jo sie rozeznał, że wtedy własność gminy to była własność prywatna o charakterze grupowym. Myśleli, pyrdle, że sprzedajo Magdoniowi ziemie urzendowe, a nie ludzkie, nie rozeznali, co co znaczy. Krowa by to zrozumiała, kuń, ślepo kuro, a i Sąd niższej instancji zrozumiał i na strone naszo przeważył. Umowe sprzedaży uznał za nieważno. Ale Magdoń i Urząd Gminy napisali do Sądu Najwyższego, utrzymujonc, że oni w prawie. Sąd Najwyższy zważy.

Tak bym mógł na to spojrzeć, gdybym naiwności ludzkiej dawoł wiare i z głupoty zło wszelkie wywodził. Jo inaczej, jo tyż z gminy nauki do wsi przywoził, bo choć ludzie tom bywajo śmieszno, głowy zadarto ku samolotom majo, tom jo z tego patrzenia do góry skorzystoł. Com skorzystoł, napisze. Nic, że miesza jonc nazwiska, co Sąd Najwyższy zrozumie.

Było tak, jak Bóg przykazał, że zło mogło przyjść z czego inszego. Paśli my, paśli, krowy paśli, mleko z nich doili, odstawiali do mleczarni, produkcje uzyskiwali chwalebno. My byli radzi, powiat rady, nikt nic do nikogo nie miał, każdy krowe, nawet dwie krowy trzymał, wypasoł na Wzgórzach i trzymał, aż tu do nos przyjechali urzędniki, wyjeli gazete, przeczytoli nom, że my żadni rolnicy, że my so nieopłacalni, bo bez specjalizacji żyjem. Nie darowali: bez specjalizacji żywot wiedziecie, jak te chłopy pańszczyńniane, krzyczeli, u każdego drobnica, nieuctwo i wszystko, każdy chowie i kurki, i krówki, i króliki, i świnke, i żytko, i buraczki, i kartofli, i truskawki, dlatego pieniondza nie macie, a my takich, co chco wszystko, popierać nie bendziemy. Grunt wam wybierzemy, żeby ci rolnicy nosi prawdziwi, mondrzy rolnicy specjaliści, gospodarowali jak trza, pokazali wom nowoczesne rolnictwo. Zawzieli my sie każdy w sobie z tego pouczenia, które nom po pysku chlastało, w sercu dziure widłami wierciło aż mroczno. Za pańszczyńnianych nos biero nieuświadomieni, dumali, gdy my królewscy. Pyrdle nieokresane, specjaliści zasroni, co w portkach jednych chodzo w dzień zwyczajny i niedziele.

Winni my za to nic, że środków do życia przestali dostawać, na skutek czego roboty jakieś w mieście pojechali znajdować, by przeżyć. Na nic nasza zawziętość, gdy gmina z góry: kolektywizacja w drodze przymusu ekonomicznego. I po 1975 roku wykupywała ziemie w ramach totalnego wykupu ziemi. Chciano nom powienkszyć Ośrodek Postępu Rolniczego w Karniowicach i potworzyć duże gospodarstwa specjalistyczne. Gdzie zło siejesz, krzywde ludzko zbierosz, prawde gadajo, bo Magdonia se upatryli i na gwałt specjaliste z niego robić zaczęli. Obiecali te preferencje w gospodarowaniu, że tyn prosto chodzić zaczął, gront nowy obiecali, że i gadoć z nami przestoł. Dostał pieniondz, pobudował tuczarnie, a paszy nie miał, by czerpać. Nie mo inszego zdania, tylko takie, że Wzgórze paszowe musiał dostać, choćby wbrew prawu, za to zgodnie z polityczno linio.

Jak nie sprzedacie, to i tak weźmiem i to za darmo, bo źle gospodarujecie, a jeszcze podatkami obcionym, straszili. Cóż, sprzedawali my nosze, a Magdoń, specjalista świński, kupował od gminy. Zostawiali my sobie jeno troche na uprawę wiedzonc, że nawozów nie dostaniem, kredytów nie dostaniem, maszyn nie dostaniem, budulców nie dostaniem, a podatki dostaniem, a jużci. Wzieli nos strachem. Zostaliśmy na zero z czymś tom hektara, a Magdoń z czterech swoich hektarów stoł sie z synami gospodarzem na siedemdziesięciu ha.

Ale kiedy sprzedali Wzgórze Krzemionki, jakby w gówno weszli. Tak sie tera poślizgneli. Bo naszo zawziętość podrażnili, przedtem uspiono. Szczególnie Lipieńki, które przed Sądem jako przedstawicielke Spółki Pastwiskowej my postawili, bo wygadana i targoć sie nie pozwala, by świadczyła za sobo i nami. Jo, sołtys niby, mniej wygadony niż Lipieńka, do Magdonia tak wiele jak Lipieńka nie mom, ale ojce by mnie przekleli, że nic nie radze na to, co sie tera dzieje. Wienc pisze do Sądu Najwyższego, by sprawiedliwym był, a żeby tej sprawiedliwości pomóc, podom, co mi gadoła Lipieńka, a osobno, co mi gadoł Magdoń, co gadojo sami o sobie i na siebie, a co gadojo o sporno miedzo. Podom to wszystko nic a nic nie przekrencajont, by Sąd Najwyższy zobaczył, że w całej sprawie i złość wzajemna honorne miejsce zajęła. Wpierw kobita, które we wsi Lipieńko nazywomy.

Wszystkie Magdonie, rzecze mi Lipieńka, to rodzina podstempno i fałszowo. Jeno siostra Magdonia, Maryśka, insza za to była za młodu, z inszej jo krwi jakby wytoczono. Sonsiadowali oni wprost przez droge, oknem w okno zaglondali. Mała Lipieńka zaszła roz do Maryśki, by rzeknoć: doj mi kwiatka nieśmiertelnika do wianka. Usłyszoł to ojciec Magdonia, zawezwał Maryśke i myślonc, że małej Lipieńki już nie ma pod oknem, rzekł: nie doj kwiatka. Jak dosz, to przyjdzie i powie - doj chleba, a potem - doj masła.

Tak jak Maryśke, wychowywał ojciec i Magdonia. Gdy Maryśka poszła na Łazy, znaczy że wyszła za monż za człowieka z Łazów, nie mogonc sie pogodzić ze zło naturo Magdoniów, Magdoń jo oszukał i ziemie jej zabroł. Już dziadki Lipieńki i dziadki Magdonia sobie nie darowali. Już babka Lipieńki w zgodzie z Magdoniami nie żyła, a miała łagodny



charakter. Dziadek za to popadł w nawyk pijaństwa. Od tego pijaństwa mary. Dziadek kowalem był, fachowcem znamienitym, z uznania okowite mu donosili, w końcu roz po pijanemu gospodarke sprzedał i w spadku czternaście arów rodowego Lipieńce zostawił. Pamienta Lipieńka, że wtedy Magdonie, którzy bez szkód gospodarowali, zawołali na nich: dziadówy.

Po kwiatku nieśmiertelniku o nic wiecej w życiu Lipieńka Magdoniów nie prosiła, nie rozmawiała do nich wcale, jedynie z to Maryśko w szkole, co to potem na te Łazy poszła, choć ta kwiatka nie dała. Nie prosiła jej o nic, nawet gdy przyszła bida. Jestem człowiek bidny, ale honorny, rzecze zwykle Lipieńka, a Magdonie zawsze znieważali nos i lekceważyli. Mieli zatargi nie z nami jedynie, z cało wsio mieli, bo komuś tom miedze zaorali, drób wybili autem czy co insze. Pilnowali swego, nie pomogli nikomu. Tak rzecze Lipieńka, której i ojciec, jak i dziadek, sie nie udoł, za to babka i matka łagodne charaktery mioły. Ojciec, górol z Zakopanego, sie nie udoł, bo idonc do seminarium, nie doszedł, niedoparzonym go dlatego zwali. Był szesnaście lat młodszy od matki i ponad gospodarke przedkładał muzykowanie skrzypcami na weselach. Zmeczony wracół i społ, a trzech dzieciaków, w tym Lipieńka, z otwartymi gembami za żarcie czekało. Po kłótniach z matko Lipieńki odszedł jak Lipieńce pionty rok życia minoł.

Dorastała Lipieńka w bidzie, własno praco dom wznosiła, bioronc menża z tej samej parafii, Magdoniów z dala omijajonc. Powiada dziś Lipieńka, że bardziej do tych ojca góroli podobna z zawzientości, targoć sie nie do, niż do łagodnej matki i babki. Dokupiła troche grontu, pare ładnych lat z Magdoniami bez wojny żyła, urodziła syna i dwie córki, gdy miendzy Lipieniami a Magdoniami nowsze swary przyszły. Czas był na nie okrutny, bo dzieci by bez złości narośli. Magdoń przejechał wozem po jej użytku, a ona mu rów przekopała przez droge, przejazd oniemożliwiajonc, by drugiej szkody uczynić już nie zdołał. Syn Magdonia, starszy o trzy wiosny od Lipieńkowego, prał go ile wlażło i o byle co. Nawet, gdy tyn chorym był i osłabionym. Podśluchoła roz Lipieńka, jak Magdoń syna przyuczoł: bij dziady, jak ci z drogi nie schodzi harde. W tyn oto sposób syn Magdonia kuratora dostoł, któren go mioł na tory ludzkie sprowadzić. Pierwsze Sądy sie zaczęli, gdy wyzwiskami rzucali na sie przy ludziach. Magdoń wieczorami czaił sie przy drodze, a gdy szła Lipieńka, najsamprzód rozglondoł sie, czy nie mo świadków, gdy nie było, wtenczas podskakiwoł do Lipieńki, opluwoł i opluwoł, i wyzywoł od dziadów. W Sądzie sie spotkali, ale tyn świadków zafalszowanych przedstawił, że niby w tyn czas opluwania balował gdziesik. Sąd sie na tym wyznoł i kare dostoł. Spokój wtedy nastoł pewny. Żyliby oni w zgodzie na wieki, gdyby nie te Wzgórza...

Oh tyn morowy oszust, co ludziom szkoduje i państwu szkoduje, w tajemnicach jakiś czas kupno Wzgórz trzymoł, nikomu tego nie zdradzajonc, myślonc, że czas złodziejstwo uprawomocni. Lipieńka nie wiedziała, wieś cała nie wiedziała, że Wzgórza przywłaszczył. Rwetes sie uczynił wtedy, gdy zakazoł nom na Wzgórzach wypasania. No bo jak to może nom coś Magdoń zakazoć? Przejrzelim. Jak śmioł siegnąć po pastwisko nosze? Mógł se wzionć ziemie insze, jeśli potrzebuje, jeśli jego wola, nie naszo. Nie puścimy tego, gado Lipieńka pierwsza, on z tego znany, że nom do naszych chałup wlezie, jak darujemy. Wzioł Wzgórza, by nos upodlić, a siebie wywyższyć. My, jako wieś, nie żałujem Magdoniowi, to tyż gado Lipieńka, niech sie bogaci, ziemie skupuje, specjalizuje, niech obrabio swoje i insze, jak mo siłe i wole, nie wtroncom sie, ale noszych pastwisk na Wzgórzach jedynych nie domy, rzecze Lipieńka. A pojechał Magdoń tera nosze Wzgórze orać. Najsamprzód dawno miedzo Lipieńki zaoroł, pszenice posioł na pokaz, że sieje, wienc uprawia. Zbiero na ludzkim gnoju, bo ludzie tom jeszcze nawozili, jeno sztuczne nawozy dodaje. Ludzi zganio ze Wzgórz krzyczonc, że to jego, nikomu nogo stanoć tera tom nie pozwala, gdy go o to nie poproszo. A nie poproszo, bo to ich. Jak któryś wbrew groźbom wpendzi na pastwiska krowe, to biegnie na kolegium i skarży. Zabroł Wzgórza na amen, szkoduje wsi, bo krowy głodne porykujo, z

ludźmi na kolegiach sie procesuje i tom wygrywa. My sie odwułujem. Niby Wzgórza tera jego. Ale jak jego, kiedy nosze. Sąd Najwyższy rozstrzygnie. My nie chcemy niczyjej krzywdy, jeno Magdonia, kończy Lipieńka, my tylko wystempujem sprawiedliwie. Tyle mi gado Lipieńka. A tera Magdoń, którego zakup Wzgórz pożarł nie tylko z Lipieńko, któremu od specjalizacji w głowie i honorze chłopskim sie poprzewracało.

Magdoń rzecze, że on nie z wsio cało sie procesuje, jeno z to Lipieńko narwisto. Uraza to jeszcze za ich ojców sie uchowała, bo pole ich jedno do drugiego dochodziło. Do matki Lipieńki, oj, ze smoło w renkach, że wszystko ukradła, ojciec Magdonia jeno z uwago w materii złodziejstwa przystąpił. Potem Magdoń uważoł, by Lipieńka mu szkody w polu nie robiła, bo przez nie wózkem o dwóch kółkach jeździła. Jeździj, rzecze Magdoń, jak skoszone, skoro inszej drogi nie mo, a jak zasiano, nie jeździj. Tu jest droga, rozkrzyczała sie Lipieńka. Nie, miedzo, wyprostowoł sond Magdoń. Na jesieni Lipieńka wykupiła pole obok. Żeby Magdoniowi zagrozić jeździć, rów wykopała na drodze, a on sie tylko z tego śmioł. Rurki zebroł, by mostek położyć. Nowe zadrażnienie było, gdy Lipieńka dziecko Magdonia skarżyła. Syn Magdonia kuratora dostoł, tak wylawirowała. A syn Lipieńki krów spendzić nie mógl, tedy płakoł, wrzeszczoł, a Magdoniowy starszy, żal mu sie zrobiło młodszego, wienc pomógł mu spendzić te krowy. Syn Magdonia nic mu zrobić nie mógl, nawet z drogi mioł nakazane mu ustempować. Jeno spendzić pomógł. A tu do Sądu Lipieńka poduszke z krwio niby jej syna przyniosła, że niby tak go syn Magdonia zmasakrowoł, któren taki chłopiec wstydlivy jest, a greczny. Pare rozy przyszedł kurator do szkoły, ale patrzy, dziecko spokojne, wienc poszedł.

Potem nastaly przezywania na drodze. Aż Magdoń ze wstydu poczerwienioł, gdy Lipieńke usłyszoloł. Magdoń rzecze, że on tylko uciekoł na drodze od Lipieńki, co mu inszego zostawało, co mo mu w gembe pluć, gdy pluje, wyzywoć go, gdy wyzywo śmiało, ale bez świadków. Po Sądzie, któren kare przydzielił, Magdoń se spokoju życzył, by on mógl bezpiecznie drogo chodzić, a nie uciekoć jak jaki zboczeniec przed Lipieńko. Byłby spokój, gdyby nie te Wzgórza...

Lipieńka nastaje tak na Magdonia jeno z zazdrości, bo gospodarz był zawsze lepszy, a i rodziny udane, nie jakieś tom złodzieje, pijoki, zasrońce, grojki, co try-try-tralala na weselach brzdankno. Sieroty nawalone, co bide w garnkach trzymajo. Takie one te Lipienie, zazdrościo sie karmio, samemu na dostatek nie zapracowujonc. Tera Lipieńka wieś buntuje przeciwko Magdoniowi, że Wzgórza Krzemionki nielegalnie nabył, a to oszczerstwo, jakby wrogiem wsi był, a wrogiem nie jest. Procesuje sie Magdoń nie ze Spółką Pastwiskową, jeno z Lipieńko, która gado, że za Spółkę jest, a nie jest. O własne zadry jej idzie. Ze wsio Magdoń dobrze żyje, ludziom nie broni wypasano. Gdy poproszo, pozwolenie daje. Wsi nie krzywduje, z wsio sie nie żre, jeno z Lipieńko. A pozwolenie dawoć musi, bo on tera Wzgórz właściciel. Przez Lipieńke wieś zawzienta. Niektóre chłopy bez pozwolenia paso i tych na kolegiach ściigo. Słuszność Magdonia. Urzendniki z gminy jego na specjaliste naznaczyli, bo gospodarzyć najlepiej umioł, grunt mu podtykali, wzioł, czemu go wzionć nie mioł, skoro do hodowli świń potrzebował. Oddawoć prawnie nabytego nie zamierza. Rzecze Magdoń jeszcze o synach, że oni z poczontku nie chcieli wielkiego gruntu, ale ich przekonoł, że jak sie chwyco, to zrobio, przecie na siebie robić bendo. Prawo jest zawsze prawem. Jakie jest, takie jest. Ale w Sądzie Najwyższym jeszcze nie mo tak, by ze złośliwości Lipieńki kogoś z workami puścić. Tyle nagadoł Magdoń, któregom spisoł dla obiektywności.

Sądzie Najwyższy, niech tera Sąd Najwyższy rozstrzygnie, gdzie przyczyna sporu o Wzgórza Krzemionki, czy w głupocie, czy w czymś innym, czy w złości wzajemnej, i zdanie sprawiedliwe podo. Powiem jeno na ostatek, że my wszystkie we wsi za zgodo pójdziem, słuszno zgodo, któro Sąd Najwyższy ustanowi. W gminie już nowa władza, nos widzieć nie chce, Lipieńki widzieć nie chce, Magdonia widzieć nie chce tera na równi. Od pieniactwa, mówio. Prawde mówio, bo gmina, choć niesprawiedliwa, zgode proponowała, alem sie

zawzieli. Magdoń i Lipieńka sie zawzieli, my wszystkie sie zawzieli. Zakrzykneli: Sądu Najwyższego chcem! I to nie dla sławy Magdonia i Lipieńki albo rozgłosu, nawet nie dla tych Wzgórz Krzemionki, jeno dla prostej odpowiedzi na pytanie: jak może istnieć tyn świat, jeśli jo, sołtys, musze w jego sprawie tyle rzeczy wypisywać?

\*

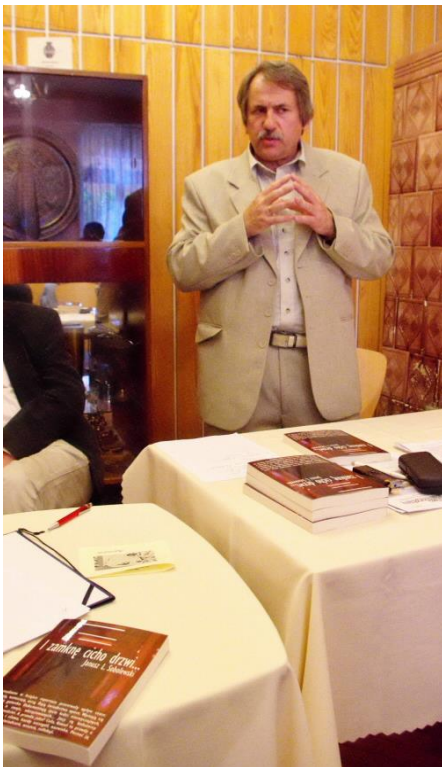
(reportaże ukazały się na łamach: "Dziennika Polskiego", "Życia Literackiego", "Wieści", "Gazety Krakowskiej", "Polityki", "Gazety Wyborczej", "Kontaktów", "Profilu" w latach 1978 - 98)

\*

*Spotkanie autorskie* w Klubie "Kazimierz" przy Śródmiejskim Ośrodku Kultury w Krakowie w dniu 16 czerwca 2011 roku

Relacja w Wikipedii i YouTube:

- I. <https://www.youtube.com/watch?v=XcAVJ08x4&t=17s>
- II. <https://www.youtube.com/watch?v=zPiC3745DIw&t=14s>
- III. <https://www.youtube.com/watch?v=LdLhY1A2bDw&t=24s>



Wyd. "Mamiko", 2011 r.



Fot. własne Autora



Selfie - fot. Autor

Notka o Autorze w Wikipedii (z dodanymi linkami rozszerzającymi):

[https://pl.wikipedia.org/wiki/Janusz\\_L.\\_Sobolewski](https://pl.wikipedia.org/wiki/Janusz_L._Sobolewski)